tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 8 (1363)
16-22.02.2026
Cena 10,90 zł
(w tym 8% VAT)



STOP DLA POLEXITU

APEL „PRZEGLĄDU" DO SEJMU

O wyjściu Polski z Unii Europejskiej może zdecydować tylko NARÓD – W REFERENDUM



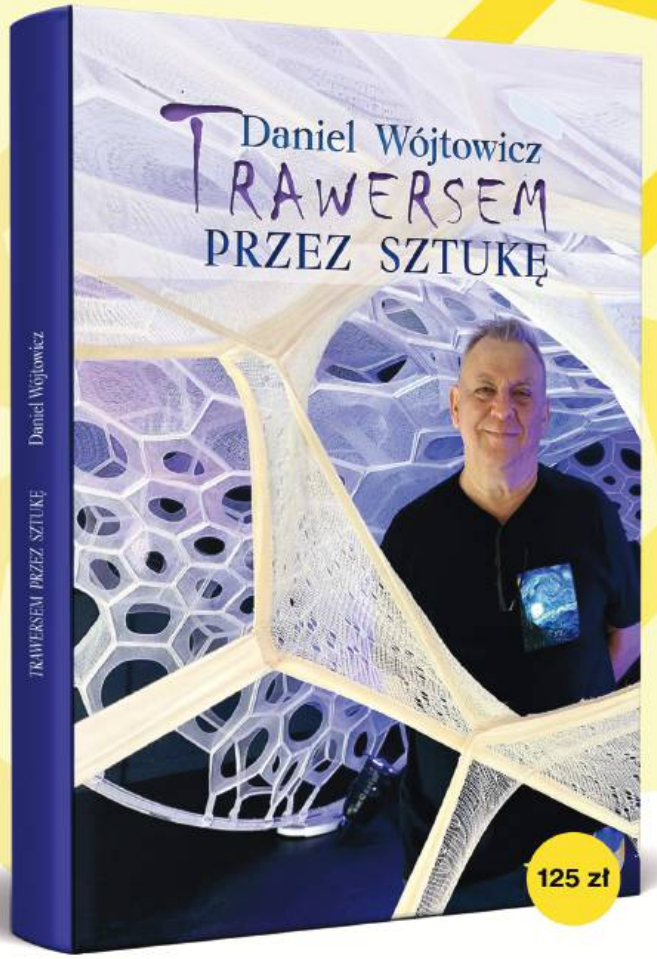
CORAZ GŁUPSI

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

eprasa.pl 279906a1ed

Trawersem przez sztukę

Jak szukać sensu i znaczeń w nowym malarstwie i zostać jego fanem



Pięknie ilustrowany album Daniela Wójtowicza, dziennikarza i popularyzatora sztuki

Dla tych, którzy na co dzień są od galerii daleko, których pasjonuje nowy obraz świata

200 stron relacji z ważnych wystaw malarstwa współczesnego w Polsce i w Europie

• Vincenta van Gogha, Marka Rothki, Davida Hockneya w Paryżu • Francisa Bacona, Mike'a Kelleya, Vincenta van Gogha w Londynie • Wassilego Kandinskiego w Poczdamie • Aleksieja Jawleńskiego w Kopenhadze • Wilhelma Sasnala, Jerzego Dudy-Gracza, Mojżesza Kislinga w Warszawie • Tamary Łempickiej, Jerzego Nowosielskiego w Krakowie • Zdzisława Beksińskiego w Gdańsku • Andy'ego Warhola w Rzeszowie.

Edycja limitowana, sprzedaż wyłącznie w sklepie **Tygodnika PRZEGLĄD**

Zamów na **sklep.tygodnikprzeglad.pl** lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. **Wysyłka GRATIS**

eprasa.pl 279906a1ed



Jerzy Domański

MÓJ PRZEGLĄD

Apel redakcji do Sejmu

Gdy w numerze świątecznym naszego tygodnika (nr 52/2025) prof. Andrzej Romanowski dość nietypowo zakończył swój komentarz słowami: „Sądzę, że Sejm powinien wreszcie procedować istniejący już projekt ustawy o utrudnieniu wyjścia Polski z Unii Europejskiej”, pomyślałem, że to bardzo ważny i trafny sygnał. Zwłaszcza że widzimy, jak szybko rosną w Polsce wpływy środowisk antyunijnych. Pomyślałem, że trzeba działać.

Prof. Romanowski w kolejnych tygodniach każdy swój tekst kończył tym samym wezwaniem do Sejmu. Rozmawialiśmy o tym w redakcji. Co i jak zrobić, by nie była to tylko inicjatywa wybitnego intelektualisty? Efektem naszego myślenia jest apel redakcji do Sejmu. Uważamy, że już najwyższy czas, by przestać lekceważyć środowiska obrzydzające Unię na wszelkie sposoby. Mają coraz więcej pomysłów, które adresują do wszystkich grup społecznych. Ich cel jest oczywisty. Bez Unii prawica spod znaku Kaczyńskiego i Ziobry miałaby pełną swobodę działania. Wyobraźmy sobie, co by zrobili przez osiem lat rządów, gdyby Polska nie była w Unii. To nie jest przesadnie czarny obraz.

Dewastacja wymiaru sprawiedliwości, jakiej dopuściło się Prawo i Sprawiedliwość, będzie ciążyła na Polsce przez pokolenia.

A jak łatwo manipuluje się nastrojami, widzimy choćby na przykładzie zmiany stosunku do imigrantów. Dekadę temu nie był to dla Polaków żaden problem. A dziś? Warto przeczytać analizę prof. Marka Garbicza o tym, jakie są skutki niszczenia autorytetów opartych na wiedzy. Jeśli ich brakuje, to w lukę wchodzą rozmaici antynaukowi spekulanci czy głosiciele teorii spisowych. Skala postępującej głupoty to w oczywisty sposób zagrożenie dla struktur demokratycznych, które opierają się na świadomości obywateli. Gdy do głosu dochodzą ignoranci, poszerza się pole do manipulacji. A stąd już tylko mały krok do akceptacji dla autorytarnych form rządzenia.

Ile brakowało pisowcom do stworzenia i zabetonowania takiego systemu, by byli nie do ruszenia? Partia posklejana z rozmaitych grup interesów zmajstrowała nam ponurą rzeczywistość. Klej, czyli nieograniczony dostęp do majątku publicznego, trzymał ich w kupie, dopóki mieli władzę. Gdy tego zabrakło, pożarli się między sobą. A jeśli coś ich jeszcze łączy, to atakowanie Unii pod byle pretekstem. A często i bez.

Czeka więc polskich zwolenników Unii bardzo ciężka walka z polexitowcami. Już się zaczęła. Bardziej aktywni są polexitowcy. Przy tak słabej reakcji na to, co robią, Unia stanie się chłopcem do bicia. Za wszystko.

Wiedząc o tym, proponujemy konkretne działania. Prosimy o wsparcie naszego apelu. Chętnie wydrukujemy Wasze głosy poparcia. Pod adresem j.domanski@tygodnikprzeglad.pl. otwieramy listę osób, które domagają się ustawy o referendum.

BĄKOWSKI



eprasa.pl 279906a1ed

W NUMERZE

KRAJ
8 **Stop dla polexitu**
Nie zostawiajmy decyzji politykom
12 **Zaślubiony Ziobrze**
Katusze Dariusza Barskiego
15 **Zagadka weterynarii**
Awantury w gabinetach, hejt w internecie
18 **Czym ogrzać Polskę?**
Zimowy test zielonej transformacji
24 **Wiedziała za wiele**
Zagadka śmierci zdesperowanej matki
36 **Komu potrzebna jest ta budowa?**
Wycinka w Ogrodzie Saskim

OPINIE
20 **Marek Garbicz**
Jako społeczeństwo jesteśmy coraz głupsi
28 **Stefan Niesiołowski**
Polska nie jest kolonią
34 **Tadeusz Klementewicz**
Milenium peryferii Zachodu

ZAGRANICA
30 **Kto opodatkuje big techy**
Zarabiają krocie, uciekają od płacenia

SPORT
38 **Srebro i hejt**
Po pierwszym tygodniu igrzysk zimowych

HISTORIA
40 **Mordercy w sutannach**
Księża w szeregach ustaszy

KULTURA
44 **Kolejny powrót Stacha z Warty**
Muzeum Szukalskiego w Gdyni
48 **Krab i diapazon emocji**
Kobiety Jana Nowickiego
52 **Qulturalia**
66 **12 Bogiń – Rust & Gold**
Malarstwo Anny Marii Rusinek

NAUKA
54 **Medycyna kosmiczna**
Naprawianie ciała na orbicie

ZWIERZĘTA
56 **Beskid Żywiecki oczami drapieżników**
Wilcze rodziny jak mafie

OBSERWACJE
60 **Brama Sycylii**
Piękno wyspy, dramat imigrantów

FELIETONY I KOMENTARZE
3 **Jerzy Domański**
Apel redakcji do Sejmu
7 **Jerzy Bralczyk**
Kusząca oferta
27 **Jan Widacki**
Historia, która powtarza się jako farsa
33 **Andrzej Romanowski**
Gdzie nasza niepodległość?
37 **Roman Kurkiewicz**
Cała przyszłość w ręce rad
51 **Tomasz Jastrun**
Ćwierkanie już było
53 **Wojciech Kuczok**
Ćwierćwiecze z okładem (z kapusty)



SREBRO I HEJT
Po pierwszym tygodniu igrzysk zimowych



BESKID ŻYWIECKI OCZAMI DRAPIEŻNIKÓW
Wilcze rodziny jak mafie



66
KULTURA

12 BOGIŃ – RUST & GOLD
Malarstwo Anny Marii Rusinek



Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 279906a1ed



Czas Apokalipsy

Rosja już dawno walczy z NATO, za chwilę będzie płonąć cała Europa, która zdycha na naszych oczach. Rosja walczy teraz z kilkunastoma krajami. A oprócz tego w głębi Rosji jest budowana czteromilionowa armia, mało tego, ostatnio podano, że wydatki na armię są o kilkadziesiąt procent większe niż oficjalnie podawane, a więc Rosja już teraz przechytrzyła Zachód. Nie zapominajmy o tym, że Putin to szachista, który wygrywa zawody w szachy, i były oficer KGB, a więc geniusz i bóg wojny.

Krzysztof Pająk

•

Wojna nigdy nie jest koniecznością. To zawsze absurd, ale ludzie przeważnie nie zachowują się racjonalnie, więc dziwić się nie ma czemu. Do I wojny światowej też przygotowywano się kilka dekad. Miała trwać kilka tygodni, a trwała kilka lat. Miała rozwiązać wiele problemów, nie rozwiązała żadnego. Jej skutkiem była kolejna wojna. Są dwa główne powody wojny: pycha i chciwość. I jedno, i drugie jest nieograniczone. Ani pychy, ani chciwości nie da się zaspokoić, co nieuchronnie popycha sprawy w kierunku wojny. Broń, która zostanie wyprodukowana, będzie musiała być użyta. Dlaczego więc nie użyto broni jądrowej? Nie zaspokaja chciwości, bo niszczy wszystko, skaża teren i czyni eksploatację przez długi czas niemożliwą. Nie zaspokaja pychy, bo może dopaść każdego na zasadzie odwetu. Za dużo głowic do dyspozycji. Paradoksalnie jedyną gwarancją pokoju jest takie nagromadzenie arsenałów nuklearnych, które zlikwidowałoby większość ludzi żyjących na planecie, metropolii i ośrodków przemysłowych. Ludzie są z natury mściwi i tę emocję cenią ponad życie. O żadnym blefie nie byłoby mowy. Kiedy będzie użyta broń jądrowa? Wtedy, gdy notable będą się zaopatrywać w trucizny, dzięki którym zginą szybko i bezboleśnie.

Max Mrzy

Geografii nie zmienimy



W jaki sposób są przestrzegane prawa człowieka i uznawane zasady demokracji, gdy przyklaskuje się Trumpowi popełniającemu akt terroryzmu, jakim było porwanie prezydenta Wenezueli? Albo przyklaskuje się jego udziałowi w zbrodniczych agresjach w Afganistanie i w Iraku, ludobójstwu dokonywanemu przez Izrael na narodzie palestyńskim czy kamuflowaniu za wszelką cenę sprawy Epsteina? Ktoś tu świadomie robi żarty z ludzi myślących.

Stelios Lotsios

Dlaczego policjanci krzywdzą tych, których powinni chronić?

Tekst ciekawy i pewnie pisany w dobrej wierze. Niestety, ogranicza się do rzucania „szokujących" faktów, przez co staje się częścią problemu. W takich sprawach jak śmierć Bartosza Sokołowskiego czy Dmytra Nikiforenki oczekujemy, że zapadną wyroki skazujące funkcjonariuszy – w przypadku z Wrocławia słuszne, bo faktycznie przekroczyli przepisy, co do użycia środków przymusu w Lubinie o ocenę trudniej, bo tam żadnych wyraźnych nadużyć nie widać. Niemniej stwierdzamy, że system jest dobry, a zawiedli ludzie – gdyby trzymali się przepisów, nic by się nie stało.



Jednocześnie przymykamy oko na to, że każdego roku takich interwencji są setki, jeśli nie tysiące – na ulicach, w więzieniach, w szpitalach psychiatrycznych. Wszędzie, gdzie ludzie pod wpływem substancji psychoaktywnych czy zaburzeń psychicznych tracą nad sobą kontrolę. I nie zastanawiamy się, czy środki, jakimi dysponujemy w tych sytuacjach, są wystarczające. Czy to, czego oczekujemy od funkcjonariuszy lub personelu – obezwładnienie takiej osoby bez robienia jej krzywdy – jest w ogóle możliwe. Dopóki nikt nie zginie, udajemy, że wszystko jest OK. Jeśli zginie, uspokajamy szybko sumienie, zamiast zastanowić się nad głębszymi zmianami.

Jan „Niedźwiedź" Sikorski

ZDJĘCIA TYGODNIA





W minionym tygodniu polska kinematografia straciła dwoje wybitnych aktorów. Zmarli Bożena Dykiel, w wieku 77 lat, i Edward Linde-Lubaszenko, w wieku 86 lat.

FOT. ANNA KACZMARZ/DZIENNIK POLSKI/REPORTER, BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS

eprasa.pl 279906a1ed

1,6 mln dzieci w Polsce w wieku 7-12 lat korzysta z mediów społecznościowych, mimo że konto w tych mediach można mieć dopiero po ukończeniu 13 lat.

•

Narodowy Bank Polski planuje zwiększenie rezerw złota do 700 ton z dotychczasowych 550 ton o wartości prawie 276 mld zł. I to wszystko za rządów koalicji, która według PiS prowadzi kraj do ruiny.

•

InPost przechodzi w ręce kapitału amerykańskiego, FedEx i fundusz Advent będą miały po 37%, Rafał Brzoska 16% i czeski PPF 10%. Firmą będzie zarządzał Brzoska, a podatki InPost będzie płacił, jak dotąd, w Polsce. Zobaczymy, jak długo. Doświadczenia z FedExem nie są zachęcające.

•

Andrzej J., biskup tarnowski, stanie przed sądem. Oskarżony jest o niezawiadomienie na czas organów ścigania o przestępstwach pedofilskich popełnionych przez księży diecezji tarnowskiej. Proces będzie jawny.

•

Zmarł Edward Linde-Lubaszenko (86 lat), wybitny aktor mający na koncie role w ponad 70 filmach, 110 przedstawieniach teatralnych i 80 spektaklach Teatru Telewizji, m.in. w „Psach", „Liście Schindlera", „Sztosie", „Poranku kojota". Utalentowany i błyskotliwy, uwodził widzów.

•

Zmarła Bożena Dykiel, znana aktorka filmowa, serialowa i teatralna. Grała m.in. w „Ziemi obiecanej", „Znachorze", „Weselu", w serialach „Na Wspólnej", „Dom" i „Alternatywy 4".

•

Kacper Tomasiak (19 lat) sprawił największą sensację od czasów Wojciecha Fortuny, zdobywając srebrny medal na skoczni w Predazzo. I ponad 1 mln zł w premiach z PKOl, Ministerstwa Sportu i Turystyki oraz od sponsorów.

•

Jeff Bezos, jeden z najbogatszych ludzi, z majątkiem o wartości ok. 250 mld dol., i od 2013 r. właściciel **„The Washington Post"**, zwolnił jedną trzecią (ponad 300 z 800) pracowników redakcji i zlikwidował dział książki, choć do niego należy Amazon, także handlujący książkami.

•

Ewa Drobek, nauczycielka z Liceum Ogólnokształcącego im. Narcyzy Żmichowskiej w Warszawie, znalazła się w finałowej dziesiątce światowego konkursu **Global Teacher Prize**. Z wykształcenia jest anglistką i germanistką.

•

Ppłk rez. Andrzej Pawelski, który służył w bazie Warrior w Afganistanie i otrzymał od Amerykanów Medal za Chwalebną Służbę, po wypowiedzi Trumpa, że „w Afganistanie sojusznicy pozostali nieco z tyłu, z dala od linii frontu", oddał odznaczenie.

•

Siedmiu funkcjonariuszy BOR i jedna osoba cywilna zostało wezwanych na przesłuchanie w charakterze podejrzanych w śledztwie dotyczącym zderzenia 10 lutego 2017 r. w Oświęcimiu limuzyny ówczesnej premier Szydło z samochodem prywatnym.

PRZEBŁYSKI



Piesiewicz w niemieckim ubranku

Ciągle nie ma mocnych na Piesiewicza. Chroni go lobby koszykarskie. Ważni politycy z różnych opcji. Ich nazwiska są znane. I aż dziw, że tyle ryzykują dla pospolitego hochsztaplera. Kolejny skandal z udziałem Piesiewicza to stroje olimpijskie. Prezes PKOl, będący w bliskiej komitywie z prezydentem Nawrockim, powtarza za nim: „Po pierwsze, Polska, po pierwsze, Polacy". U niego tymi Polakami są Niemcy z Adidasa. I to oni ubrali reprezentację. Piesiewicz wykolegował rodzimą firmę 4F z Małopolski. Dla niego była za słaba. Ubrała więc reprezentacje Grecji, Słowacji, Chorwacji i Ukrainy. 4F współpracowała z PKOl przez 12 lat i przekazała nieodpłatnie sprzęt wartości 40 mln zł. Jej prezes czuje się oszukany i domaga się ujawnienia umów.



Proste rady Karnowskiego

Dziękujemy za cierpliwość. Wszystkim. A najbardziej tym, którzy czekali na ciąg dalszy wynurzeń Jacka Karnowskiego z „Sieci". Nie wiemy, co tam biorą, ale skutki są… oszałamiające. W „10 postulatach za życiem" Karnowski zaproponował m.in. progresywne programy socjalne, tzn. 800 zł na pierwsze dziecko, 1,6 tys. zł na kolejne, 2,4 tys. zł na trzecie itd. Do tego oczywiście powstrzymywanie laicyzacji życia społecznego. Karnowski wierzy, że w ten sposób uda się wywołać postawy prorodzinne i prodzietnościowe. Jakie to w sumie proste. Więcej kasy i więcej zakazów.

Raptusy to nie są

Przeciwnicy długiego szefowania powołują się na przypadek Jacka Bromskiego, który kierował Stowarzyszeniem Filmowców Polskich od 1996 r. do 2024 r. Zaczął tak dobrze, że wiele razy był wybierany na prezesa. A jak kończy? Ministerstwo Kultury złożyło do prokuratury zawiadomienie o uzasadnionym podejrzeniu narażenia SFP na szkodę o wartości co najmniej 13,3 mln zł. Pieniądze nie trafiły do artystów. Prezes dostał 3,7 mln zł, a dyrektorka biura ponad 4,5 mln zł. Ponad milion poszedł na alkohol.

Trudno resort kultury zaliczyć do raptusów. Działa raczej w tempie wozu ciągniętego przez leciwą szkapę. W marcu ub.r. poinformowali o wynikach kontroli w SFP i już po 11 miesiącach złożyli zawiadomienie do prokuratury. Może zaczęli się bać, że jakiś prokurator zajmie się nimi.

Melania posępna i nadęta

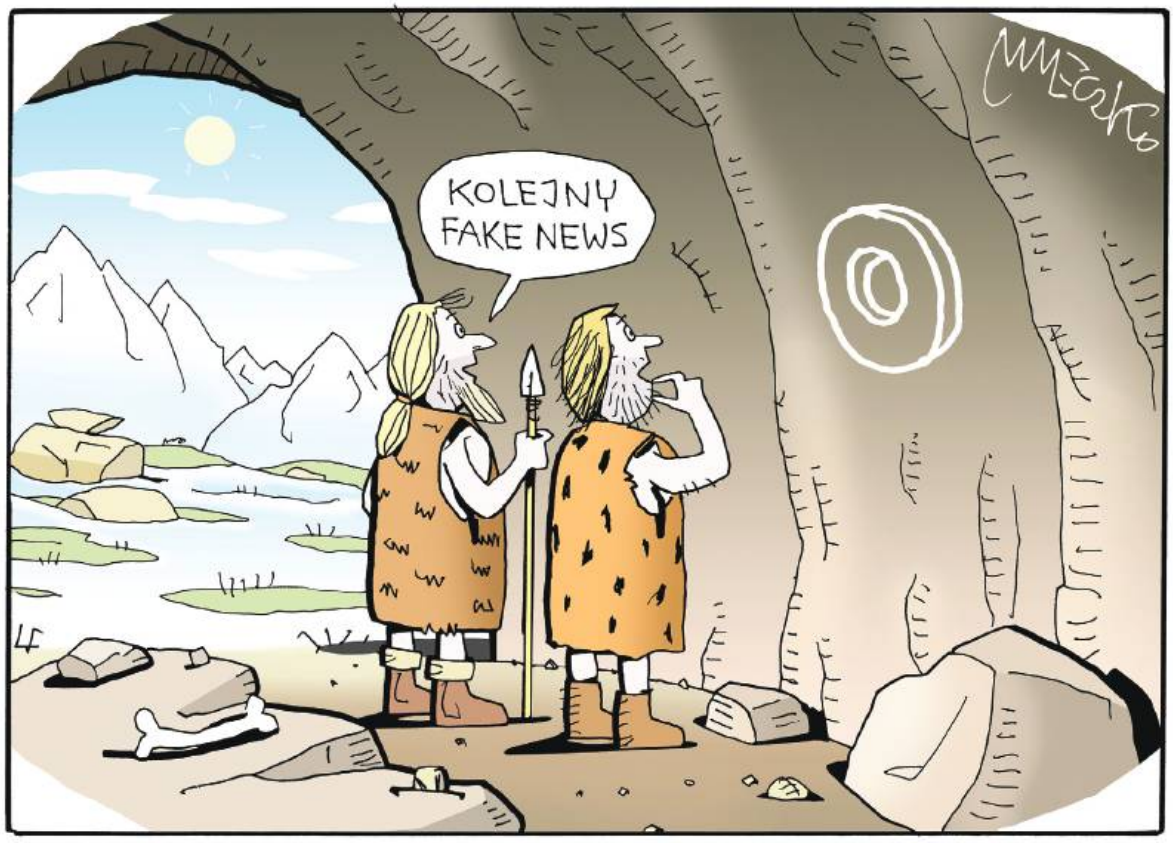


Ostrzegamy, że jeśli przeczytacie ten tekst, możecie zostać wpisani na czarną listę ambasadora Thomasa Rose'a. Nadgorliwy obrońca honoru Trumpa nie może milczeć, gdy świat niemiłosiernie drwi z Melanii Trump. Bohaterki najdroższego filmu dokumentalnego w historii. Firma Bezosa, Amazon, wyłożyła na film 40 mln dol. plus 35 mln na promocję w 2 tys. kin w USA i 5 tys. kin na świecie. Co mówią pierwsi widzowie? „Melania jest na ekranie sztywna jak kij od szczotki", „Gdy rzadko zabiera głos, brzmi, jakby czytała z promptera", „Jawi się jako nadęta, posępna i próżnia – czysta nicość w tej ohydnej porcji propagandy". I tak dalej. Bezos zadowolony, bo podlizał się Trumpowi. Melania – bo zarobiła sporo milionów. A puenta? Jaki prezydent, taka pierwsza dama. I taki też ich ambasador.

FOT. RACJONALNA POLSKA, YOU TUBE (2)

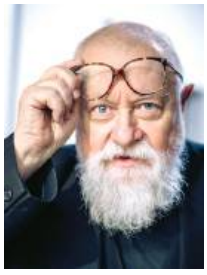
eprasa.pl 279906a1ed

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI



mleczko.pl

sklep.mleczko.pl



Jerzy Bralczyk

Kusząca oferta

Zrządzenia i zrzędzenia

Znalazłem w internecie, na eksponowanym miejscu, atrakcyjnie sformułowaną ofertę „innowacyjnego narzędzia do generowania prac naukowych". Oferenci zapewniają legalność swojego narzędzia, jak również zabezpieczenia pozwalające na oddalenie zarzutu plagiatu. Od zamówieniodawcy oczekują tylko tytułu pracy. Co ciekawe, podkreślają też, że są znacznie tańsi od wynajmowanych autorów prac na stopień. Rozbudowanie oferty zdaje się poświadczać kompetencje autorów, którzy dają zresztą przykłady takich prac – z pedagogiki, socjologii, psychologii. Dają do zrozumienia, że i inne dziedziny nauki stoją dla ich działań otworem. I, co cieszy, zapewniają, jak piszą, „indywidualizację" i „ludzki styl pisania". A najważniejsze, że oszczędza się przez to czas, który może być poświęcony na sprawy ważniejsze, choćby na naukę.

Niedawno były na rynku broszury, zawierające, jak głosiły tytuły, kilkaset „gotowych do przepisania wypracowań". Uczeń mógł takie wypracowanie przepisać, a zorientowany nauczyciel mógł ustalić, jaką ocenę daje za takie gotowe wypracowanie. Za numer 17 – cztery minus. Ale to były przaśne i dość prymitywne początki, teraz mamy oferty SI.

W dawnych Chinach kandydat na urząd musiał dowieść swojej przydatności napisaniem poematu na luźny temat, np. o jaskółce – tak pokazywał swoje intelektualne, a może i moralne zalety. Różne mniej lub bardziej żartobliwe propozycje autorów SF dotyczyły różnorodności prób sprawdzania, kto się do czego nadaje. W naszych warunkach właśnie to, na czym dziś możemy czas zaoszczędzić, czyli korzystanie ze źródeł, żmudne badania czy kwerendy, ma poświadczyć zasługiwanie na stopień. A stopnie to też przepustki do nauki: prawa do badań, grantów, dydaktyki i naukowych urzędów.

Może zresztą cała oferta jest prowokacją, która ma prowadzić do zmiany naszych edukacyjnych i naukowych zwyczajów, tak łatwo przecież narażonych na uzasadnione nieraz wątpliwości? ■

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 279906a1ed



Antyunijna demonstracja rolników na ulicach Warszawy, 3 stycznia 2025 r.

STOP DLA POLEXITU

O wyjściu Polski z Unii Europejskiej mogą zdecydować tylko Polki i Polacy. W referendum

Robert Walenciak

Czas wyjść ze strefy komfortu. Od lat realizowana jest w Polsce kampania przeciwko Unii Europejskiej. Przeprowadza się ją na różne sposoby. Zobaczmy, jak to się sączy.

Unia raz jest przedstawiana jako twór zupełnie bezsilny, spróchniały, który za chwilę się zawali. „Czas wyjść z walącej się rudery! – wołają więc na prawicy. – To tonie. Czy mamy tonąć razem z nimi?". Innym razem o Unii mówi się jak o żarłocznym Lewiatanie, który narzuca mniejszym swoją wolę. „Czy mamy temu ulec? – wołają, dodając: – Zachowajmy niezależność. Nie dajmy się pożreć! Nie dajmy się biurokratom z Brukseli".

Jest też grupa, która twierdzi, że Unia to Niemcy i realizuje niemieckie interesy. „Czy Niemiec ma nam pluć w twarz? Czy chcemy superpaństwa zarządzanego z Berlina?", pytają, odświeżając polskie fobie.

Tym, którzy czują się związani z Kościołem, sączy się, że Unia jest świecka, coraz mniej katolicka. No i staje się gej-Europą. Ten strach chwyta. Tym z kolei, którzy ulegli propagandzie antyimigranckiej, sufluje się, że coraz większą grupę w Europie stanowią przybysze z państw afrykańskich, wołając: „To kalifat!".

A gdy ktoś powie: „Zobaczcie, ile przez te lata zyskaliśmy finansowo", antyeuropejczycy odkrzykną: „A moglibyśmy zyskać więcej!". Wszystko jest więc na „nie". I ta kampania przynosi rezultaty.

Parę tygodni temu głośno było o sondażu pracowni OGB. Pytanie brzmiało: „Gdyby w najbliższą niedzielę odbyło się referendum w sprawie wyjścia Polski z Unii Europejskiej, jak by Pan/Pani zagłosował/a?". W lutym 2019 r. za pozostaniem Polski w UE było 89,9% badanych, za wyjściem z Unii – 6,7%. Czyli margines. Tymczasem w styczniu 2026 r. odsetek osób popierających pozostanie Polski w Unii wynosił już tylko 67,5%. Natomiast za polexitem opowiedziało się 24,5%. „To są kolosalne zmiany, nie można tu mówić o żadnych błędach statystycznych", komentował szef OGB Łukasz Pawłowski.

Gdy te dane zaczniemy badać bardziej szczegółowo, zrobi się jeszcze bardziej gorąco. Otóż największa zmiana nastąpiła w gronie wyborców prawicy. Jeśli chodzi o wyborców PiS, w styczniu 2026 r. tylko 46,4% chciałoby pozostania w Unii, natomiast 43,6% jest za wyjściem z niej. Wyborcy Konfederacji są jeszcze bardziej antyeuropejscy: 42,6% jest za Unią, 47,3% wybiera polexit.

Innymi słowy, Polska dzieli się według prostego pytania: jesteś za

eprasa.pl 279906a1ed

byciem w Unii czy przeciw? I to jest fenomen, gdyż mało który kraj tak skorzystał na wejściu do Unii, tak bardzo się zmienił. Rolnicy – mają dopłaty i wielki rynek zbytu. Przedsiębiorcy – 75% naszego eksportu to kraje Unii. Fachowcy – wielki rynek pracy stoi przed nimi otworem. Dlaczego zatem coraz więcej Polaków chce to wyrzucić do kosza na śmieci?

Wspomniany sondaż to tłumaczy. Polska podzielona jest na polityczne bańki. A to tworzy obieg zamknięty: wyborcy prawicy słuchają sączącej się antyunijnej propagandy, swoich polityków i już w nic innego nie wierzą.

A dlaczego politycy PiS i Konfederacji tak Unię atakują? Bo Unia im przeszkadza – z jej przywiązaniem do demokratycznych reguł, do zasad państwa liberalnego, do praw obywatelskich i praw mniejszości, do zasad konsensusu. Dla takich polityków jak Jarosław Kaczyński to więzy, które trzeba zerwać. Bez Unii mieliby swobodę. Dlatego więc jej nie znoszą. I budują atmosferę zagrożenia Polski – jak mówił Kaczyński – ze Wschodu i z Zachodu.

Ale przecież – ktoś powie – połowa wyborców PiS chce Unii, więc… Dla takich politycy PiS mają oddzielną narrację. Gdy zarzuca się im, że są za polexitem, odpowiadają, że skądże, są za obecnością Polski w Unii, tylko musi to być inna Unia niż ta obecna. Która płaci, ale się nie wtrąca. A że takiej Unii, o której mówią, nigdy nie będzie – to detal. Oto trik, za pomocą którego chcą ukryć swoją wrogość.

Efekt łatwo przewidzieć. Nie wiemy, jakim wynikiem skończą się najbliższe wybory, ale załóżmy, że wygra PiS i będzie potrzebowało Konfederacji, albo jednej, albo dwóch, by rządzić. Co ich powstrzyma przed polexitem? Wyborcy? Ich wyborcy już dziś są pół na pół. Ameryka? Ależ Stany Zjednoczone będą im kibicowały, bo chcą słabej, rozbitej Unii. Chcą ją sobie podporządkować. Bruksela? Zawsze można wołać, że się mści. I że gra po stronie Tuska, działa z nim ręka w rękę.

Łatwo sobie wyobrazić antyunijną większość w Sejmie. A mamy takie prawo, że to wystarczy, by z Unii wyjść. Nie trzeba referendum, tak jak to było w Wielkiej Brytanii. Wystarczy zwykła sejmowa większość, by przegłosować ustawę o wypowiedzeniu umowy międzynarodowej. A prezydent Nawrocki to podpisze.

Jak przed tym się bronić? Możemy, jak postuluje prof. Andrzej Romanowski, spróbować to utrudnić. Gdyby Sejm przegłosował ustawę, w której byłby zapisany wymóg ogólnokrajowego referendum, aby zatwierdzić polexit, wyjście z Unii byłoby trudniejsze. Już nie byłoby decyzją polityków prawicy, tylko wolą całego narodu. A to zmienia prawie wszystko.

Warto więc taką ustawę wprowadzić. Warto powiedzieć tym wszystkim politykom PiS, którzy wołają, że są za obecnością Polski w Unii: sprawdzam. Niech się określą. Wtedy będziemy wiedzieli, kto jest za czym i o jaką stawkę toczy się wyborcza gra.

APEL

Nastroje społeczne w Polsce ewoluują w niebezpiecznym kierunku. Jeszcze niedawno poziom polskiego entuzjazmu dla Unii Europejskiej był jednym z najwyższych na kontynencie. Dziś, choć zdecydowana większość naszego społeczeństwa chce pozostać w Unii, nadal być członkiem europejskiej rodziny, to jednak przybywa zwolenników jej opuszczenia, skupionych w PiS i Konfederacjach. Opiniom takim nie pomaga ośrodek prezydencki, zapatrzony w Donalda Trumpa, a więc i w jego politykę niechętną Unii. Jesteśmy przekonani, że Koalicja 15 Października utrzyma władzę do końca kadencji, wierzymy, że po wyborach powstanie ponownie koalicja proeuropejska, ale wybory te odbędą się już za półtora roku, trzeba więc działać natychmiast.

Warto bowiem pamiętać: wyjście Polski z Unii Europejskiej byłoby łatwe do przeprowadzenia. Wystarczyłaby zwykła większość parlamentarna, a następnie podpis prezydenta. Taki jest tryb wypowiadania umów międzynarodowych. Rzecz jednak w tym, że – po pierwsze – akces do Unii Europejskiej nie jest zwyczajną umową. Po drugie, akces ten dokonał się na mocy ogólnonarodowego referendum. Przeczyłoby zdrowemu rozsądkowi, gdyby decyzja całego narodu mogła być unieważniona przez tymczasową większość w parlamencie. Nie mówiąc już o tym, że byłoby to zapewne niezgodne z konstytucją.

Członkostwo Polski w Unii Europejskiej jest podstawową sprawą dla naszego bytu narodowego. Nie wolno oddawać go politycznym awanturnikom i powierzać przypadkowym partyjnym układom.

W tej sytuacji APELUJEMY do wszystkich posłów i senatorów, niezależnie od politycznej orientacji, o wsparcie na rzecz ustawy o referendum.

Zespół „Przeglądu”

eprasa.pl 279906a1ed

LESZEK MILLER:
Jest tylko jedno zabezpieczenie

Czy w latach 2002-2004 spodziewał się pan, że niebezpieczeństwo polexitu może zaistnieć?

– Brałem to pod uwagę, choć bardziej teoretycznie. Ale m.in. dlatego przeprowadziliśmy w sprawie wejścia do Unii Europejskiej referendum, choć nie musieliśmy. Wtedy mieliśmy taką większość – i to nie tylko naszą, koalicyjną, bo sprawę wejścia do Unii inne partie też by poparły – że mogliśmy przeprowadzić ratyfikację za pomocą procesu parlamentarnego. Bez referendum. Ale pomyślałem sobie: no dobrze, dzisiaj jest taki skład Sejmu, a jaki będzie za 10 lat? Tego nikt nie wie. Więc zaryzykujmy referendum! Bo ono wprawdzie nie stanowi bariery przed polexitem, ale każdemu, kto się zamachnie na nasze członkostwo, będzie trudniej.

A jak dzisiaj najlepiej zabezpieczyć się przed ewentualną decyzją o wyjściu z Unii?

– Jest tylko jedno zabezpieczenie: musi być odpowiedni skład rządu i odpowiedni skład większości parlamentarnej. Bo proces wyjścia z Unii jest stosunkowo prosty. Jest on precyzyjnie opisany w polskiej konstytucji, w polskich ustawach. Traktat akcesyjny jest zwykłą umową międzynarodową i tak byłby traktowany. Wygląda to mniej więcej w ten sposób, że Rada Ministrów kieruje stosowny projekt ustawy o wypowiedzeniu umowy międzynarodowej do Sejmu, Sejm przyjmuje, idzie to do prezydenta, prezydent podpisuje. I to wszystko. Jest to bardzo proste. I jeżeli po następnych wyborach ukształtowałby się układ polityczny, który by tego chciał, to nie ma żadnych przeszkód, żeby to zrobić. Bo referendum nie jest potrzebne do tego, żeby wyjść z Unii – wystarczy zastosować normalny proces wypowiadania umowy międzynarodowej.

Zabezpieczyć się można jedynie, odpowiednio głosując w wyborach.

– To jedyne stuprocentowe zabezpieczenie.

WŁODZIMIERZ CIMOSZEWICZ:
To, co dzisiaj można ustanowić, jutro można odwołać

Czy w latach 2002-2004 spodziewał się pan, że niebezpieczeństwo polexitu może zaistnieć?

– Wtedy, zwłaszcza przed referendum europejskim, nie byłem pewien, czy je wygramy. Sceptycyzm rolników oraz hałaśliwa i agresywna kampania propagandowa nacjonalistycznej prawicy mogły zniechęcić wielu ludzi do głosowania. Jak wiadomo, konstytucja wymaga określonej frekwencji do ważności wyniku referendum. Wynik był pozytywny, nastrój w społeczeństwie zdominowany przez entuzjastów. Nie było więc widać żadnego ryzyka polexitu.

Jak najlepiej zabezpieczyć się dziś przed ewentualną decyzją o wyjściu z Unii?

– Bardzo sceptycznie podchodzę do poszukiwania jakichś formalnych utrudnień, bo to, co dzisiaj można ustanowić, jutro można odwołać. Poważną przeszkodą dla głupców, którym doskwiera historyczny sukces, jakim było uzyskanie przez Polskę i Polaków równoprawnej pozycji w Europie, związanej z członkostwem w Unii, byłoby wprowadzenie odpowiednich wymagań konstytucyjnych. Nie wydaje się to możliwe w obecnych realiach politycznych. Teoretycznie można wprowadzić ustawowy wymóg referendum w sprawie upoważnienia rządu do złożenia w UE notyfikacji koniecznej do wystąpienia z Unii. Hipotetyczna przyszła antyunijna większość sejmowa mogłaby jednak taką ustawę uchylić. Wtedy jedyną nadzieją byłoby weto prounijnego prezydenta. Mam jednak wrażenie, że dzisiaj weto dotyczyłoby raczej tej ustawy wymagającej referendum. Wniosek: spróbować można, pewności nie ma i nie będzie. Kiedy Cameron ogłaszał w Londynie referendum, był święcie przekonany, że większość będzie za pozostaniem w Unii. Czasem jednak większość traci rozum.

RYSZARD KALISZ:
Gdy Trybunał Konstytucyjny nie funkcjonuje zgodnie z konstytucją…

Czy w latach 2002-2004 spodziewał się pan, że niebezpieczeństwo polexitu może zaistnieć?

– Ani w roku 1997, gdy uchwalaliśmy Konstytucję Rzeczypospolitej Polskiej, ani wtedy, gdy podpisywaliśmy umowę o akcesji, nikt nie przewidywał, że Polska po wejściu do Unii Europejskiej może chcieć z niej wystąpić. Wtedy wejście do Unii było naszym marzeniem, naszym celem związanym z możliwością szybkiego rozwoju, wejściem do struktury łączącej najszybciej rozwijające się kraje na świecie. Było też elementem kulturowej satysfakcji, zmiany naszego położenia. W latach 2002-2004 nie wyobrażaliśmy sobie, że znajdzie się ktokolwiek, kto będzie chciał wyjść z Unii. Pamiętajmy, że od 1 maja 2004 r., kiedy staliśmy się członkiem Unii Europejskiej, Polska bardzo szybko się rozwija. W tej chwili nasza gospodarka jest na 20. miejscu na świecie. Tego by nie było bez Unii. Bez możliwości funkcjonowania ekonomicznego w ramach wspólnoty państw członkowskich. Nie rozumiem więc tych ludzi, którzy chcą umieścić Polskę w jakimś niedookreślonym miejscu geograficzno-politycznym, w zasięgu wpływów Rosji, a jak Rosji, to i Chin. Taka Polska byłaby skazana

eprasa.pl 279906a1ed



Gdańska demonstracja za pozostaniem Polski w Unii Europejskiej, 10 października 2021 r.

na autarkiczną gospodarkę i, niestety, to widać wyraźnie, na skrajnie prawicowe rządy, które ewoluowałyby w kierunku systemu autorytarnego.

Jak najlepiej zabezpieczyć się dziś przed ewentualną decyzją o wyjściu z Unii?

– Jak się zabezpieczyć? To daje się wyprowadzić z działań dotyczących wykładni konstytucji – wyjście z Unii musi być przeprowadzone w taki sam sposób, jak Polska do Unii Europejskiej wchodziła. Czyli musiałoby być poprzedzone ogólnokrajowym referendum. Obywatele, a nie jakieś wąskie grono rządzących, musieliby w tej sprawie się wypowiedzieć.

A ponieważ nie mamy w tej chwili działającego w sposób zgodny z konstytucją Trybunału Konstytucyjnego, który mógłby takiej wykładni Konstytucji RP dokonać, niezbędne jest uchwalenie ustawy, która miałaby charakter swoistej wykładni kierunkowej dotyczącej naszego członkostwa w Unii Europejskiej. Postulowaliśmy już dosyć dawno, żeby tego rodzaju ustawa została uchwalona, po to, by rozstrzygnąć w niej te kwestie, które są wątpliwe w ramach konstytucji.

Niektórzy wpadają na taki pomysł – moim zdaniem szaleńczy – że do wypowiedzenia naszego członkostwa w Unii Europejskiej wystarczy uchwała Sejmu ze zwykłą większością głosów. A tak nie jest! Mamy do czynienia z ważnymi elementami, które z członkostwem w Unii się wiążą, chociażby z ratyfikowaniem przez Polskę Traktatu o Unii Europejskiej, czyli traktatu lizbońskiego, popisanego przez ówczesnego prezydenta Lecha Kaczyńskiego, jak i Traktatu o funkcjonowaniu Unii Europejskiej. Te normatywne europejskie najwyższe akty prawne wiążą również państwo polskie. Na bazie tych traktatów powinna więc być przygotowana ustawa regulująca kwestie związane z członkostwem w UE oraz – mam nadzieję, że nigdy to nie nastąpi – ewentualnym wystąpieniem z Unii. Z tego powodu, powtarzam, że Trybunał Konstytucyjny nie funkcjonuje zgodnie z konstytucją.

Rozmawiał Robert Walenciak

Leszek Miller – premier rządu RP, przewodniczący Komitetu Integracji Europejskiej (2001-2004). 13 grudnia 2002 r. na szczycie w Kopenhadze zakończył negocjacje z Unią Europejską dotyczące naszej akcesji. 16 kwietnia 2003 r. w Atenach razem z Włodzimierzem Cimoszewiczem i Danutą Hübner podpisał traktat o przystąpieniu Polski do UE. Traktat w referendum akcesyjnym w dniach 7-8 czerwca 2003 r. poparło 77,45% uczestniczących.

Włodzimierz Cimoszewicz – w latach 2001-2005 minister spraw zagranicznych. Razem z premierem Leszkiem Millerem 16 kwietnia 2003 r. w Atenach w imieniu Polski sygnował traktat o przystąpieniu Rzeczypospolitej Polskiej do Unii Europejskiej.

Ryszard Kalisz – przedstawiciel Prezydenta RP w Komisji Konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego, szef Kancelarii Prezydenta RP, poseł SLD, od 2 maja 2004 r. szef MSWiA.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

eprasa.pl 279906a1ed

Zaślubiony Ziobrze

Dariusz Barski cierpi katusze, bo nie jest już prokuratorem krajowym



Dariusz Barski, niedoszły poseł PiS, świadek na ślubie Zbigniewa Ziobry i ojciec chrzestny jego syna, wiele zyskał dzięki przyjaźni z byłym ministrem sprawiedliwości.

Andrzej Sikorski

12 stycznia minęły dwa lata od usunięcia przez Adama Bodnara Dariusza Barskiego z funkcji prokuratora krajowego. Według ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego Barski, niedoszły poseł PiS, świadek na ślubie Zbigniewa Ziobry i ojciec chrzestny jego syna, został przywrócony przez swojego przyjaciela ze stanu spoczynku do służby czynnej na podstawie nieobowiązujących przepisów, a tym samym nie mógł być legalnym prokuratorem krajowym.

Z okazji rocznicy „obalenia" Barski pojawił się w Pałacu Prezydenckim na audiencji u Karola Nawrockiego. Zdaniem głowy państwa kumpel ściganego przez wymiar sprawiedliwości byłego ministra „jest jedynym legalnym prokuratorem krajowym", który „został przez rząd bezprawnie i siłowo pozbawiony możliwości wykonywania funkcji", co jest „atakiem na konstytucyjne fundamenty ustroju państwa".

Klawe życie emeryta

Mało kto już dziś o tym pamięta, ale Barski w 2010 r., mając zaledwie 42 lata, przeszedł w stan spoczynku, czyli na prokuratorską emeryturę z wynagrodzeniem w wysokości ostatniej pensji (ok. 14 tys. zł). Jak to możliwe, skoro wiek emerytalny prokuratorów (mężczyzn) to 65 lat, a związane z tym uposażenie wynosi 75% wynagrodzenia?

Gdy w 2010 r. oddzielono Prokuraturę Generalną od Ministerstwa Sprawiedliwości, Andrzej Seremet dostał w spadku po poprzednikach ponad 70 prokuratorów Prokuratury Krajowej. Zgodnie z przepisami prokurator generalny mógł zdecydować, którego z nich powołać do nowej Prokuratury Generalnej, a komu

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/ EAST NEWS

eprasa.pl 279906a1ed

zaproponować pracę w jednostce niższego szczebla. Jednak 26 prokuratorów, którzy nie otrzymali nominacji do Prokuratury Generalnej, nie wyraziło chęci ścigania przestępców w prokuraturach apelacyjnych i okręgowych. Wykorzystali przepis pozwalający (bez względu na wiek) przejść w stan spoczynku z zachowaniem 100% dotychczasowego wynagrodzenia.

Zaledwie 42-letni Barski w 2010 r. przeszedł w stan spoczynku z wynagrodzeniem w wysokości ostatniej pensji (ok. 14 tys. zł).

Nie wiadomo, kto wybranym prokuratorom załatwił tak lukratywne świadczenia za nicnierobienie. W pierwotnym projekcie ustawy reformującej prokuraturę nie było wspomnianego przepisu i dopiero na etapie prac w Sejmie (prawdopodobnie w podkomisji) któryś poseł zrobił tzw. wrzutkę – na tyle sprytnie, że nikt się nie zorientował. Było to działanie typowe dla republiki bananowej. Okazuje się, że w polskim parlamencie można bezkarnie przegłosować ekstraprzywileje dla kilku kolesi.

To nie przypadek, że w niezależnej od polityków prokuraturze nie chcieli pracować współpracownicy Zbigniewa Ziobry. Oprócz Barskiego „emerytami" zostali m.in. Bogdan Święczkowski (40 lat), Grzegorz Ocieczek (41 lat), Przemysław Funiok (41 lat), Przemysław Piątek (42 lata) i Krzysztof Sierak (44 lata). Panowie prokuratorzy w pełnił sił i zdrowia po przepracowaniu ledwie kilkunastu lat porzucili służbę państwu, wybierając lenistwo i pokaźne uposażenia, o jakich zwykli śmiertelnicy nie mogli nawet pomarzyć.

W maju 2010 r. Dariusz Barski został szczęśliwym emerytem, a jesienią 2011 r. dostał się do Sejmu z listy PiS dzięki wsparciu Zbigniewa Ziobry (wówczas europosła). „Żałuję, że dalej nie jest w prokuraturze, co jest wynikiem błędnej polityki Platformy Obywatelskiej. Dlatego uważam, że jest potrzebny w Sejmie. Byłoby źle, gdyby człowiek o takich kwalifikacjach spędzał czas w domu z dziećmi, a nie pracował na rzecz polskiego państwa", mówił o swoim przyjacielu Ziobrze, insynuując, że został on zmuszony do odejścia z prokuratury.

Okazało się jednak, że prokurator w stanie spoczynku nie może być parlamentarzystą; aby zachować mandat poselski, musiałby się zrzec prokuratorskiego stanu. Barski przekalkulował, że to dla niego nieopłacalne finansowo, i ostatecznie nie zasiadł w ławach sejmowych. To tyle odnośnie do jego propaństwowej postawy.

Rydzyk niewinny, Kwaśniewska za kraty

Wracając do kwalifikacji Barskiego, były one szczególne. Za pierwszych rządów PiS Zbigniew Ziobro mianował go prokuratorem apelacyjnym w Łodzi, a potem awansował na prokuratora krajowego. Barski zaskarbił sobie względy Ziobry, bo jeszcze jako szeregowy prokurator Prokuratury Okręgowej w Łodzi prowadził „gorące" śledztwa polityczne, w których przewijały się nazwiska polityków rządzącego wówczas SLD. Potem, będąc szefem prokuratury apelacyjnej, nadzorował śledztwo w sprawie Mieczysława Wachowskiego oskarżonego o wiele przestępstw, jak się później okazało – bezpodstawnie. Na przesłuchania w charakterze świadka wzywał Lecha Wałęsę, a propisowskie media miały z tego uciechę. „Komuś zależy, aby na siłę skazać Wachowskiego. Nie ma żadnych argumentów, aby ta sprawa się toczyła. To złośliwe i tendencyjne zachowanie paru ludzi. (…) To śledztwo to jest polowanie na Wachowskiego, a ja nie uczestniczę w polowaniu", nie krył oburzenia były prezydent.

Oprócz Barskiego „emerytami" zostali Bogdan Święczkowski (40 lat), Grzegorz Ocieczek (41), Przemysław Funiok (41), Przemysław Piątek (42) i Krzysztof Sierak (44).

Jako prokurator krajowy Barski chronił Tadeusza Rydzyka, gdy wyszły na jaw nagrania wykładu, w trakcie którego duchowny tłumaczył swoim studentom, że Maria Kaczyńska jest czarownicą, i doradzał jej eutanazję, Lecha Kaczyńskiego zaś nazwał oszustem ulegającym lobby żydowskiemu. Redemptorysta mówił też, że sprawa Jedwabnego służyła tylko temu, by środowiska żydowskie mogły wyłudzić od Polski 65 mld dol. Odpowiadając na pytania posłów w Sejmie, Barski twierdził, że zarzut znieważenia nie może dotyczyć członków rodziny głowy państwa, a zachowanie znieważające „musi być na tyle wyraźne, by mogło być uznane za przejaw poniżenia, pogardy, a nie jedynie za przejaw lekceważenia". O zarzucie znieważenia Żydów powiedział: „Słowa stanowią komentarz obrazujący pogląd ich autora na otaczającą go rzeczywistość i nie dają uzasadnionego podejrzenia popełnienia przestępstwa".

Jednak prawdziwą sławę przyniosła mu konferencja multimedialna zorganizowana latem 2007 r. wspólnie z Jerzym Engelkingiem (zastępcą prokuratora generalnego). Ujawniono na niej materiały operacyjne (m.in. nagrania z podsłuchów) ze śledztwa w sprawie przecieku w tzw. aferze gruntowej mające udowodnić tezę, że to Janusz Kaczmarek, były szef MSWiA, zdradził akcję CBA wymierzoną w Andrzeja Leppera. Kaczmarek zdradził, ale Jarosława Kaczyńskiego i Ziobrę, ujawniając opinii publicznej kulisy ich rządów. I za to spotkała go zemsta. Przed komisją śledczą ds. nacisków Konrad Kornatowski, komendant główny policji za czasów PiS, zeznał, że gdy w mieszkaniu służbowym Kaczmarka zainstalowano podsłuchy, Barski z Engelkingiem przyszli na suto

eprasa.pl 279906a1ed

zakrapianą imprezę. „Engelking nie był w stanie dojść do domu. Powiedział, że całe społeczeństwo powinno być inwigilowane. To nie był żart. To było memento tych czasów", powiedział Kornatowski.

O Barskim wspominał również były agent CBA Tomasz Kaczmarek, wykonawca politycznego zlecenia wrobienia Jolanty i Aleksandra Kwaśniewskich w ukrywanie majątku. Jak wiadomo, nic z tego nie wyszło, a skruszony „agent Tomek" ujawnił, że Barski obiecał mu, że „zorganizuje grupę realizacyjną, która wsadzi panią Kwaśniewską za kraty".

Żona Barskiego też meblowała prokuraturę, i to dosłownie. Gabriela Barska – na zlecenie Prokuratury Krajowej – namalowała trzy kopie obrazów Jana Matejki. Dzieła te zawisły w gabinecie prokuratora krajowego Bogdana Święczkowskiego. Sprawa owiana była tak wielką tajemnicą, że otarła się aż o Naczelny Sąd Administracyjny, który nakazał Prokuraturze Krajowej ujawnienie informacji dotyczących zawarcia umów z wpływową malarką.

„Agent Tomek" ujawnił, że Barski obiecał mu, że „zorganizuje grupę realizacyjną, która wsadzi panią Kwaśniewską za kraty".

Na straży interesów PiS

Taki fachowiec to prawdziwy skarb, więc w grudniu 2015 r. Zbigniew Ziobro ściągnął emeryta Barskiego do Ministerstwa Sprawiedliwości, gdzie ten pracował (na umowie cywilnoprawnej) jako „ekspert" i „doradca". Miał przygotowywać reformę prokuratury, co faktycznie sprowadzało się do podporządkowania jej PiS.

W kolejnych latach Barski powiększał swoje wpływy w prokuraturze, pociągając za sznurki, dzięki czemu awansowali jego zaufani ludzie. Beata Marczak została zastępcą prokuratora generalnego ds. przestępczości zorganizowanej, a Adam Gierk szefem wydziału spraw wewnętrznych Prokuratury Krajowej – komórki prowadzącej śledztwa dotyczące prokuratorów i sędziów.

Wiosną 2022 r. Barski został prokuratorem krajowym, zastępując Bogdana Święczkowskiego, oddelegowanego do kontrolowanego przez PiS Trybunału Konstytucyjnego. Doszło do patologicznej sytuacji. Zbigniew Ziobro, stojąc na czele zorganizowanej grupy przestępczej, rozkradał pieniądze z Funduszu Sprawiedliwości (o czym trąbiły już media), a ojciec chrzestny jego dziecka przymykał oko na niecny proceder. Zresztą Barski był ślepy także na inne przestępstwa popełniane przez ludzi PiS. Nie ma więc co się dziwić, że gdy sondaże przedwyborcze wskazywały, że Zjednoczona Prawica przegra wybory w 2023 r., Jarosław Kaczyński postanowił zabetonować prokuraturę, tak by nawet będąc w opozycji, sprawować nad nią kontrolę. Zgodnie z nowymi przepisami niemal cała władza w prokuraturze została scedowana z ministra sprawiedliwości prokuratora generalnego na prokuratora krajowego, którego nie można odwołać bez zgody prezydenta (podobnie jak zastępców prokuratora generalnego). Jednak Zbigniew Ziobro przelicytował, starając się zapewnić sobie bezkarność. Gdyby nie zrobił podmiany na stołku prokuratora krajowego (albo zamiast Barskiego mianował czynnego prokuratora), nie musiałby uciekać z Polski.

Dariusz Barski prokuratorem krajowym był niecałe dwa lata. W tym czasie zarobił ponad 1 mln zł. Gdy po raz drugi przeszedł w stan spoczynku, jego emerytura poszybowała do prawie 40 tys. zł. Jest to nie tylko skandaliczne, ale i demoralizujące dla innych prokuratorów pozbawionych „politycznych pleców". Najbardziej obciążeni pracą początkujący prokuratorzy liniowi, prowadzący śledztwa i ścigający przestępców, zarabiają rocznie ok. 140 tys. zł, a ci z większym stażem niewiele więcej.

Sytuacja wygląda tak: ślubny świadek Zbigniewa Ziobry nie uznaje swojego odwołania i pielgrzymuje po zaprzyjaźnionych mediach, utyskując na swój los i bezprawne działania „koalicji 13 grudnia". „Uniemożliwiono mi realizację kompetencji wynikających ze sprawowanej funkcji. Dezaktywowano moje legitymacje i karty służbowe umożliwiające wstęp do siedziby Prokuratury Krajowej i dostęp do wszelkich innych funkcjonalności. Zaplombowano mój gabinet, a następnie włamano się do niego, posunięto się do tak groteskowych działań jak przeszukiwanie bagażnika wjeżdżającego do siedziby PK samochodu służbowego, który wcześniej użytkowałem. Wybrano zatem rozwiązanie siłowe", żalił się w rozmowie z „Rzeczpospolitą".

Andrzej Sikorski

PRENUMERATA POCZTOWA PRZEGLĄDU

Przegląd

Jeden egzemplarz w prenumeracie 9 zł

117 zł – II KWARTAŁ

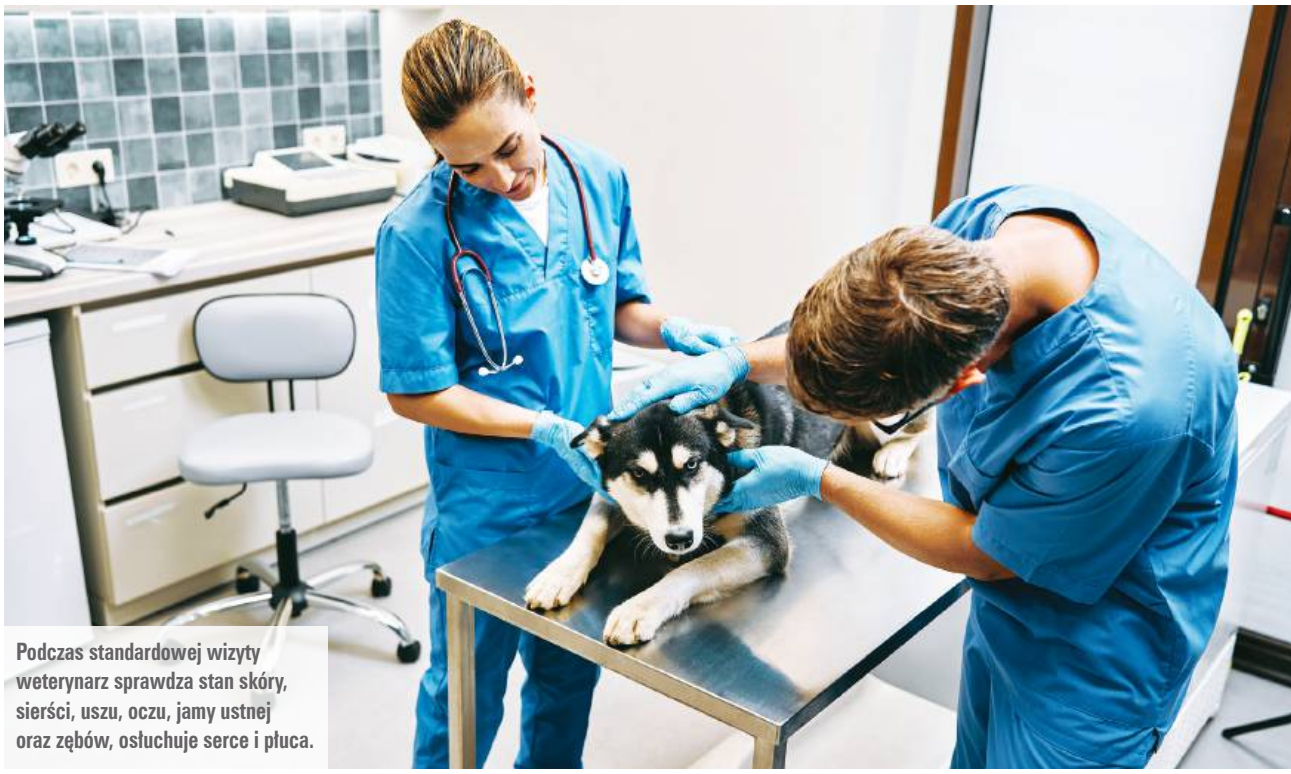
351 zł – II, III i IV KWARTAŁ



Zamówienia można składać do 25 lutego 2026 r.

We wszystkich placówkach pocztowych lub drogą elektroniczną pod adresem: sklep.poczta-polska.pl

eprasa.pl 279906a1ed



Podczas standardowej wizyty weterynarz sprawdza stan skóry, sierści, uszu, oczu, jamy ustnej oraz zębów, osłuchuje serce i płuca.

Zagadka weterynarii

Awantury w gabinetach, hejt w internecie

Kornel Wawrzyniak

„Myślałam, że to świetny zawód. Okazuje się, że to nie jest zawód dla kobiet, które chcą mieć rodzinę. Bardzo ciężko jest to pogodzić. Dodatkowo w zawodzie, gdzie leczy się zwierzęta, wcale dużo się nie zarabia. Jest to zawód bardzo obciążający psychicznie", mówi jedna z lekarek weterynarii w badaniu MEDWET, przeprowadzonym na zlecenie Krajowej Izby Lekarsko-Weterynaryjnej (KILW).

Twarde dane, twarde życie

W Polsce jest ponad 20 tys. weterynarzy z prawem wykonywania zawodu. Według danych Krajowej Izby Lekarsko-Weterynaryjnej obecnie w całym kraju działa 7,6 tys. placówek świadczących pomoc zwierzętom. Według najnowszego badania Federation of Veterinarians of Europe (FVE, Europejska Federacja Lekarzy Weterynarii) przeciętny weterynarz w Europie ma 44 lata i jest kobietą. Na całym kontynencie ma zaś być ok. 330 tys. lekarzy weterynarii.

Krajowe dane z głównych uczelni weterynaryjnych wskazują, że dziś aż 65% lekarzy weterynarii to kobiety. Ich udział od 2018 r. wzrósł o 7%, a trend feminizacji tego zawodu się utrzymuje. Co więcej, kobiety dominują we wszystkich sektorach pracy weterynarzy. Stanowią nie tylko 65% pełnoetatowych lekarzy weterynarii, ale też 56% właścicieli firm weterynaryjnych lub partnerów w takich firmach. Według danych FVE co czwarty europejski weterynarz ma własny gabinet.

49% weterynarzy może się pochwalić przeszło 15-letnim doświadczeniem w zawodzie. 66% europejskich weterynarzy pracuje w pełnym wymiarze godzin, najbardziej doświadczeni – w niezależnych praktykach. Najczęstszym sektorem zatrudnienia jest praktyka kliniczna (63%). Przy czym mówimy głównie o praktykach koncentrujących się na małych zwierzętach, takich jak koty i psy. Weterynaria jest więc demograficznie zawodem młodym. Wyjątek stanowią tu weterynarze pracujący ze zwierzętami gospodarskimi. Krajowa Izba Lekarsko-Weterynaryjna bije na alarm, ponieważ ich liczba drastycznie spada.

Absolwenci weterynarii nie chcą pracować na wsiach. Przedstawiciele KILW zwracają uwagę, że to niebezpieczna praca, bardzo angażująca, a jednocześnie słabo płatna. Możliwości rozwoju zawodowego również są dużo mniejsze. Bez odpowiednich regulacji i podniesienia stawek za kilka lat hodowcy mogą mieć ogromny kłopot ze znalezieniem pomocy weterynaryjnej.

FOT.SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 279906a1ed

Z badania MEDWET wynika, że weterynarze dość nisko oceniają swoje możliwości zachowania równowagi między życiem zawodowym a prywatnym. 57,3% respondentów nie radzi sobie z tzw. work-life balance, czyli równowagą między pracą i życiem. Respondenci oceniali tę kwestię w skali 0-10, gdzie 10 to najwyższa ocena. Średnia wyniosła 4,3. Nieco wyżej weterynarze oceniają satysfakcję zawodową. Satysfakcję, od przeciętnej po wysoką, odczuwa 63,9% lekarzy. Tutaj średnia w skali 0-10 wynosi 5,4.

Większość weterynarzy jest w ciągłym niedoczasie ze względu na wykonywany zawód. Tylko 16,6% badanych ma czas na swoje zainteresowania, a 13,5% zupełnie z nich zrezygnowało. Ponad połowa weterynarzy nie ma wystarczająco dużo czasu na hobby, 16,7% nie ma go w ogóle.

Większość badanych (82%) odczuwa w pracy presję czasu. Dwie trzecie respondentów uważa, że pracuje za dużo. 62% podkreśla, że nie zarabia wystarczająco, a prawie 70% – że nie zarabia adekwatnie do wysiłku. Co trzeci weterynarz myśli o zmianie pracy. Z drugiej strony 66% respondentów zaznaczyło, że nie doświadcza problemów finansowych.

Przeciążenie

„(...) I tak znalazłam się w tym miejscu, gdzie jestem... i naprawdę kocham bycie weterynarzem... Tylko jestem zmęczona ludźmi, którzy wiecznie mają o coś pretensje, oczekiwania, nie płacą, nie przepraszają, poniżają...", pisze kolejna uczestniczka badania MEDWET.

Od lat mówi się o syndromie samobójczym wśród weterynarzy. Według badań „Journal of the American Veterinary Medical Association" przez ostatnich 30 lat ryzyko popełnienia samobójstwa wśród osób uprawiających ten zawód jest trzyipółkrotnie wyższe niż w populacji ogólnej.

„Kluczowym czynnikiem jest dostępność leków i zupełnie inne postrzeganie śmierci niż u reszty lekarzy. My, codziennie obcując z cierpieniem zwierząt, nie postrzegamy śmierci jako najgorszego scenariusza. Kiedy ktoś mnie pyta, co jest najtrudniejsze w mojej pracy, nigdy nie mówię, że to wykonywanie eutanazji. Ona jest swoistego rodzaju pomocą. W momencie, kiedy lekarz weterynarii boryka się ze swoimi problemami, niekoniecznie związanymi z pracą, u niektórych może pojawić się czarna myśl, żeby skończyć wszystko i »uwolnić się« od cierpienia. Tak jak uwalniamy zwierzęta", powiedziała portalowi Noizz lekarka weterynarii Magda Firlej-Oliwa.

Lekarze weterynarii od lat walczą z łatką dorobkiewiczów zbijających majątki na chorych zwierzętach.

Prawie jedna czwarta respondentów z badania zleconego przez KILW przyznaje, że rozważała popełnienie samobójstwa za pomocą środków farmaceutycznych służących do usypiania zwierząt. 83% badanych podało, że ma dostęp do takich preparatów, a 65%, że dostęp do nich jest łatwy.

Według badania MEDWET prawie 25% weterynarzy leczy się lub leczyło psychiatrycznie, ok. 45% zaś korzystało lub korzysta z pomocy psychologa. Spośród osób, które zadeklarowały fakt leczenia psychiatrycznego, 25% leczyło się ponad dwa lata, a kolejne 20% przez ponad pięć lat. Przeszło 16% respondentów twierdzi, że w przeszłości próbowało zrobić sobie krzywdę (np. poprzez samookaleczanie), z czego u 2% ten stan trwa obecnie.

Porozmawiajmy o pieniądzach

„Ceny są wysokie w porównaniu do zarobków polskiego społeczeństwa, ale wciąż za niskie, żebyśmy mogli wprowadzić poziom lecznictwa na poziomie większości krajów europejskich. Mój kolega mieszka w Szwecji i za leczenie kota zapłacił równowartość 40 tys. zł. W Polsce dostałby rachunek na 5-10 tys. zł, w zależności od przychodni. Jeżeli chcemy iść ze zwierzęciem do lekarza, który ma wiedzę, profesjonalny sprzęt i nie siedzi 24. godzinę na dyżurze, to nie da rady, żeby wizyta kosztowała 30 zł", stwierdziła w rozmowie z Noizz.pl Magda Firlej-Oliwa.

Koszty wizyty w przychodni weterynaryjnej są uzależnione od kilku czynników. Po pierwsze, ważna jest lokalizacja. W dużych miastach wizyty są zazwyczaj droższe m.in. ze względu na wyższe koszty utrzymania placówki. Po drugie, wiele zależy od wielkości zwierzęcia. Kastracja czy sterylizacja są droższe w przypadku większych ras. Sporą rolę odgrywa też stan zdrowia zwierzęcia. Skomplikowane lub przewlekłe schorzenia mogą znacząco wpłynąć na cenę wizyty ze względu na dodatkowe badania czy środki zaradcze. Wreszcie cena jest powiązana ze specjalizacją weterynarza. Idąc do ortopedy czy zwierzęcego stomatologa, można się spodziewać wyższych cen za specjalistyczną opiekę.

W 2025 r. ceny za podstawowe badania medyczne kształtowały się zależnie od regionu Polski. Podczas standardowej wizyty weterynarz sprawdza stan skóry, sierści, uszu, oczu, jamy ustnej oraz zębów, osłuchuje serce i płuca, bada palpacyjnie brzuch. Bardzo często z marszu zaleca się badanie krwi i moczu. Niekiedy w grę wchodzi też badanie kału, rentgen lub USG. Te dwa ostatnie badania znacząco podnoszą koszt wizyty. Za rentgen zależnie od regionu można zapłacić od 190 zł w Lubuskiem czy Opolskiem do 260 zł w Pomorskiem. USG to koszt średnio 150-250 zł, a badanie krwi wacha się między 90 a 140 zł. Do tego dochodzi profilaktyka, taka jak szczepienie przeciwko wściekliźnie, które niezależnie od regionu kosztuje między 50 a 80 zł. Za zabieg kastracji psa poniżej 10 kg zapłacimy od 580 do 800 zł. Bardziej wyspecjalizowane zabiegi mogą iść w tysiące złotych.

eprasa.pl 279906a1ed

W portalu Reddit na jednym z forów o weterynarii znajduję wątek o zarobkach w innych krajach. Weterynarze z USA wskazują, że ich wynagrodzenia nie są specjalnie wysokie. Część forumowiczów podkreśla, że najgorsze są pierwsze lata po studiach weterynaryjnych, kiedy trzeba spłacać kredyty studenckie. Według portalu PKB24.pl przeciętne zarobki weterynarzy w 2025 r. wynosiły w Polsce 7,5 tys. zł brutto miesięcznie. Warto jednak zaznaczyć, że początkujący zarabiają niewiele powyżej minimalnej krajowej.

Człowiek gryzie weterynarza

W 2023 r. było głośno o sprawie z Otwocka. Właściciel psa pobił lekarkę weterynarii w gabinecie. Podczas szarpaniny pies dołączył do właściciela i pogryzł specjalistkę. Wszystko przez to, że odmówiła uśpienia zwierzęcia, bo nie było do tego wskazań. Kobiecie udało się uwolnić i wezwać policję. Sprawca uciekł, zostawiając psa w sali.

Agresja w gabinetach weterynaryjnych jest zjawiskiem coraz powszechniejszym. Wskazywał to już trzy lata temu rzecznik Krajowej Izby Lekarsko-Weterynaryjnej Witold Katner: „Przypadki agresji fizycznej wobec lekarzy weterynarii, o których obecnie słyszymy, zaskakują nasze środowisko, które wcześniej w swojej pracy nie spotykało się z takimi formami przemocy”.

A formy są różne. Niektórzy wyzywają, inni grożą, a jeszcze inni wyżywają się w internecie. Jak wiadomo, opinie Google potrafią pogrzebać niejeden biznes. Nie zawsze są to jednak zdania sprawiedliwe i zasłużone. Czasem chodzi po prostu o hejt, który podburza właścicieli zwierząt do agresywnych zachowań w gabinetach. Zjawisko wraz z rozwojem mediów społecznościowych staje się wszechobecne. Obraźliwe komentarze pojawiają się na portalach społecznościowych lub na fanpage’ach gabinetów lekarsko-weterynaryjnych. „Pejoratywne i emocjonalne sformułowania zdecydowanie wykraczają poza prawo do wyrażania opinii, zwłaszcza że wypowiada to z reguły osoba, która nie ma pojęcia o sztuce lekarsko-weterynaryjnej”, podkreślał na łamach „Gazety Wyborczej” Witold Katner.

Każdy medal ma jednak dwie strony. Niektórzy opiekunowie zwierzaków trafiają na weterynarzy z piekła rodem. A przynajmniej na piekielnie nieodpowiedzialnych.

– Po przedszkolu poszłam odebrać z dziećmi psa po kastracji. Wesoło oznajmiłam: „Chodźcie dzieci, Ziółko pójdzie zaraz z nami do domku”. Na miejscu okazało się, że weterynarz wyszedł z placówki, zostawiając psa po zabiegu bez opieki. Spotkaliśmy się pod drzwiami. Ziółko wygryzł sobie wszystkie szwy, odrywając pozostałości worka mosznowego, i wykrwawiał się w poczekalni. Weterynarz głupkowato oznajmił, że pies musiał jakoś wydostać się z klatki – opowiada Amelia, właścicielka psów z wieloletnim stażem.

Wielu właścicieli narzeka na czysto biznesowe podejście weterynarzy do zwierząt. Niektórzy przedstawiciele tej branży nie czują powołania, ale wiedzą, gdzie jest zysk. Łatwo wtedy o zatracenie etyki pracy. Takie zachowania szkodzą zaś całemu środowisku. Szczególnie że weterynarze od lat walczą z łatką dorobkiewiczów zbijających majątki na chorych zwierzętach.

– Przez to głupie tłumaczenie weterynarza zabrałam Ziółka do innej placówki. Ale to jak ruletka, a poprawianie po innym weterynarzu to koszty potrafiące iść w tysiące złotych. Próbowałam też swoich sił z izbą weterynaryjną, aby pociągnęli tamtego weterynarza do odpowiedzialności, ale próbowali tylko zrobić ze mnie histeryczkę – kończy opowieść Amelia.

Ruletka to bardzo dobre określenie. Czasem nawet ta sama klinika weterynaryjna ma różne oblicza. I nie mówimy jedynie o tym, że pracuje w niej kilku lekarzy.

– Chodziłem wiele lat do tej samej kliniki, która przyjmuje całą dobę, cały tydzień. Leczyłem już tam zwierzęta. Ostatnio nasz kot miał kłopot z kamieniami w pęcherzu. Zanim zrobili mu zabieg, byłem chyba na czterech wizytach. Za każdym razem u innego lekarza. Ale „najlepsze” przyszło potem. We wtorek zrobili kotu zabieg. W razie jakichkolwiek kłopotów miałem przyjść. W piątek kot zaczął sikać krwią. Telefon do kliniki. Mówię, jaka jest sytuacja. Recepcja odpowiada, że nikt mnie nie przyjmie, bo dziś mają remanent. Zastanawiam się, dlaczego mieli ustalony plan zabiegowy, skoro wiedzieli, że w piątek będzie zamknięte. Nie ma przecież spontanicznych remanentów. Jedyną odpowiedzią wydaje się chciwość, wszak zapłaciłem za zabieg 1,9 tys. zł plus poprzedzające wizyty, czyli kolejne 1 tys. zł – relacjonuje Julian.

Opiekunowie pacjentów również potrafią dać weterynarzom do wiwatu. Część klientów miga się od płacenia. Inni uważają, że jak nie uda się uratować ich zwierzaka, to mogą nie płacić za operację czy zabieg. Jeszcze inni grożą albo robią sceny w poczekalni. Wyzwiska są dziś na porządku dziennym. Niejeden weterynarz ma na podorędziu gaz pieprzowy. Bywa też, że ktoś, słysząc, ile będzie kosztowało leczenie, krótko podsumowuje: „Ile?! To niech zdycha”.

Wyzwiska pod adresem weterynarzy są dziś na porządku dziennym.

Jak zwykle prawda leży gdzieś pośrodku. W każdym środowisku zdarzają się bowiem patologie. Zdarzają się także właściciele, którzy nie potrafią zrozumieć, że posiadanie zwierzaka jest ogromną odpowiedzialnością i wymaga konkretnych nakładów finansowych. Nic nie jest czarno-białe tak jak u Sienkiewicza. Jednak akty agresji i hejt wylewający się z internetu nie są winą specjalistów. Być może za dużo wirtualnego świata wkracza w ostatnich latach do tego realnego. Zanim więc poniosą nas emocje, pamiętajmy, że na żywo nic nie zastąpi tego, co nazywa się taktem i kulturą osobistą.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 279906a1ed

Czym ogrzać Polskę?

Za odejście od ogrzewania węglem Polacy słono płacą. Za chwilę mogą za to zapłacić polskie lasy



Mateusz Cieślak

Przez całe lata rządzący namawiali miliony obywateli do rezygnacji z węgla. Miała go zastąpić „zielona energia". Surowa zima, która nadeszła po kilku łagodniejszych, pokazała prawdę o tym, czym jest transformacja ekologiczna w polskim wydaniu.

W styczniu br. w województwie śląskim oraz na Podkarpaciu zaczął obowiązywać zakaz stosowania kolejnych „kopciuchów" czyli starych kotłów grzewczych, „pozaklasowych". W różnych miejscach kraju obowiązują regulacje mające w niedalekiej przyszłości sprawić, że w domach nie będzie się ogrzewać węglem. Gdzieniegdzie zakazy idą znacznie dalej. W Krakowie od jesieni 2019 r. obowiązuje całkowity zakaz stosowania paliw stałych do ogrzewania mieszkań oraz domów. Dotyczy on nie tylko węgla, ale nawet drewna czy wytwarzanego z trocin pelletu. Za użycie tego zakazanego paliwa grozi mandat do 500 zł i 5 tys. zł kary, jeśli sprawa znajdzie się w sądzie.

Gdzie indziej jednak pellet jest traktowany jako ekologiczna alternatywa dla węgla na opał. Rząd wręcz zachęcał ludzi do wymiany kotłów grzewczych na te przystosowane do spalania pelletu. Niemal 1,3 mln rodzin dało się namówić na udział we flagowym programie państwa „Czyste powietrze". Można szacować, że pół miliona z nich wybrało ogrzewanie pelletem. Na początku tego roku (czego statystyki nie obejmują) ta liczba miała znacząco wzrosnąć. Ludzie otrzymali dotacje i wymienili kotły węglowe na opalane pelletem. A teraz płaczą, a niektórzy być może złorzeczą.

Bitwa o trociny

Gdzie jest pellet? – pytają. I dlaczego jest horrendalnie drogi? Jego cena na początku tego roku dosłownie wystrzeliła. W dodatku go zabrakło. W marketach budowlanych, takich jak Castorama, OBI czy Leroy Merlin, które jeszcze niedawno kusiły promocjami na „ekoopał", dziś pellet drzewny stał się towarem niemal mitycznym. Sprzedaż internetowa praktycznie zamarła – strony e-sklepów straszą czerwonymi komunikatami o braku towaru w magazynach.

Ci, którzy nie zrobili zapasów jesienią, biorą dziś udział w upokarzającej bitwie o każdy kilogram. W składach opałowych tworzą się listy społeczne, a nowe dostawy – o ile w ogóle dotrą – znikają w ciągu zaledwie dwóch godzin. Sklepy stacjonarne wprowadziły drastyczną reglamentację. „Pięć worków na rękę" to w wielu regionach norma. A przecież to zaledwie 75 kg – ilość, która przy mroźnej nocy w średniej wielkości domu wystarczy na dobę, może półtorej.

Cena? Czyste szaleństwo. Nawet trzy razy wyższa niż przed mrozami. Za jedną tonę pelletu w workach trzeba dziś zapłacić od 3 tys. do ponad 5 tys. zł. Zwykły worek ważący 15 kg, który jeszcze rok temu kosztował kilkanaście złotych, dziś wyceniany jest na 50 zł. Ludzie, którzy zaufali państwu, czują się zwyczajnie oszukani.

Pellet jest traktowany jako ekologiczna alternatywa dla węgla na opał.

Ich gorycz może być tym większa, że węgla w sprzedaży nie brakuje. Inaczej niż w 2022 r. Wtedy cena tony węgla grzewczego oparła się o próg 3,5 tys. zł. Dzisiaj jest niższa o niemal 70%. W składach opałowych można go kupić poniżej 1,5 tys. zł za tonę. W mediach społecznościowych ogłaszają się górnicy mający prawo do deputatu węglowego. Oferują talony na 8 ton węgla i niekoniecznie znajdują na nie nabywców. W jednej z takich

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 279906a1ed

ofert czytamy: „Ekogroszek Karlik. 10,8 tys. zł za całość".

Mróz ratuje lasy

A skoro jesteśmy przy mediach społecznościowych, to pisząc ten artykuł, znalazłem jeden optymistyczny wpis o pellecie. Na zdjęciu tir z ładunkiem, plandeka częściowo zdjęta, by było widać, że nie jest to ściema. I komentarz firmy, która ów wpis zamieściła: „Dobra wiadomość – świeża dostawa pelletu Premium Selection jest już na placu i dostępna od ręki. Uwaga: ilość ograniczona, nie wiemy, na jak długo starczy! Dlatego wprowadzamy limit: maks. 20 worków na jedno auto. Cena 39 zł za worek. Zapraszamy na skład – nie odkładaj na później, bo pellet znika szybciej, niż myślisz!".

Pod wpisem kilka komentarzy. Wśród nich (przepraszam, tylko cytuję): „Po…ło was, takie ceny".

Ci, którzy nie zrobili zapasów jesienią, biorą udział w upokarzającej bitwie o każdy kilogram.

Jedna trzecia terytorium Polski jest porośnięta lasami. Nasz kraj to potęga meblarska. Przy produkcji mebli powstają trociny, a z nich pellet. Dlaczego więc go zabrakło? A jeśli jest, to potwornie drogi?

Cóż, dzisiaj w Polsce mebli robi się mniej, a meblarstwo doświadcza w ostatnich latach bolesnego regresu. Branża tonie w długach. Rosną koszty działalności, produkcja mebli hamuje. To pierwsza, choć nie najważniejsza, przyczyna nagłego braku trocin.

Do tego doszła aura – ekstremalne mrozy zamroziły bale drewna w tartakach tak mocno, że stalowe zęby pił pękają przy próbie obróbki. Na czas aż tak niskich temperatur liczne tartaki stanęły. I kolejna przyczyna: niemal 40% krajowej produkcji pelletu (chodzi o ten wysokiej jakości) wycieka za granicę. Niemcom też jest zimno. Też chcą się ogrzać w domach, a płacą w euro i więcej, niż płacili Polacy. Ceny musiały więc poszybować.

Na horyzoncie już czai się nowe niebezpieczeństwo. Nie dla naszych portfeli, znacznie gorsze. Rację mają ekolodzy, że niszcząc ekosystemy, zabijamy planetę. Tylko czy odchodząc od węgla, rzeczywiście działamy na rzecz ratowania środowiska naturalnego? Czy może raczej, dbając o czyste powietrze, szykujemy kolejną katastrofę ekologiczną?

Ekocmentarzysko natury

To fakt, że wymiana kotłów węglowych na coraz nowsze i rezygnacja z węgla na rzecz biomasy sprawiły, że w sezonie grzewczym rzadziej wdychamy smog. Jednak, spalając biomasę, nadal emitujemy do atmosfery dwutlenek węgla. Co więcej, możliwe, że lepiej byłoby pozostać przy węglu. Z badań wynika bowiem, że spalanie drewna wiąże się z większą emisją dwutlenku węgla, i to aż o połowę.

W teorii ten gaz mają pochłonąć nowo posadzone drzewa. Tyle że drzewo rośnie dziesięciolecia. Tymczasem efekt cieplarniany potęguje każda spalona tona paliwa stałego. Mniejsza w tym wypadku o nas, gdyż Polska przy Chinach czy Indiach jest maciupka. Nasza emisja gazów cieplarnianych nie ma większego wpływu na planetę. Dla nas poważniejszym problemem jest to, co robimy z lasami. Tutejszymi. Nawet jeśli i one są ledwie plamką zieleni w porównaniu z dżunglą amazońską.

Produkowany w Polsce pellet prawie w całości powstaje z polskich drzew. Pęd ku ekologicznym rozwiązaniom grzewczym sprawił, że zapotrzebowanie na biomasę przewyższa możliwości jej zrównoważonej produkcji o prawie 30%.

Aby dogrzać domy, zaczynamy nadmiernie wycinać lasy, które miały być naszymi naturalnymi płucami. Raporty Najwyższej Izby Kontroli i Banku Światowego potwierdzają najgorsze. Lasy, zarządzane przez państwowego monopolistę (Lasy Państwowe), tracą wydolność jako pochłaniacze dwutlenku węgla. Chroniąc powietrze przed pyłami z węgla, bezmyślnie przyłożyliśmy rękę do niszczenia lasów. A wraz z nimi wszystkiego, co w nich żyje. Jeśli się nie opamiętamy, nasze lasy znikną. Spalimy je w piecu transformacji, która miała być zielona, a może się stać cmentarzyskiem natury.

A jednak węgiel

W tym zamieszaniu pojawia się paradoksalny zwycięzca: węgiel kamienny. Mimo polityki odchodzenia od niego. Mimo zamykania kopalń oraz zwalniania górników. W styczniu i lutym 2026 r. to właśnie sektor węglowy pozostał jedyną oazą stabilności. Ci, którzy w domach mają piece węglowe, mogą spać spokojnie. Cena węgla nie wariuje, ponieważ, gdy kilka lat temu węgla zaczęło brakować, wprowadzono limity zakupu. To uniemożliwia spekulację.

Od kryzysu na rynku sprzedaży węgla w 2022 r. widać było wyraźny trend na rzecz ogrzewania biomasą, nie tylko w domach prywatnych, ale i w zakładach produkcyjnych. Te szukały bezpiecznej alternatywy dla węgla. Spodziewały się też kolejnych zakazów i kar za emisję dwutlenku węgla – tzw. ślad węglowy. Odchodząc od węgla, firmy te strzeliły sobie w kolano.

Rząd zastanawia się nad interwencją na rynku biomasy. Minister energii Miłosz Motyka powiedział, że nie wyklucza wykorzystania pelletu zgromadzonego w magazynach Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych. Uzależnił to od wyników „śledztwa" UOKiK. Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów bada obecnie łańcuchy dostaw pelletu i sprawdza, czy drastyczne podwyżki cen w marketach budowlanych nie są wynikiem zmowy cenowej. Na razie nic na to nie wskazuje. I wydaje się, że innych przyczyn braku pelletu niż wspomniane nie ma.

Co robić, by taki kryzys się nie powtórzył? To dosyć oczywiste. Budować elektrownie jądrowe, stawiać wiatraki, wspierać tworzenie małych biogazowni. Najlepiej przy każdym gospodarstwie rolnym. Dbać o tanie źródła energii elektrycznej. A póki ich nie ma, nie rezygnować z węgla. ■

eprasa.pl 279906a1ed

JAKO SPOŁECZEŃSTWO JESTEŚMY CORAZ GŁUPSI

Niezwykłe możliwości manipulowania wyborcami

Marek Garbicz

Co ma zrobić nauczyciel akademicki, kiedy jego student, pisząc jakąś pracę zaliczeniową, nie tylko serwuje mu stek bzdur, ale jeszcze nęka go pytaniami, dlaczego ta praca została zdyskwalifikowana? Mamy dziś, niestety, do czynienia z zaskakująco wysokim odsetkiem takich przypadków. Ten przykładowy student nie tylko jest ignorantem, ale jeszcze wykazuje się wysoką ignorancją na temat własnej ignorancji. Nie jest w stanie samodzielnie ocenić swoich defektów intelektualnych, a nawet nie wie, że je ma. Gdybyśmy mieli na chwilę porzucić poprawność polityczną, powiedzielibyśmy wprost: ten głupiec jest tak głupi, że nawet nie wie jak bardzo.

•

Ludzie są oczywiście różni, ale współczesność zbudowała nam nowe, wyjątkowo skuteczne mechanizmy ogłupiania. To jest taka swoista sieć wplątująca jednostki, w której wszyscy się trzepoczemy. A ponieważ są to społeczne uwikłania, a nie tylko nasze DNA, chyba na szczęście nie cała wina za głupotę obciąża nas jako jednostki.

Ryzykując pewne uproszczenie, można wskazać dwa czynniki w największym stopniu odpowiedzialne za zaburzenia kompetencji poznawczych, czyli za masową gotowość do zasysania bzdur. Pierwszy to rewolucja informatyczna prowadząca do gwałtownego obniżenia kosztów informacji i zredukowania barier wejścia na rynki informacyjne. Drugi to erozja kapitału społecznego.

Na początek skutki rewolucji cyfrowej. W praktyce oznacza to, że niemal każdy – prawie za darmo – może publikować i rozpowszechniać dowolną informację, i to na globalną skalę. Jesteśmy zalewani śmieciem informacyjnym, choć oczywiście w tym gąszczu informacji są również komunikaty o wysokiej wartości. Nie istnieje jednak żadna selekcja czy weryfikacja pozwalająca odsiać plewy od ziarna. Każdy komunikat ma więc jednakowy walor i pozornie niesie identyczną wartość poznawczą.

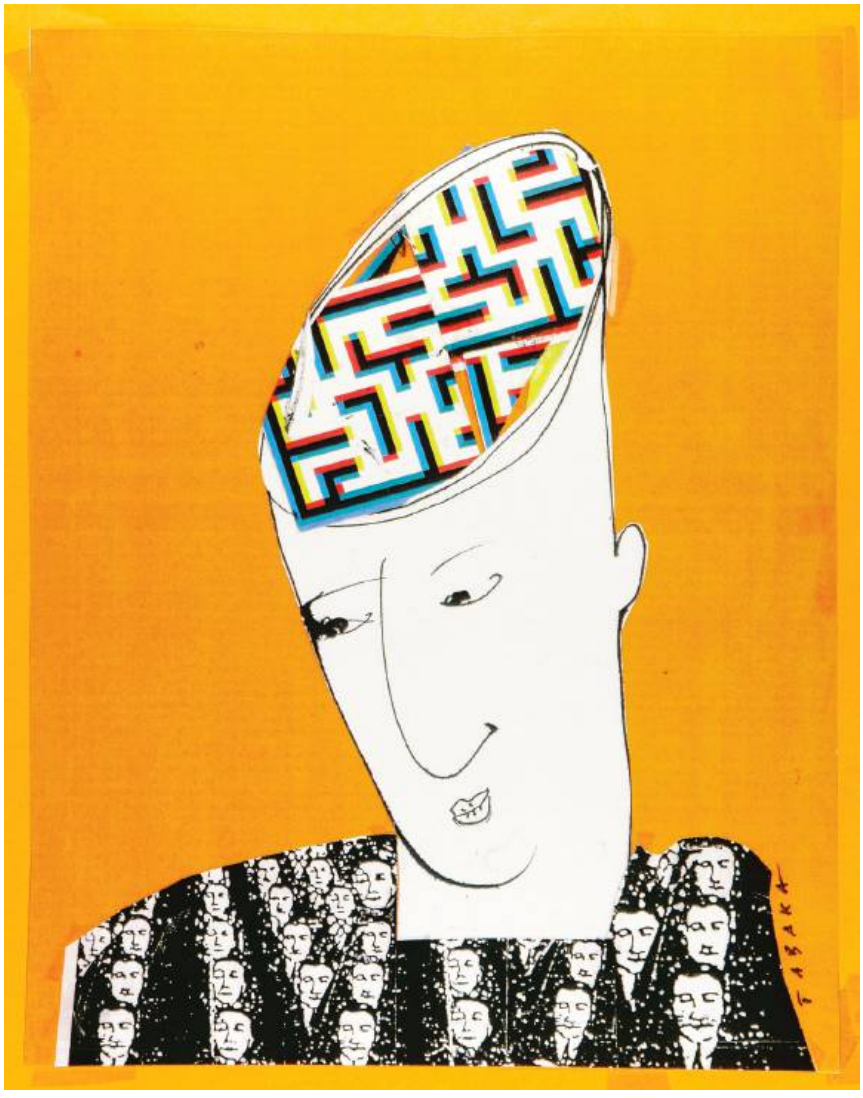
Przy silnym załamaniu się wzajemnego zaufania funkcjonowanie społeczeństwa jako całości staje się praktycznie niemożliwe.

Dla wielu dobroczynny wpływ rewolucji cyfrowej polega na dostępie do obfitej i taniej informacji. Istnieje domniemanie, że społeczne korzyści są rosnącą funkcją zasobu informacji, jaką rozporządzają podmioty. Im więcej się dowiadujesz, tym ponoć jesteś lepiej zorientowany. Doprawdy? Zdolność odbiorców do czytania i weryfikowania wiarygodności informacji jest jednak ograniczona i od pewnego momentu strumień informacji będzie nadmierny. Odbiorcy nie są w stanie w czasie rzeczywistym uporać się z tym zalewem. Albo będą podejmować decyzje z rosnącą zwłoką, albo (co bardziej prawdopodobne) będą to decyzje przypadkowe, błędne i ryzykowne.

Ponadto podmioty, dławiąc się nadmiarem informacji, zaczynają je w coraz większym stopniu ignorować. Kluczowe dla wysyłających komunikaty jest zatem zatrzymanie uwagi odbiorców na „naszej informacji". Odbiorca musi chcieć wybrać i wyselekcjonować z morza innych informacji właśnie tę, która jest dla zainteresowanego ważna. Dlatego dostawcy komunikatów – i to na masową skalę – przestają się przejmować jakością przesyłanej informacji, uznając ten walor za niezbyt istotny, i próbują oddziaływać – zamiast na racje rozumowe – na emocje odbiorców. Skuteczne może być odwołanie się do uczuć zadowolenia, fascynacji, podziwu, zazdrości, strachu, złości, pożądania, niechęci czy zdziwienia[1]. Tyle że wraz z rosnącą liczbą informacji degeneruje się jej jakość, bo zawartość treściowa przekazu maleje.

Wszystko to nie byłoby aż tak groźne, gdyby jednocześnie nie następowała erozja kapitału społecznego. To jest to drugie źródło problemów. Pod pojęciem kapitału społecznego rozumie się takie cechy społeczeństwa, które czynią z niego wspólnotę, tj. zbiorowość, która ufa sobie wzajemnie i jest gotowa do szerokiej kooperacji. Kapitał społeczny jest swoistym klejem zapewniającym silne wzajemne związki i takie relacje między ludźmi w grupie, dzięki którym członkowie zbiorowości są gotowi działać razem i na rzecz kolektywu. Niestety, przy bardzo silnym załamaniu się wzajemnego zaufania funkcjonowanie społeczeństwa jako całości staje się praktycznie niemożliwe. Następuje stopniowa fragmentacja zbiorowości na małe, odrębne, niekooperujące ze sobą

eprasa.pl 279906a1ed



(czasem nawet zwalczające się) grupy. Społeczne konsekwencje takiego rozpadu zbiorowości mogą być katastrofalne. Tak jest np. z naszą wiedzą o świecie.

Dostęp do taniej i powszechnej informacji jest dobrodziejstwem pozwalającym wszystkim na szybkie i sprawne uczenie się, prowadzenie badań naukowych, szeroką dyskusję i wymianę poglądów, poszerzanie horyzontów intelektualnych, słowem czynienie swojego życia ciekawym. Należy jednak postawić w tym miejscu pewne dość naiwne pytania. Skąd wiemy, jaka jest wartość poznawcza informacji, którą właśnie pozyskaliśmy? Skąd w ogóle pochodzi nasza wiedza o świecie? Czy było tak, że samodzielnie wyliczyliśmy prędkość światła? Czy chemiczny wzór benzenu jest może naszym własnym dziełem? Czy znamy osobiście kogoś, kto prowadził śledztwo dotyczące zamachu w Berlinie w Boże Narodzenie w 2016 r. i ustalił sprawcę? Skąd niby wiemy, kiedy i gdzie się urodziliśmy?

Im bardziej prostacki przekaz informacyjny, tym większy jego zasięg.

Wiedzę na temat tych wszystkich kwestii czerpiemy od ludzi, którym ufamy, że mają kompetencje i profesjonalną uczciwość. Niemal cała nasza wiedza – poza mikroskopijnym, lokalnym własnym doświadczeniem – pochodzi z drugiej i trzeciej ręki i opiera się na zaufaniu do innych, do autorytetów, do ekspertów. Kiedy współcześnie jesteśmy zalewani nadmiarową masą informacji o nieznanej wartości, rola tych autorytetów warunkujących zrozumienie świata potencjalnie rośnie. Ale jeśli właśnie w tym krytycznym momencie zasoby kapitału społecznego są bardzo niskie (lub nawet spadają) – co przejawia się w narastającym kryzysie zaufania między ludźmi – podważona zostaje rola autorytetów (bo im nie ufamy) jako narzędzia interpretacji zdarzeń i wyjaśniania tego, co nas otacza.

Autorytety oparte na wiedzy stanowią trwałe punkty odniesienia pozwalające nam zbudować własny, w miarę spójny obraz rzeczywistości. Jeśli te autorytety zostają zniszczone, wchodzą w to miejsce jakieś protezy, przypadkowi interpretatorzy, przygodne figury, samozwańczy mentorzy. Jesteśmy więc świadkami nieprawdopodobnej infantylizacji społecznej w postaci grasujących specjalistów od jakiegoś coachingu, mnożącego się stada influencerów i podobnie wiarygodnych przewodników po otaczającym nas świecie. Szerzy się fala antynaukowych spekulacji, irracjonalizmu i spiskowego myślenia, afirmacja uproszczeń, półprawd oraz myślowego niewyrafinowania[2]. Niski poziom zaufania[3] jest więc w dużym stopniu odpowiedzialny za upadek społecznych kompetencji rozumienia otaczającego nas świata.

•

Głupota jest zaraźliwa i rozprzestrzenia się jak pożar na prerii. Im głupszy, bardziej prostacki, mniej wyrafinowany merytorycznie przekaz informacyjny, tym większy jego zasięg. Decyduje kompetencja w jego odczycie. Im trudniejszy merytorycznie komunikat, tym mniej osób jest zdolnych do przyswojenia go, a szczególnie do samodzielnego zrozumienia. Tego zjawiska niestety nie bierzemy pod uwagę w dostatecznym stopniu. Ludzie wysłuchujący informacji nierzadko jej nie

RYS. MAŁGORZATA TABAKA

eprasa.pl 279906a1ed

rozumieją, a równocześnie w ogóle nie mają tego świadomości. No i tylko wyjątkowo przyznają się do tej słabości. Ale bądźmy poważni, jak ktoś ma się przyznać, że nie wie, skoro tego nie wie?

Jest takie kapitalne amerykańskie badanie, które brutalnie pokazuje tę rzeczywistość. Mianowicie respondentom zadano niewinne pytanie: „Co byś zrobił, gdybyś się dowiedział, że w twojej rodzinie jest homo sapiens?". Pytanie jak pytanie, ale reakcją większości był wybór zaskakującej (?) odpowiedzi: „Jakoś bym się z tym faktem pogodził". Przy tej odpowiedzi jak na dłoni widać, który respondent jest – elegancko mówiąc – słabo zorientowany. Ale problemem jest to, że inne sytuacje nie dają się tak łatwo zaklasyfikować.

•

Elity intelektualne – ze względu na dostęp do globalnej informacji, przy bardzo niskich kosztach jej pozyskiwania – uzyskują niezwykłe wręcz warunki rozwoju w swoich obszarach specjalizacji. Prowadzi to do poważnego i rosnącego rozwarstwienia intelektualnego między elitą a ludem, a więc do paradoksalnego rezultatu, gdy w bogatych informacyjnie społecznościach duże grupy społeczne po prostu cofają się umysłowo. Jako społeczeństwa jesteśmy coraz głupsi.

Jednak w warunkach krachu zaufania społecznego i upadku autorytetów regres intelektualny dotyka również – potencjalnie – elity. W tym mianowicie sensie, że ich reprezentanci są co prawda kompetentni, ale wyłącznie w wąskim obszarze swojej specjalizacji. Są więc także podatni na brak zaufania do innych i można jedynie mieć nadzieję, że mniej podatni.

•

Ale nie upadajmy na duchu. Na ścieżce ewolucyjnej głupota rodzaju ludzkiego nie okazała się cechą szczególnie obciążającą. Gdyby było inaczej, to według Darwina wyginęlibyśmy jak pterodaktyle. Skądinąd dżdżownice też nie są przesadnie inteligentne, a wciąż funkcjonują wśród nas.

Tym bardziej że funkcjonuje coś, co można nazwać paradoksem głupoty. Polega on na tym, że idioci są nam niezbędni jak powietrze. Po prostu potrzebujemy głupich. Skoro ludzie są zwierzętami stadnymi, społecznymi, to sukces wymaga na ogół mniej czy bardziej zgodnej kooperacji. Geniusze są nam potrzebni głównie na etapie koncepcji, pomysłu, idei, czasem w roli koordynatora działań. W rolach wykonawczych nadmiar intelektualistów jest szkodliwy. Przecież słynna fraza przypisywana Bismarckowi brzmi: „Osiemdziesięciu ośmiu profesorów i, ojczyzno, jesteś zgubiona".

Nieco upraszczając, potrzebne nam są trybiki w maszynerii, proste, nieskomplikowane umysły znające swoje miejsce w szyku. Osobnicy o relatywnie niskich kompetencjach intelektualnych, względnie posłuszni, bez skłonności do kwestionowania i sabotowania poleceń. Fachowo przygotowani, ale wąsko wyspecjalizowani. Tak wąsko, że z reguły kompletnie nieświadomi, jak wygląda cały projekt. A mimo to właśnie miliony takich niezbyt rozgarniętych, niezorientowanych (potocznie nazwalibyśmy ich głupimi) wyrobników stabilizują porządek i ład społeczny w systemie. Ład trzyma się bowiem nie na generałach, ale na sierżantach i szeregowych. Przy czym genialni i błyskotliwi szeregowi, notorycznie roztrząsający celowość otrzymywanych rozkazów, byliby dla armii i jakiejkolwiek innej społecznej hierarchii przekleństwem. Kompletnie dezorganizującym współdziałanie, dewastującym każde większe przedsięwzięcie. O ile na szczycie hierarchii potrzebujemy szerokich horyzontów u decydentów, o tyle na dole wystarczą nam ograniczeni wykonawcy. Pewna firma naftowa ostrzegała nawet swoją załogę ogłoszeniami dostępnymi dla wszystkich: NO VIRTUOSOS HERE! Mądrość społeczna polega na zaakceptowaniu głupoty jako koniecznego składnika cywilizacji ludzkiej.

Mądrość społeczna polega na zaakceptowaniu głupoty jako koniecznego składnika cywilizacji ludzkiej.

•

Czy jednak to, że społecznie stajemy się coraz głupsi, nie rodzi dodatkowych zagrożeń? Z jednej strony, działa tu „reguła karawany" – 99 najszybszych wielbłądów podróżuje po pustyni w tempie tego jednego kulejącego. Wszystkie rozwiązania społeczne, nawet najbardziej genialne, jeśli mają działać, muszą się dostosować do kompetencji kulejących. Spowalnia to procesy rozwojowe, ale na szczęście ich nie rozsadza.

Z drugiej strony, skala głupoty jest wyzwaniem dla struktur demokratycznych, które coraz bardziej trzeszczą. Z trzech zasadniczych powodów.

• Po pierwsze, demokracja to nie jedynie respektowanie formalnych reguł, ale również społeczna kontrola władz sprawowana przez obywateli. Tyle że muszą to być świadomi obywatele, a nie ignoranci. Niestety, mamy dziś dowody, że wyborcy nie mają orientacji nawet co do elementarnych faktów. Nie rozumieją świata, a nawet mają problem z identyfikacją własnych żywotnych interesów. Dlatego np. mądrość walijskich wyborców zamanifestowała się w taki oto sposób, że hrabstwa w Walii, które szczególnie wiele czerpały z pieniędzy unijnych, w największym odsetku głosowały w 2016 r. za brexitem. Z kolei biedni polscy wyborcy głosujący za zakazem przerywania ciąży wydają się pozbawieni wiedzy, że taki zakaz uderza przede wszystkim w nich; bogate kobiety sobie radzą, np. na turystycznym szlaku do Czech

Ignoranci częściej akceptują autorytarne formy rządzenia. Szukają prostych rozwiązań dla skomplikowanych spraw.

eprasa.pl 279906a1ed

lub Holandii. Demokracja zakłada (może pochopnie), że wyborcy postępują racjonalnie.

• Po drugie, poziom społecznej głupoty stwarza niezwykłe możliwości manipulowania wyborcami. Głupi wyborca gardzi elitami i kompetentnymi autorytetami, więc nakarmić go dezinformacją, półprawdami czy konfabulacjami nietrudno. Dlatego jest paradoksem, że antyelitarne ruchy w praktyce oddają władzę w ręce tychże elit, całkiem sprawnie sterujących zachowaniem ignorantów. Znakomitą tego ilustracją są losy Polskiego Ładu. W pierwotnym kształcie był on ideą podwyższenia podatków leżącą bez wątpienia w interesie biedniejszych gospodarstw domowych. Zapewne ku zdumieniu samych inicjatorów z partii o żartobliwej nazwie Prawo i Sprawiedliwość lud był gotów blokować tę inicjatywę, co ostatecznie skazało pomysł na porażkę. No ale skoro lud został skutecznie przez zainteresowanych przekonany, że jakiekolwiek podwyższanie podatków jest zbrodnią… Oczywiście wszyscy znają także pisowską brednię o zamachu smoleńskim, którą zaczadzone są umysły znacznej części społeczeństwa, a która okazała się dość użyteczna jako narzędzie polityczne.

• Po trzecie, ignoranci wyraźnie częściej akceptują autorytarne formy rządzenia. Osoby o niskich kompetencjach intelektualnych szukają prostych rozwiązań dla skomplikowanych spraw. Jakże prosty jest czarno-biały świat składający się z wrogów i naszych. W takim świecie porażki jawią się wyłącznie jako wynik obcego sabotażu. Stąd intelektualnie pociągająca a nieskomplikowana idea potrzeby pełnego podporządkowania się liderom i nietolerancji wobec wrogów i dewiantów. W tym klimacie mentalnym autorytaryzm tworzy miłe złudzenie wysokiej sprawczości.

Marek Garbicz, emerytowany profesor Szkoły Głównej Handlowej

[1] Swego czasu znalazłem w prasie ogłoszenie: „Poszukuję zezowatych modelek". Zaintrygowany przeprowadziłem badania, interpelując na tę okoliczność specjalistki od problemu płci pięknej. Pozwoliło mi to zrozumieć, że każda istota ludzka przeglądająca z nudów katalog mody musi, natrafiając na odpowiednią stronę, wykrzyknąć: „Rany boskie! Ależ ta jest zezowata!". Zadanie polegające na przyciągnięciu uwagi – wykonane.

[2] Z badań opinii publicznej przeprowadzonych w swoim czasie przez amerykańską pracownię Morning Consult wynikało, że postawa Taylor Swift mogłaby mieć istotny wpływ na wybór prezydenta USA w 2025 r. Mamy więc informację, kto może stanowić autorytet polityczny (!) dla sporej liczby wyborców w USA.

[3] Ten poziom zaufania jest dzisiaj niski we wszystkich krajach. Wyjaśnienie tego fenomenu to odrębny problem. Klasyczna praca na ten temat to Robert D. Putnam, „Samotna gra w kręgle. Upadek i odrodzenie wspólnot lokalnych w Stanach Zjednoczonych", 2008 (polskie wydanie).

Zamów prenumeratę PRZEGLĄDU

Darmowa dostawa do paczkomatu już w PONIEDZIAŁEK



InPost

TYGODNIK Przegląd

sklep.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 279906a1ed

Wiedziała za wiele

Ciało Katarzyny znaleziono w stanie rozkładu. W tle ustawianie losowań sędziów, znane nazwiska i afera pedofilska

Mateusz Cieślak

Ze Śledczym umawiam się w Galerii Katowickiej. Po kilku spotkaniach zgodził się, by nasza rozmowa została nagrana. Postawił jednak warunek: nie ujawniać jego imienia i nazwiska. Będę więc nazywał go Śledczym.

Katarzynę umówił ze Śledczym były katowicki radny Józef Zawadzki, który spotykał się z nią kilkanaście razy. Katarzyna chciała od niego pomocy w sprawie swojego dziecka. Była w trakcie rozwodu. Twierdziła, że jej mąż to pedofil. Odkryła, że wrzucał do internetu nagie zdjęcia chłopca.

– Widziałam niektóre z tych zdjęć. Na jednym widać synka Katarzyny. Jest nagi. Wypina pupę – mówi R., znajoma Katarzyny i jej była pracodawczyni.

Józef Zawadzki napisał do prokuratury. Katarzyna bała się jednak, że sprawa zostanie skręcona, dlatego doradził jej, by na gruncie całkiem prywatnym spotkała się z jego znajomym, Śledczym. On ma różne kontakty, wysłucha jej i podejmie decyzję, co robić.

Katarzyna opowiedziała Śledczemu, że były nie tylko zdjęcia, ale również spotkania z „wujkami". Dochodziło do nich na terenie kilku stadnin niedaleko Warszawy czy w okolicach Wałbrzycha, w pobliżu Zamku Książ. Nagiego chłopca sadzano na koniu. Robiono mu zdjęcia. Wśród „wujków" miał być jeden minister.

Ustawiane losowania sędziów

Katarzyna mówiła Śledczemu nie tylko o synku. Przekazała dużo informacji na temat ustawianych przetargów oraz wyprowadzania pieniędzy z Polskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości i Narodowego Centrum Badań i Rozwoju. A także słabości systemu, który pozwalał na sterowanie losowaniami sędziów. Twierdziła, że Ministerstwo Sprawiedliwości, na czele którego stał Zbigniew Ziobro, miało taką możliwość. Była uzdolnioną informatyczką zatrudnianą przez wielki koncern telekomunikacyjny oraz dwie firmy, na czele których stał były oficer kontrwywiadu wojskowego. Znamy nazwy wszystkich firm.

Katarzyna miała wiedzę o pracach nad Systemem Losowego Przydziału Spraw (SLPS), który w polskich sądach powszechnych zaczął działać na przełomie 2017 i 2018 r. W założeniu miał on na celu „zapewnienie rzetelności procesu, proporcjonalnego obciążenia sędziów pracą oraz uniemożliwienie ingerencji w skład orzekający". Katarzyna twierdziła jednak, że daje on możliwość manipulowania losowaniami, a ona potrafi wskazać, w jaki sposób.

Katarzyna chciała pomocy w sprawie dziecka. Była w trakcie rozwodu. Twierdziła, że jej mąż to pedofil.

Po wysłuchaniu Katarzyny Śledczy miał pójść do Marka Pasionka oraz Agaty Gałuszki-Górskiej. On był wówczas zastępcą prokuratora generalnego, ona zastępcą prokuratora krajowego. Śledczy opowiedział o aktach pedofilii i o tym, kto w nich miał uczestniczyć, oraz o ustawianiu przetargów. Powiedziano mu, by się tym nie zajmował.

Informatyczka skontaktowała się z CBA. Mówiła nie tylko o pedofilii i ustawianiu losowań sędziów, lecz również o przypadkach korupcji na styku biznesu prywatnego i instytucji publicznych. W CBA przydzielono jej Barbarę F., funkcjonariuszkę z Warszawy. Po jakimś czasie funkcjonariuszka została od sprawy odsunięta, a Katarzynie polecono kontaktować się z Delegaturą CBA w Szczecinie. Uznała, że tam żadnej pomocy nie uzyska.

Korespondencja z Jarosławem Kaczyńskim

R. dobrze znała Barbarę Skrzypek, bliską współpracownicę Jarosława Kaczyńskiego. Katarzyna i Skrzypek spotkały się kilka razy, m.in. w obecności R., która wspomina: – Katarzyna opisała mechanizm służący do takiego zaprogramowania losowania sędziego, by odpowiedni sędzia został wylosowany do konkretnej sprawy. Przedstawiła dowody. Informowała o tym w mojej obecności Barbarę Skrzypek.

Katarzynie chodziło o to, by na skutek batalii sądowej mąż pedofil nie odebrał jej dziecka. Uznawała, że jej wiedza, np. na temat nieprawidłowości w sądach, jest cenną walutą przetargową. I przez jakiś czas tak było. Barbara Skrzypek przekazała pisma od niej Kaczyńskiemu.

W jednym z pism Katarzyna informowała prezesa PiS: „W nawiązaniu do otrzymanej od Pana odpowiedzi chciałabym niestety poinformować, że sytuacja mojego syna uległa

eprasa.pl 279906a1ed



Katarzyna z synem.

Odpowiedź Jarosława Kaczyńskiego na pismo Katarzyny.

Prawo i Sprawiedliwość

Warszawa, dnia 13 maja 2019 r.

BP-S-2158/18

Szanowna Pani
Katarzyna [redacted]

Szanowna Pani,

W odpowiedzi na kolejną korespondencję e-mail z dnia 9 maja 2019 r., do której załączyła Pani opinię psychologiczną, zawierającą analizę zdjęć Pani syna, opublikowanych w Internecie, przez Pani byłego małżonka, uprzejmie informuję, że z uwagi na prawno - karny charakter przedstawionych informacji, które powinny wymagać zweryfikowania, zgodnie z kompetencją, wystąpiłem w opisanej sprawie do Ministra Sprawiedliwości, Prokuratora Generalnego RP.

Z poważaniem,

pogorszeniu. Pomimo śledztwa wszczętego przez prokuraturę w Katowicach kurator podejmowała próby przymusowego odebrania mojego małoletniego syna (...). Jest Pan jedyną osobą, która chce pomagać w takiej trudnej sprawie. Jestem Panu ogromnie wdzięczna za tak liczne pisma w sprawie mojego syna. Błagam o pomoc i uratowanie mojego syna. Życie mojego 7-letniego syna oraz także moje jest w Pana rękach".

To ostatnie zdanie nie jest przypadkowe. Katarzyna wielu osobom mówiła, że boi się o swoje życie. Twierdziła, że zostanie otruta tojadem.

Kaczyński odpowiadał jej na firmowym papierze Prawa i Sprawiedliwości. W piśmie BP-S-2158 stwierdzał: „W odpowiedzi na kolejną korespondencję (...), do której załączyła Pani opinię psychologiczną, zawierającą analizę zdjęć Pani syna, opublikowanych w Internecie, przez Pani byłego małżonka, uprzejmie informuję, że z uwagi na prawno-karny charakter przedstawionych informacji, które powinny wymagać zweryfikowania, zgodnie z kompetencją, wystąpiłem w opisanej sprawie do Ministra Sprawiedliwości, Prokuratora Generalnego RP". Pod pismem widnieje odręczny podpis i pieczęć: „Prezes Partii Prawo i Sprawiedliwość Jarosław Kaczyński Poseł na Sejm RP".

Mecenas rodzin smoleńskich pomaga

Barbara Skrzypek poprosiła Stefana Hamburę, „mecenasa rodzin smoleńskich", by pomógł Katarzynie. Oboje występowali w „Interwencji" Polsatu, ale te zabiegi nic nie dały. Ojciec wywiózł chłopczyka do Niemiec. Matka przywiozła go do Polski. Choć na czas rozwodu to jej przyznano prawo do opieki nad dzieckiem, ostatecznie uznano, że uprowadziła chłopca. Ojciec ponownie wywiózł go do Niemiec. W ślad za synkiem udała się Katarzyna. Wynajęła mieszkanie w pobliżu szkoły, do której chłopiec chodził. Tam znaleziono jej ciało, już w stanie daleko posuniętego rozkładu. Miała 38 lat.

Zaraz po znalezieniu zwłok R. otrzymała zaskakującą wiadomość od męża Katarzyny: „Zmarła w spokoju. Nie zasłużyła aż na śmierć". Skąd mężczyzna wiedział, że Katarzyna zmarła w spokoju? I co znaczy: „Nie zasłużyła aż na śmierć"?

Z Katarzyną rozmawiał Andrzej Rozenek, dziennikarz i były poseł. Jemu również mówiła, że może zginąć. O sprawie ustawianych losowań Rozenek poinformował ministra Adama Bodnara. Prokuratura Okręgowa w Warszawie badała ten temat w śledztwie o sygnaturze akt 3041-1.Ds.196.2024. Postępowanie było prowadzone „w sprawie spowodowania w okresie od nieustalonego dnia 2016 r. do 8 sierpnia 2024 r. dokonania zmian danych informatycznych o szczególnym znaczeniu dla instytucji państwowej". Nie wiadomo, co ustalono, ale obecny minister sprawiedliwości Waldemar Żurek jesienią ub.r. wprowadził nowe zasady przydziału sędziów do spraw, tłumacząc: „Ten »ziobrolotek« powodował chaos w wydziałach".

Kobieta przekazała dużo informacji o ustawianych przetargach oraz wyprowadzaniu pieniędzy z PARP i NCBR.

Prokuratura Okręgowa w Warszawie badała komputer Katarzyny. A że

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE (2)

eprasa.pl 279906a1ed

był to sprzęt firmowy, następnie oddano go R. Nie wiadomo jednak, czy śledczy przyłożyli się do analizy znalezionych materiałów, skoro jest tam dokumentacja treści pedofilskich. Wśród nich zdjęcie kompletnie nagiego chłopczyka wypinającego pupę czy linki internetowe opisane przez Katarzynę jako prowadzące do pedofilskich zdjęć.

To wyjątkowo dziwne. W każdej komendzie wojewódzkiej policji są specjalne wydziały do walki z cyberprzestępczością, a pedofilię w sieci traktuje się priorytetowo. Wszyscy czytamy komunikaty policji i prokuratury o kolejnych dewiantach, u których na komputerach znaleziono pedofilię. Błyskawicznie stawiane są zarzuty i zapadają decyzje o aresztach. W sprawie seksualnego krzywdzenia synka Katarzyny zachowano się inaczej. I wówczas, gdy kobieta o tym mówiła, błagając, by ratowano synka, i po jej śmierci, gdy komputer przez kilka miesięcy leżał w prokuraturze.

Pegasus w akcji

W tej sprawie zastanawiające jest także to, co się stało ze Śledczym, któremu Katarzyna mówiła o ustawianiu losowań sędziów oraz o pedofilach. Założono mu podsłuch. Na podstawie podsłuchanych rozmów uznano, że swojej lekarce obiecał załatwienie posady dyrektora szpitala wojewódzkiego. Wystąpiono więc z wnioskiem o uchylenie Śledczemu immunitetu. Sprawa wisi w Sądzie Najwyższym. Czeka na decyzję Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej w Luksemburgu.

To dosyć dziwna sytuacja. Chodzi o szpital, który podlega samorządowi wojewódzkiemu. Aby objąć stanowisko dyrektora takiej placówki, trzeba wygrać konkurs organizowany przez zarząd województwa. Prokurator, sędzia czy policjant nie ma nic wspólnego z tą procedurą. Śledczy złożył zawiadomienie dotyczące inwigilowania go Pegasusem. Są mocne przesłanki, że tak było.

Ta historia ma kilka wątków, które, choć się łączą, powinny zostać rozpatrzone z osobna i bardzo dokładnie. Wątek losowania sędziów. Wątek nieprawidłowości w PARP i NCBR. Wątek inwigilacji. Wątek pedofilski. A nade wszystko wątek Katarzyny, która „nie zasłużyła aż na śmierć". Te wątki należy zbadać nie tylko dokładnie, ale i bardzo szybko. Wiele osób występujących w artykule już nie żyje: Pasionek, Gałuszka-Górska, Hambura, Skrzypek. I oczywiście Katarzyna. Z kolei R. dostawała listy, w których pisano, że popełni samobójstwo. Raz dokonano zamachu na jej życie. Trafiła do szpitala. Przeżyła.

Śledczy złożył zawiadomienie dotyczące inwigilowania go Pegasusem. Są mocne przesłanki, że tak było.

Mateusz Cieślak



eprasa.pl 279906a1ed



Z Galicji Jan Widacki

Historia, która powtarza się jako farsa

Po tym, gdy marszałek Sejmu Włodzimierz Czarzasty grzecznie odmówił Amerykanom zgłoszenia Donalda Trumpa do Pokojowej Nagrody Nobla, a odmowę tę spokojnie uzasadnił, konkludując, że jego zdaniem amerykański prezydent po prostu na nią nie zasługuje, rozpętała się awantura. Najpierw oburzony ambasador Thomas Rose zarzucił marszałkowi, że ten rzekomo wypowiedział skierowane przeciw Trumpowi obelgi. Wypowiedź marszałka Sejmu jest powszechnie znana i jako żywo nie ma w niej żadnych obelg, obraźliwych słów, epitetów i tym podobnych. Widać, dla ambasadora Rose'a sama wątpliwość, czy Trump jest geniuszem, już stanowi obelgę wymagającą pomsty. W dawnych despotiach nazywane to było „obrazą majestatu" i nieraz karane śmiercią. Gdzieniegdzie przez wlewanie roztopionego ołowiu do gardła tego, który majestat obraził. Ale Stany Zjednoczone – nawet gdy na ich czele stoi narcyz za nic mający prawo międzynarodowe, to domagający się Grenlandii, to znów chcący pochłonąć Kanadę, zmieniający zdanie w sprawach o kluczowym często znaczeniu dla świata średnio po trzy razy dziennie – wciąż jeszcze nie są starożytną despotią. Najlepszy dowód, że ambasador Rose nie zażądał, aby marszałka Czarzastego ukarać śmiercią, tylko ogłosił, że zrywa z nim wszelkie kontakty.

Reakcja na bezczelność ambasadora była (i wciąż jest) w Polsce osobliwa. Politycy prawicowi, którzy co rusz mówią o wstawaniu z kolan, o obronie polskiej suwerenności, której zagrożenia dostrzegają wszędzie, nie tylko runęli na kolana przed ambasadorem, ale i rzucili się zgodnie na marszałka. Co głupsi i bardziej gorliwi nawet wnioskowali o jego dymisję. Nie słyszałem, by któryś z tak dbających o polską suwerenność polityków prawicy choć słowem potępił bezczelność amerykańskiego ambasadora. Nie wiem też, czy minister Sikorski miał tyle odwagi, by wezwać ambasadora do MSZ i delikatnie choćby zwrócić mu uwagę na niewłaściwość jego postępowania. Może to zrobił, bo zrobić powinien, ale dyskretnie, bez zbędnego rozgłosu? W naszym interesie jest, by awantury nie eskalować.

Ostatnie badania opinii publicznej pokazały, że społeczeństwo polskie jest bardziej niż prawicowi politycy wrażliwe na punkcie suwerenności i ma wyższe poczucie godności narodowej. Tych, którzy oceniają postępek ambasadora negatywnie, jest wśród badanych dwukrotnie więcej od tych, którzy oceniają go pozytywnie.

Sytuacja jest trudna. Prawdą jest, że mimo tego, co wyrabia i wygaduje Trump, największą siłą NATO są USA. Polska w NATO upatruje gwaranta swojego bezpieczeństwa. Ale też prawdą jest, że przy takiej polityce Trumpa Sojusz Północnoatlantycki nie jest już tym Sojuszem, którym był dotąd. Wydaje się, że nasza racja stanu wymaga umiejętnego lawirowania: w relacjach z USA robienia dobrej miny do złej gry, a równocześnie umacniania Unii Europejskiej, która przy wszystkich swoich niedomaganiach jest bardziej stabilna i przewidywalna niż Ameryka z obecnym prezydentem. Ale robienie dobrej miny do złej gry również ma granice. Nie znaczy to, że mamy bezkrytycznie popierać czy choćby tylko wychwalać to, co wyczynia prezydent Trump.

Polskie społeczeństwo jest bardziej niż politycy prawicowi wrażliwe na punkcie suwerenności.

Ambasador Rose nie ma wprawdzie doświadczenia w dyplomacji, ale powinien odróżnić rolę ambasadora od roli gubernatora. Polska nie jest na razie przyłączona do USA. Przed nami Grenlandia, Kanada i nie wiadomo kto jeszcze. Pan Rose nadal jest ambasadorem, nie gubernatorem. Nawiasem mówiąc, trzeba się zastanowić, czy nasze bezpieczeństwo nie wymaga wstrzymania na terenie Polski badań geologicznych. A nuż geolodzy odkryją coś, co może się okazać potrzebne Ameryce, i będzie kłopot. To smutne, że ambasador USA nieświadomie naśladuje ambasadora Nikołaja Repnina, a jego polscy pochlebcy wpisują się w nieciekawe role pewnych polskich magnatów z XVIII w., z których część być może nie była skorumpowana, tylko szczerze wierzyła, że „traktat gwarancyjny" z Rosją jest szczęściem dla Polski, zapewnia jej bezpieczeństwo, granice i wolność.

Naprawdę „historia powtarza się najpierw jako tragedia, a później jako farsa". Ale jako że napisał to kiedyś Karol Marks, prawica z założenia nie chce tego przyjąć do wiadomości. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 279906a1ed

POLSKA NIE JEST KOLONIĄ

Zachowanie ambasadora Rose'a to nie tylko bezczelność na granicy chamstwa, ale także przejaw niebywałej pychy

Stefan Niesiołowski

To zdanie, które nie wydaje się odkrywcze, trzeba w ostatnim czasie jednak powtórzyć, a nawet częściej przytaczać, bo nabrało ono w świetle skandalicznych wypowiedzi amerykańskiego ambasadora nowego znaczenia. Marszałek Czarzasty, nie popierając absurdalnego wniosku o przyznanie Trumpowi Pokojowej Nagrody Nobla, nie tylko nie zrobił niczego złego i w najmniejszym stopniu nie obraził amerykańskiego prezydenta, ale po prostu postąpił słusznie. Poparcie tego wniosku byłoby kpiną z Trumpa. W dodatku ustawiałoby nasz kraj w gronie państw zależnych, niesuwerennych, klienckich. Samo dopominanie się nagrody miało w sobie coś z zachowania Nerona, który domagał się od Aten przyznania olimpijskiego wieńca w poezji, śpiewie i muzyce. Zresztą dla Nerona finał był smutny, gdy popełniał samobójstwo w obawie przed zasłużoną zemstą mieszkańców Rzymu, stwierdził: „Jakiż to artysta ginie we mnie". Ciekawe, jak skończy karierę Trump.

Ogłoszenie przez niefortunnego ambasadora USA w Polsce, że zrywa wszelkie kontakty z marszałkiem Czarzastym, to właśnie przejaw imperialnej mentalności, oznaczającej, że zachcianki Trumpa są prawem, i inne państwa, a zwłaszcza sojusznicy Ameryki, mają obowiązek je spełniać. Jeszcze bardziej bezczelna była odpowiedź udzielona polskiemu premierowi. Na rzeczową i całkowicie słuszną uwagę, że sojusznicy nie powinni wzajemnie się pouczać, ambasador był uprzejmy stwierdzić, że odpowiedź premiera została wysłana do niego przez pomyłkę, a w rzeczywistości adresowana była do Czarzastego i dlatego panu Rose'owi bardzo się podobała. To nie tylko bezczelność na granicy chamstwa, ale także przejaw prostackiego poczucia humoru oraz niebywałej pychy ambasadora, który powinien znaleźć sobie inne zajęcie.

Polska wiele razy była zajmowana, atakowana, nawet podbijana, na 123 lata zniknęła z mapy świata rozdarta przez trzy drapieżne imperia, a przez 45 lat była podporządkowana Związkowi Radzieckiemu. Kilka też razy zrywała się do powstańczej, często heroicznej walki o wolność, aż w efekcie wielkiego społecznego ruchu Solidarność przyczyniła się do odbudowania demokracji w Europie Wschodniej. Nigdy nie była jednak niczyją kolonią i nie jest ani nie będzie kolonią Ameryki rządzonej przez pana Trumpa i jego ludzi.

Polska nigdy nie była niczyją kolonią. Nie jest też ani nie będzie kolonią Ameryki rządzonej przez Trumpa i jego ludzi.

Nacjonaliści są nie tylko w Polsce, ale polscy okazują się jakoś szczególnie służalczy, licząc, że Trump doprowadzi ich do władzy. Wiedzie to do zachowań sprzecznych z deklarowaną polityką „godnościową" i obroną niepodległości Polski przed zakusami złowrogiej niemieckiej Unii oraz jej klientów, czyli demokratycznych, liberalnych polityków, z „niemieckim gauleiterem na Polskę Donaldem Tuskiem" na czele. Stąd prosta droga do służalczego uwielbienia Trumpa.

Na tym tle widać, jak skandalicznie lizusowskie i niegodne jest zachowanie polskich nacjonalistów, przede wszystkim pisowskich, bo Konfa, najpewniej z powodów taktycznych bardziej od PiS antyukraińska i proputinowska, w stosunku do Trumpa zachowuje jednak pewne poczucie przyzwoitości. Uderzające jest podobieństwo zachowania pisowców do zachowania komunistów okresu stalinowskiego: Bieruta, Osóbki-Morawskiego, Wasilewskiej itp., w stosunku do Stalina. Mieli oni jednak więcej klasy i przede wszystkim nie kradli. Sekretarz prasowy Bieruta podaje przykład wyrzucenia z hukiem z posady w Belwederze Antoniego Bieruta, kuzyna Bolesława Bieruta, za defraudację (Stanisław Łukasiewicz, „Byłem sekretarzem Bieruta", Warszawa 1987). Pisowcy łupili Polskę osiem lat, a dziś udają ofiary „okrutnego reżimu Tuska" – obrzydliwe.

Interesujący jest brak godności, zanik rozsądku i elementarnego poczucia przyzwoitości polskich nacjonalistów w stosunku do Trumpa. Najpewniej to jakieś kalkulacje związane z kampanią wyborczą. Ale coraz bardziej się wydaje, że poparcie Trumpa będzie raczej kulą u nogi niż bonusem. Być może kariera Trumpa załamie się w listopadowych wyborach uzupełniających do Kongresu, po których w przypadku sukcesu demokratów może dojść do usunięcia Trumpa z urzędu.

Niedawno odbył się brunatny zjazd w Łochowie, gdzie ujawnili się tacy wielbiciele Brauna jak Piskorski, Korwin-Mikke, Jaszczur itp. Nie rozumiem, dlaczego media i część mało rozgarniętych polityków pasjonuje się jakimś żołnierzem, który uciekł na

eprasa.pl 279906a1ed

Białoruś, sędzią Szmydtem, podrzędnym urzędnikiem MON, który okazał się szpiegiem itp. Przecież, zamiast tropić tego typu indywidua (nie mówię, żeby ich nie zamykać), mamy łatwych do znalezienia służących Putinowi i Rosji takich niezłomnych patriotów jak Braun, Kamraci, Macierewicz (polecam książki red. Piątka), Rydzyk, Cenckiewicz czy współczesny Dyzma Obajtek, który zawarł kosztem miliardowych strat kontrakt naftowy z krajami Półwyspu Arabskiego.

Myślę, że straty, które Polska poniosła w efekcie działalności pana Obajtka oraz ścigania przez pana Macierewicza autorów „zbrodniczego zamachu smoleńskiego", w którym „poległ" faktyczny twórca i przywódca NSZZ Solidarność, prof. Lech Kaczyński, zasługują na wnikliwą analizę prokuratury. I są to straty znacznie przewyższające szkody wyrządzone przez wielu przestępców.

Wreszcie skończyła się tragifarsa pod nazwą areszt dla Zbigniewa Ziobry, jego obrońcy, a faktycznie wspólnicy, gdyż uczestniczą w procederze szkalowania Polski i oskarżania naszego kraju, że jest dyktaturą, nie zdołali doprowadzić do kolejnego „odroczenia". Tym razem anielska cierpliwość pani sędzi się skończyła i wydane zostało postanowienie o tymczasowym aresztowaniu, co oczywiście niczego nie zmienia, bo Ziobro przebywa u pisowskiego kamrata Orbána i dopóki Orbán będzie rządził na Węgrzech, Ziobro będzie tam spokojnie mieszkał, a pieniędzy aby władzy nie oddać. Robi się gorąco i ciekawie.

Do podobnych działań coraz wyraźniej skłania się Trump, który próbuje karać sondażownie za niekorzystne dla niego wyniki badań i stara się ograniczać niezależność wymiaru sprawiedliwości. Staje na głowie, aby zatuszować aferę Epsteina, w którą najpewniej jest nieźle umoczony i chyba utonie.

Zachcianki Trumpa są prawem i inne państwa, zwłaszcza sojusznicy Ameryki, mają obowiązek je spełniać.

w okresie sprawowania władzy zgromadził tyle, że dla niego i uroczej Patrycji Koteckiej z pewnością wystarczy. Autorytarny reżim Kaczyńskiego udało się odsunąć od władzy, ale czy uda się to w przypadku Orbána, to wielka niewiadoma i pytanie o możliwości pokonania dyktatury w procesie demokratycznym. Orbán śledzi to, co się stało w Polsce, i użyje wszelkich metod i wielu różnych możliwości, jakimi dysponują dyktatury,

Podobieństwo dyktatur jest zdumiewające. Wszystkie uderzają w niezależne sądy i media, które stają się szczujniami i ściekiem, co mieliśmy okazję oglądać w medialnym ścieku pana Kurskiego, a dziś w pisowskiej szczujni nazywanej pięknie Republika.

Stefan Niesiołowski jest profesorem biologii, politykiem, byłym posłem na Sejm, w latach 2005--2007 senator, w latach 2007-2011 wicemarszałek Sejmu. Był więźniem politycznym w PRL

LIST

Zamach na światowy porządek


ZAMACH
na światowy porządek
Sojuszniczość nie polega na serwilizmie, a oprócz polityki jest jeszcze moralność

Artykuł prof. Grzegorza W. Kołodki („Przegląd" 5/2026) jest o tyle wymowny, że autor operuje głównie faktami uzasadniającymi imperialną politykę USA od 1953 r., zawsze przyozdobioną hasłami obrony demokracji i uciśnionych ludów. Ostatnio prezydent Trump, rekwirując wenezuelską ropę wartości 500 mln dol., użył podobnego argumentu, dodając przemytników i zbrodniarza Madura, prezydenta demokratycznego państwa. Na doktrynie Monroego mniej więcej zasadza się polityka Stanów Zjednoczonych. Widząc lizusostwo wobec władz USA nie tylko Tarczyńskiego i Nawrockiego oraz Kancelarii Prezydenta, można zaryzykować pytanie, czy prezydent USA wykorzysta poddańczą postawę polskiej prawicy i „poprosi" o możliwość stacjonowania wojsk amerykańskich na terenie tzw. Przesmyku Suwalskiego, tłumacząc to koniecznością obrony Polski przed inwazją ze wschodu, a myśląc głównie o bogatych zasobach metali ziem rzadkich. Dla porządku dodajmy, że część Podkarpacia już jest jakby amerykańska.

Kilka zdań na temat pominięcia prezydenta Trumpa przy przyznawaniu Pokojowej Nagrody Nobla. Uzasadniając własne zachcianki, prezydent Trump pisze w liście do premiera Norwegii oraz głosi niczym papież urbi et orbi, że dzięki niemu zakończyło się w zeszłym roku osiem wojen. Na szczęście nie wlicza w to wojny w Ukrainie, którą raczej podsyca, niż gasi, niemiłosiernie zwodząc Ukraińców i okłamując światową opinię publiczną, że pokój tuż, tuż. A wojnę w Strefie Gazy tak skończył, że codziennie Izrael morduje dziesiątki Palestyńczyków za amerykańskim pozwoleniem. Jak zakończył Trump pozostałe wojny, tłumaczy kmdr Maksymilian Dura („Angora" 6/2026): tak naprawdę nie skończył żadnej wojny. „W zderzeniu z faktami przyozdabianie osobowości Trumpa niczym choinki ośmiesza i rozbiera do naga światowego przywódcę". Red. Jerzy Domański: „To zawodowy oszust i kombinator. Swój majątek zbudował na przekrętach". „Pomarańczowy potwór", pisze red. Roman Kurkiewicz. „Donald Trump to dyktatorski i imperialistyczny w swoich zapędach maniak", twierdzi prof. Grzegorz W. Kołodko. Jakby mało było „laurek" na temat skorumpowanego imperialisty, warto dodać opinię obecnego wiceprezydenta J.D. Vance'a sprzed wyborów: „Trump to Hitler Ameryki".

Czy wobec tego powinniśmy bać się postępowania prezydenta USA wobec naszej ojczyzny? Myślę, że dopóki władzy prezydenta Nawrockiego i jego otoczenia nic nie grozi, będziemy w miarę bezpieczni. Inaczej Kaczyński z Nawrockim ośmielą się zwrócić o pomoc do Trumpa. Zbyt śmiałe? A jakiej moralności możemy wymagać od oszusta (mieszkanie od emeryta) i kibola? Przykłady Wenezueli, Grenlandii, zapowiadane szturmy na Kubę, Kolumbię i Meksyk świadczą o tym, że prof. Kołodko może przepowiadać kasandryczną przyszłość: zamach na światowy porządek, czyli świat nam się wali. *Henryk Kin*

eprasa.pl 279906a1ed

Kto opodatkuje big techy

Czas zapłacić podatki od gigantycznych dochodów

Mateusz Mazzini

Używając słynnego, choć wyświechtanego powiedzenia, można stwierdzić, że w amerykańskiej polityce ogon macha psem. Tyle że nie bardzo już wiadomo, kto jest w tej metaforze ogonem, a kto psem. Mowa o coraz bardziej symbiotycznej relacji pomiędzy tamtejszymi koncernami technologicznymi a rządem federalnym. Wbrew obiegowej opinii giganci z Doliny Krzemowej nigdy nie byli specjalnie odlegli od Waszyngtonu, bo od początku istnienia takich firm jak Facebook (potem Meta) czy OpenAI wisiało nad nimi widmo regulacji, a nawet rozczłonkowania. Dziś mało kto może o tym pamięta, ale przejednak zrozumieć naturę relacji tych ludzi i ich firm z Donaldem Trumpem, trzeba się przyjrzeć współczesnym relacjom państwa z prywatnymi korporacjami. To pomoże odpowiedzieć na pytanie, czy gdziekolwiek na świecie aparat państwowy ma szansę taką relację zdominować.

Europa pod ostrzałem

O tym, że centrum władzy w życiu politycznym przechodzi z sektora publicznego do prywatnego, mówił w wykładzie inaugurującym rok akademicki na Uniwersytecie Stanforda brytyjski historyk prof. Timothy Garton Ash. Przypomniał wówczas, że dawniej w czasach kryzysu szefowie największych

Big techy są w różnej formie opodatkowane aż w 35 krajach na świecie.

cież przed wyborami prezydenckimi w 2020 r. jedną z głównych kandydatek do nominacji w Partii Demokratycznej była senator Elizabeth Warren, idąca do Białego Domu pod hasłem „Break Up Big Tech", czyli podzielenia koncernów technologicznych na mniejsze spółki w celu przywrócenia w tym sektorze gospodarki chociaż śladowej, a dzisiaj nieistniejącej konkurencji rynkowej.

O ile jednak wcześniej waszyngtońskie elity próbowały zachować przynajmniej pozory kontroli nad Doliną Krzemową, w obecnej administracji mamy do czynienia z hołdem lennym. Do tego stopnia, że nie wiadomo, kto decyduje i o czym. Świat z prędkością światła obiegło zdjęcie z ubiegłorocznej inauguracji drugiej prezydentury Donalda Trumpa, gdzie obok siebie stali Mark Zuckerberg, Jeff Bezos, Elon Musk i szef Google'a Sundar Pichai, wszyscy gotowi do pełnej współpracy z nową władzą. Żeby amerykańskich koncernów przemysłowych pielgrzymowali po rozwiązania do Waszyngtonu, a teraz kierunek pielgrzymki z reguły jest odwrotny. To decydenci polityczni proszą ludzi z Doliny Krzemowej o znalezienie rozwiązania problemu dezinformacji w czasie pandemii koronawirusa, przełamanie paraliżu inwestycji infrastrukturalnych, przeprowadzenie zielonej rewolucji energetycznej czy, jak obecnie, o wygraną w globalnym wyścigu po sztuczną superinteligencję.

Ten argument w opublikowanej dwa lata temu książce „The Tech Coup" rozwinęła Marietje Schaake, była holenderska europosłanka, dzisiaj również wykładowczyni na Stanfordzie. Główną tezą jej książki jest założenie, że w dzisiejszych czasach suwerenność „wypływa" różnymi kanałami z administracji państwowej, przenosząc się do sektora prywatnego. Mówiąc inaczej, to korporacje zaczynają panować nad kolejnymi płaszczyznami naszego życia, które niedawno były pod kontrolą urzędników. Teraz sektor prywatny skutecznie lobbuje przeciwko wszelkim regulacjom we własnym zakresie.

Dobrym tego przykładem jest chociażby system informacji i nowych mediów. W większości krajów na świecie istnieją przecież bardzo restrykcyjne przepisy, prawa koncesyjne i zasady regulujące to, co kto może emitować, napisać, wydrukować czy powiedzieć i na jakich zasadach. Media internetowe takich regulacji są w wielu miejscach całkowicie pozbawione. A nieliczne istniejące jeszcze wyspy takich regulacji, np. Unia Europejska, znajdują się pod gwałtownym ostrzałem współczesnej amerykańskiej oligarchii. Dodajmy, że to oligarchia prywatno-państwowa, właściwie o nieograniczonych zasobach.

Z kronikarskiego obowiązku wspomnieć jednak trzeba, że z tezami Gartona Asha i Schaake nie wszyscy się zgadzają. Prof. Abraham Newman z Uniwersytetu Georgetown, ekspert od stosunków międzynarodowych i współautor niesamowicie popularnej w tej chwili koncepcji neorojalizmu, za pomocą której opisuje politykę Trumpa, twierdzi, że jest odwrotnie. To państwa wciąż sprawują kontrolę nad korporacjami, a świat zmierza w kierunku jej wzmocnienia. Co jednak nie oznacza wcale regulacji.

Jako koronny przykład Newman przywołuje model chiński, gdzie Xi Jinping skonsolidował władzę i na żadnym etapie nie bał się pacyfikowania swoich liderów technologicznych. Tak było chociażby z Jackiem Ma, założycielem platformy handlowej Alibaba, zmuszonym do opuszczenia kraju, bo taka była wola chińskiego przywódcy. Stany Zjednoczone pod rządami Trumpa idą

eprasa.pl 279906a1ed



Giganci z Doliny Krzemowej nigdy nie byli specjalnie odlegli od Waszyngtonu. Protest w Nowym Jorku, styczeń 2025 r.

zresztą wyraźnie w tym kierunku, znacznie zwiększając rolę państwa w gospodarce i nawet częściowo nacjonalizując niektóre podmioty. Po co Trumpowi 10% akcji Intela, jeśli nie w celu większej kontroli nad spółkami, które uznaje za kluczowe dla rozwoju kraju?

To samo zresztą można by powiedzieć o amerykanizacji spółki zależnej ByteDance chińskiego twórcy TikToka, który oddał swój podmiot operujący na rynku w USA konsorcjum tamtejszych inwestorów. Wśród nich znalazło się mnóstwo lojalistów obecnej administracji.

Ostrożni Niemcy

Tego sporu nie da się rozstrzygnąć, ale może wcale nie trzeba. Amerykański przypadek pokazuje bowiem, że jeśli interesy technologicznych oligarchów i aparatu państwowego są podobne, podmioty te są w stanie współpracować na niespotykanym poziomie zażyłości, czasami wręcz w uniach personalnych. A to z kolei jest możliwe, bo jeśli wektory działania jednych i drugich są zbieżne, nigdy nie ma to na celu obrony czy poprawy gospodarki albo życia użytkowników. Krótko mówiąc, liderzy technologiczni to w najlepszym razie autokraci, w najgorszym – technofaszyści. Jeśli spotkają się z politykami o takiej samej orientacji ideologicznej, dogadają się bez problemu.

W Brazylii podatek cyfrowy nazywany jest „wkładem społecznym na podstawie dóbr i usług".

Tym ciekawsze jest zjawisko widoczne w kilku europejskich państwach, ale przede wszystkim na globalnym Południu. Po latach naiwnej globalizacji, gdy świat łykał bajeczki Zuckerberga o Facebooku jako narzędziu pogłębiania demokracji, i po długim okresie bezrefleksyjnego poddaństwa wobec amerykańskich rozwiązań technologicznych, na naszych oczach rozgrywa się bój o cyfrową suwerenność: państw, społeczeństw i bloków ponadnarodowych, takich jak Unia Europejska.

Przybywa miejsc, gdzie przynajmniej na poziomie legislacji podejmuje się próby uregulowania i opodatkowania big techów. Na pierwszy rzut oka może to się wydawać truizmem, przecież to zwykłe spółki, nieróżniące się niczym od pozostałych prywatnych podmiotów. W dodatku operują na rynkach globalnych, mają gigantyczne przychody, czemu miałyby nie płacić odpowiednio wysokich danin? W praktyce jednak daniny te prawie zawsze okazują się iluzoryczne, bo korporacje z Doliny Krzemowej albo wiele lat temu wylobbowały sobie korzystne regulacje podatkowe na poziomie krajowym czy unijnym, albo zglobalizowany system przenoszenia kapitału i omijania jurysdykcji pozwala im tych podatków nie płacić, nawet jeśli muszą. A kiedy tylko któryś rząd zaczyna choćby przebąkiwać o zmuszeniu ich do płacenia, lokalne oddziały amerykańskich firm spuszczają psy z łańcucha, często wprost grożąc dziennikarzom, wydawcom,

FOT. GINA M RANDAZZO/ZUMA PRESS WIRE/SHUTTERSTOCK/EAST NEWS

eprasa.pl 279906a1ed

aktywistom, a ostatnio zakulisowo strasząc wycofaniem amerykańskiego wsparcia dla Europy.

Tak było jeszcze kilka miesięcy temu, co w dzisiejszej polityce, zwłaszcza międzynarodowej, jest jednak epoką. Po retorycznej eskapadzie Donalda Trumpa pod adresem Grenlandii i Danii wiele europejskich stolic zaczęło poważnie rozważać opodatkowanie big techów na niespotykaną dotychczas skalę. Pod koniec stycznia portal Politico pisał, że w odpowiedzi na groźbę wprowadzenia przez Trumpa ceł podatek cyfrowy rozważają Niemcy, tradycyjnie bardzo ostrożni w kwestii drażnienia waszyngtońskiego Wielkiego Brata. Ale Lars Klingbeil, niemiecki wicekanclerz, w koalicji reprezentujący lewicową SPD, powiedział, że „wszystkie opcje muszą być dzisiaj brane pod uwagę". Zwłaszcza że projekt jest gotowy – stworzyło go tamtejsze ministerstwo kultury, na biurku Klingbeila leży od grudnia. Zakłada wprowadzenie daniny od przychodów na rynku niemieckim w wysokości 10%. Oznaczałoby to olbrzymie kwoty, bo według analiz inicjatywy Americans for Tax Reform nasi zachodni sąsiedzi są piątym największym rynkiem zbytu dla amerykańskich platform cyfrowych, wliczając w to platformy streamingowe, takie jak Netflix.

To w ogóle jest ważne zagadnienie w kontekście danin na Dolinę Krzemową, bo, jak regularnie przypomina Felix Kartte, doradca Komisji Europejskiej ds. regulacji cyfrowych, Europa to dla Amerykanów największy rynek reklamowy w internecie, większy niż same Stany Zjednoczone.

Brazylia wie, co robi

Niemcy na razie z wprowadzeniem podatku się wstrzymały, bo widać, że traktują go jako instrument nacisku geopolitycznego, a nie sprawiedliwości fiskalnej. Mimo wszystko to błąd, ponieważ w ten sposób administracje próbują rozwiązać zupełnie inny problem. Nie wszyscy podchodzą do tematu równie zachowawczo jak Friedrich Merz, bo big techy są w różnej formie opodatkowane aż w 35 krajach na świecie.

W Wielkiej Brytanii taki podatek istnieje od maja 2020 r., ale wynosi śmiesznie niskie 2%. W dodatku obejmuje wyłącznie firmy, których globalne przychody wynoszą powyżej 500 mln dol. rocznie, a na Wyspach zarabiają co najmniej 25 mln funtów. Łatwo sobie wyobrazić, że podmioty o tak wielkich zasobach prawnych umieją wykazać kwoty odpowiednio niższe, żeby podatku nie płacić.

Europa to dla Amerykanów największy rynek reklamowy w internecie, większy niż same Stany Zjednoczone.

Od ubiegłego roku podatek cyfrowy próbuje wprowadzić Kanada – i tu stawki są równie niskie. Co prawda 3%, ale globalny próg przychodu wynosi 750 mln dol., a krajowy 20 mln dol. rocznie. Kluczowe w tym kontekście jest słowo „próbuje", bo kiedy daninę chciano zalegalizować, Donald Trump uderzył pięścią w stół, zagroził cłami i Mark Carney, dzisiaj tak chwalony, schował propozycję podatku do szuflady, obiecując dalsze negocjacje w tej sprawie.

Sfera cyfrowa jest przyszłością ekonomiczną, polityczną i społeczną całego świata.

3% podatku od pięciu lat ma też Hiszpania, z nieco dokładniejszymi regulacjami i przede wszystkim niższym progiem, bo przychody na rynku lokalnym muszą przekraczać zaledwie 3 mln euro rocznie – grosze dla big techów.

Na papierze najbardziej imponująco wygląda rama legislacyjna w Portugalii, bo tam nie ma wyjątków podatkowych dla firm technologicznych, muszą płacić standardowy VAT w wysokości 23%. W praktyce da się te zapisy ominąć, rejestrując spółki córki w kraju i uzyskując wyłączenia na długi okres. Istnieje jednak również osobna opłata audiowizualna na poziomie 4% dla firm oferujących usługi w tym zakresie. Płacą więc platformy streamingowe, ale społecznościowe już nie.

Najciekawiej, przynajmniej z punktu widzenia debaty publicznej, wygląda to w Brazylii, znanej z asertywnego podejścia do Amerykanów, od kiedy prezydentem ponownie jest Luiz Inácio Lula da Silva. Po pierwsze, różnicę widać już w nazwie, podatek cyfrowy nazywany jest tam „wkładem społecznym na podstawie dóbr i usług". Brazylijczycy zatem rozumieją to, czego brakuje w rozumowaniu Niemców – podatki są należną całemu społeczeństwu opłatą za funkcjonowanie na danym rynku komercyjnym, a nie instrumentem walki politycznej, który można stosować lub nie. Po drugie, podatek wynosi tam 7%, czyli ponad dwa razy więcej niż w Europie. A może sięgnąć nawet 25%, w zależności od oferowanego produktu cyfrowego. Po trzecie, za jego wprowadzeniem stoi silna wola polityczna, bo środowisko Luli ze stawiania się Amerykanom zrobiło ważne źródło swojego kapitału politycznego. Wokół daniny wciąż trwają przepychanki prawne, ale jeśli lewica obroni prezydenturę w tegorocznych wyborach, są spore szanse, że podatek wejdzie w życie w takiej właśnie formie.

Oczywiście za każdym razem, kiedy mowa o podatku cyfrowym, administracja Trumpa zaczyna grozić cłami, sankcjami, wycofaniem gwarancji bezpieczeństwa. Tyle że jeszcze nikt nie zweryfikował tych gróźb. Sfera cyfrowa jest przyszłością ekonomiczną, polityczną i społeczną całego świata, zawładnęła wyobraźnią milionów i wymaga regulacji, jak wszystko w państwie. Nie mówiąc o tym, że jeśli dane państwo naprawdę uważa się za poważną gospodarkę, np. z racji znalezienia się w G20, wypadałoby w taki sposób się zachowywać. To dotyczy również Polski.

Mateusz Mazzini

eprasa.pl 279906a1ed



Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Gdzie nasza niepodległość?

Nie zawsze utrata niepodległości następuje tak jak w roku 1939: w ciągu paru tygodni. W XVIII w. traciliśmy ją stopniowo, przez dziesięciolecia. Ostatnich polskich królów, Augusta III i Stanisława Augusta, wybrano pod osłoną wojsk rosyjskich. Długo sobie nie uświadamialiśmy, że nie jesteśmy już wolni. Gdy oprzytomnieliśmy – było za późno.

W XXI w. Karol Nawrocki został prezydentem z woli rodaków (choć z nieznaną liczbą głosów), ale i z poparciem obcych. Udzielona mu w trakcie kampanii audiencja w Białym Domu, skierowane do niego słowa Donalda Trumpa: „You will win", bezprecedensowa, tużprzedwyborcza agitacja w Jasionce pod Rzeszowem amerykańskiej sekretarz Kristi Noem – już same te czynniki obniżają powagę obecnego prezydenta. I to tym bardziej, że tego poparcia wcale się on nie wstydzi: po wygranej, podczas kolejnej wizyty w Białym Domu, wylewnie za nie Trumpowi dziękował. Co znaczy, że takie ingerencje zalegalizował. Także na przyszłość.

No i pozostał Trumpowi wierny. W styczniu, po kompromitujących występach Amerykanina w Davos, pospieszył z deklaracją, że jego wsparcie dla niego „jest niezachwiane". Milczał, gdy Trump obrażał pamięć europejskich, a więc i polskich, żołnierzy poległych w Afganistanie; nawet oddana Ameryce Giorgia Meloni wyraziła wtedy oburzenie. Gdy wreszcie Nawrocki zabrał głos w tej sprawie, o Trumpie nawet się nie zająknął. Wkrótce potem jego doradca, Sławomir Cenckiewicz, przekonywał, że wydawanie unijnych pieniędzy na inwestycje w UE jest niezgodne z nową amerykańską strategią bezpieczeństwa narodowego. Czyli ta nowa strategia ma obowiązywać także w Polsce. Od pół roku nie godzi się Nawrocki na nominację ambasadorską dla Bogdana Klicha – a czemu? Bo ten przed laty wypowiedział się krytycznie o Trumpie. Gdy zaś niedawno amerykański ambasador publicznie zrugał marszałka Sejmu, Kancelaria Prezydenta natychmiast stanęła po stronie Amerykanina. Zatem hasło Nawrockiego „Po pierwsze, Polska, po pierwsze, Polacy" powinno brzmieć: „Po pierwsze, Ameryka, po pierwsze, Trump". Polacy są dla niego na dalszym miejscu. Czy tak się zachowuje prezydent państwa niepodległego?

Powie ktoś: niepodległość straciliśmy, gdyśmy weszli do Unii Europejskiej. Ale to pokrętna logika. Na tej samej zasadzie można rzec, że utratą niepodległości była kiedyś unia Polski z Litwą. Przy czym unię zawarły polityczne elity, akces do UE został zaś zatwierdzony w ogólnonarodowym referendum. A zatem naród polski, swą własną, suwerenną decyzją, złożył pewną część atrybutów niepodległości w ręce organizmu ponadnarodowego, zdolnego podjąć konkurencję w dzisiejszym, zglobalizowanym świecie. Takiej umowy państwo polskie ze Stanami Zjednoczonymi nigdy nie zawarło.

A opieranie bezpieczeństwa Polski na Ameryce – czymże jest, jak nie szaleństwem? Nawet w czasie II wojny światowej Franklin Delano Roosevelt, choć mówił o Polsce jako „natchnieniu świata", sprzyjał jej o wiele mniej niż Winston Churchill. Dzisiejsze USA Trumpa nie mają jednak nic wspólnego nawet z USA Roosevelta. Tamte wspierały Europę i krwawiły się w jej obronie. Te zwalczają Europę, grożą jej nawet wojną, bo czymże jak nie wojną wypowiedzianą Danii (a więc NATO i Europie) byłaby zapowiadana aneksja Grenlandii? Wprawdzie z groźby siłowego przejęcia wyspy Trump ostatnio się wycofał, lecz przecież on zmienny jest i jutro może zmienić zdanie.

Polska racja stanu stała się tożsama nie tyle z racją amerykańską, co z interesem ruchu MAGA.

Nawet w czasach stalinowskich „sojusz polsko-radziecki", choć realizował skłamaną ideę „proletariackiego internacjonalizmu", zabezpieczał jednak kształt terytorialny polskiego niesuwerennego państwa. Dziś – co zabezpiecza i czemu służy polska służalczość wobec Ameryki? Gdyby – jako część Unii Europejskiej – Polska trwała przy Europie, znalazłaby się i tak na amerykańskim celowniku. Gdyby zwróciła się przeciw Europie, zniszczyłaby siebie, niczego w zamian nie otrzymując, bo na któryś z kolei stan amerykański chyba by się jednak nie załapała. Uprawiana przez Nawrockiego dwuwładza destruuje i osłabia polskie państwo, Trumpowi zaś przynosi je na talerzu. Polska racja stanu stała się tożsama nie tyle nawet z racją amerykańską, co z interesem ruchu MAGA. Czy więc ma polegać na czynieniu Ameryki (znów) wielką? I może jeszcze trzeba za to zapłacić? Na razie ostentacyjna brutalność ambasadora amerykańskiego zbliżyła go do ambasadorów rosyjskich doby rozbiorów.

Poza tym sądzę, że Sejm RP powinien jak najszybciej procedować projekt ustawy o utrudnieniu Polsce wyjścia z Unii Europejskiej.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 279906a1ed

Milenium peryferii Zachodu

Z czego się cieszy Marek Czarkowski?

Tadeusz Klementewicz



KRAJ

Albo patriotyzm, albo zyski

Dlaczego polskie firmy otwierają fabryki w Chile, Kazachstanie, USA i Chinach?

Marek Czarkowski

Nasze na horyzoncie budynku przy ulicy al. Lipowej 39/44 w Gdańsku (ps. ...LPP Fashion Lab Cotton" – ...jak sądzę – niewiele mówi przeciętnemu mieszkańcowi Trójmiasta. A tu mieści się największa w Polsce firma modowa. Grupa LPP jest właścicielem takich marek jak: Reserved, House, Mohito, Sinsay i Cropp. W ubiegłym roku posiadała 2426 ubiegłe stacjonarnych na ponad 40 rynkach. To właśnie największy odzieniowy koncern o polskich korzeniach. Tylko w pierwszych trzech kwartałach ubiegłego roku jego sprzedaż osiągnęła 16,8 mld zł, co oznaczało wzrost o 20% w stosunku do roku 2024. Prezesem Grupy LPP jest Marek Piechocki, a największym

Pakistanie, Indiach i Kambodży, ok. 7% w Turcji, a w Polsce... nie więcej niż 1%.

Przykład Grupy LPP jest chrestomatyczny dla dużego rodzimego biznesu, który coraz częściej przenosi produkcję poza granice Polski. Szacunki wskazują, że zagraniczne pałnie polskich spółek sięgnęły 164,5 mld zł. A to dopiero początek.

Dlaczego emigracja z Polski?

Decyzja o budowie fabryki za granicą lub przeniesieniu tam produkcji to nie tylko wynik ekonomicznej kalkulacji. Stoi za tym złożona układanka ekonomiczna, w której liczą się dziesiątki zmiennych. Kwestia, dla których polskie spółki decydują się na taki krok, jest kilka. Tak wynika z badań przeprowadzonych przez rodzimą

firmy. Za polegania na jednym rynku to częsty kapitał. Gdy Polska zamyka granice, firmy prowadzące działalność w kilku krajach mogły przenieść się chętnie gdzie indziej. Więcej w Ukrainie tylko umocnia to dywersyfikację.

Spółki, które miały ugruntowaną pozycję na rynkach, bieżnościowo czy atrakcyjnym rynku, z dnia na dzień zdobyły się z bardzo poważnymi konkurentami. Te, które prowadziły działalność w innych krajach, miały większe szanse na przetrwanie.

Trzeci czynnik to koszty pracy. Przez lata Polska oferowała tanią, dobrze wykształconą i stosunkowo elastyczną siłę roboczą. W porównaniu z zachodnim sąsiadem podobni nad Wisłą były nadal, podobnie jak ceny energii elektrycznej. Kiedy się zaczęło się to szybko zmieniać. Na przykład w roku 2020 średni koszt godziny pracy w Polsce wynosił 14,50 euro, podczas gdy w Niemczech – 41,30 euro. Różnica wciąż była ogromna, lecz w ten sposób

PKN Orlen to jedyne polskie przedsiębiorstwo w prestiżowym rankingu Fortune Global 500. W 2025 r.

KRAJ

Do Wielkiej rakiety dziś: francuski Fruehauf, niemiecki Langendarf, brytyjski Lawrence David, hiszpański Guillen oraz włoskie Viberti i Cardi.

Lecz Orlen to nie tylko Europa. W Kanadzie wydobywa ropę i gaz, zdecydowanie, polska drużyna do

kontroluje grupę Unipetrol z dwoma rafineriami – w Kralupach i Litvinovie. Ich możliwości przerobowe to łącznie 6,7 mln t/rok.

Koncern ma też sieć ponad tysiąca stacji paliw rozsianych po Niemczech, Czechach, Słowacji, Węgrzech i Austrii.

Mining. Transakcja ta, choć do dziś budzi kontrowersje co do finansowej rentowności, skokowo uczyniła z KGHM gracza o realnej globalnym.

Dla KGHM zagranicza ekspansja to nie kwestia prestiżu, lecz przetrwania. Złoża miedzi w Polsce, chociaż wciąż są bogate, kiedyś się skończą. Bez dostępu do nowych źródeł surowca koncern nie miałby przyszłości. Dlatego każda nowa

Czyżby nagle, z roku na rok, z miesiąca na miesiąc, za sprawą kilku polskich „globalnych" firm staliśmy się nowym mocarstwem gospodarczym? Polska gospodarka przestała być półkolonią w systemie światowego kapitalizmu? Tylko żal niskich płac?

Z różnych raportów i pogłębionych analiz specjalistów od polityki przemysłowej i rozwojowej (a nie bankowych i katedralnych ekonomistów) płynie inny wniosek. Inny niż ten, który raduje serca rządzących i sekundującej im komentatorskiej braci. Dlatego tym trudniej im przyjąć do wiadomości, że Polska ma cechy gospodarki zależnej, peryferyjnej. O peryferyjnym statusie decyduje kilka funkcjonalnych zależności.

Po pierwsze, zależność finansowa w postaci kapitału założycielskiego banków z krajów rdzenia. W krajach starej Unii to kilka, najwyżej kilkanaście procent. U nas wciąż ok. 60%. Banki z kapitałem zagranicznym udzielają ok. 70% kredytów netto. Wśród demoludów tylko Polska oddała kontrolę nad sektorem finansowym kapitałowi zagranicznemu.

Po drugie, zależność od handlu zagranicznego towarami i usługami z krajami rdzenia. Na polskim rynku dominuje import oraz wielkie sieci handlowe patronów, choć mamy swoje Dino i tak chwalone przez red. Marka Czarkowskiego kiedyś gdańskie, obecnie maltańskie LPP Fashion Lab Cotton („Albo patriotyzm, albo zyski", nr 6/2026). A polski rynek wewnętrzny liczy potencjalnie ponad 37 mln konsumentów. Gdyby nie utracone korzyści w postaci produktów rodzimych firm, produkcja krajowa mogłaby być o 40-60% większa. Większe też byłyby wpływy z podatków. Wskaźnik penetracji importowej wzrósł z 17% w 1989 r. do 54% w 2006 r. (w UE wynosi 44%).

Po trzecie, przytłaczająca jest wciąż zależność technologiczna od importu myśli naukowo-badawczej i nowoczesnej techniki. Z 1634 zakładów zbudowanych w PRL tylko 142 należały do przemysłów wysokiej techniki, co stanowiło niecałe 9%. Nic się nie zmieniło. W Polsce nadal ma miejsce „głęboki niedorozwój przemysłów wysokiej techniki", stwierdza wybitny znawca polityki przemysłowej prof. Andrzej Karpiński. Bo np. tylko pięć zakładów zbudowanych przez kapitał zagraniczny po 1989 r. zalicza się bezpośrednio do tej kategorii. Przede wszystkim chodzi o przemysły wysokiej techniki (elektronika, robotyka, produkcja urządzeń dla transformacji energetycznej). Jachty i wideogry CD Projektu, puszki do coca-coli CANPACK Group czy okna ze standardowych profili – nawet nie mogą być wisienkami na torcie, bo tego tortu nie ma od tysiąclecia. Mimo że „The Economist" już w 2014 r. ogłosił „złotą jagiellońską erę" polskiej gospodarki. Ogólnie udział wyrobów wysokiej techniki można szacować tylko na 8% całego eksportu wyrobów przemysłowych z Polski (z UE 16-17%", w krajach OECD przekracza zaś 26% całego eksportu (Andrzej Karpiński, „Jak wyjść z chaosu i bezwładu", Warszawa 2024, s. 79). W sektorze tzw. usług wiedzochłonnych (prace badawczo-rozwojowe, doradztwo techniczne) w Polsce zatrudnionych jest 1,7% ogółu, w UE 5%.

Polska ma cechy gospodarki zależnej, peryferyjnej.

Po czwarte, PKB pomija też fakt, że kapitał ma ojczyznę. Dlatego trzeba uwzględnić zależność bezpośrednią w postaci własności kapitału krajów rdzenia lub kontroli przez ten kapitał kluczowych pozycji gospodarczych. Jednak wskutek skokowego wzrostu zakupów maszyn i sprzętu, zwłaszcza przez kapitał zagraniczny, wartość całego majątku produkcyjnego w przemyśle była już w 2014 r. o 70-80% wyższa niż w gospodarce Polski Ludowej. Firmy z udziałem kapitału zagranicznego zatrudniają niemal jedną trzecią siły roboczej i wytwarzają prawie 40% produkcji przemysłowej kraju, a jeśli dodać

eprasa.pl 279906a1ed

firmy z udziałem kapitału zagranicznego mniejszym niż 50%, to byłaby połowa. To też niemal połowa „polskiego" eksportu. Co więcej, prawie 40% eksportu to wymiana towarowa z jednostkami macierzystymi, czyli w istocie obrót wewnętrzny w ramach tych firm, i nie można go uznać za sukces eksportowy (Andrzej Karpiński, Stanisław Paradysz, Paweł Soroka, Wiesław Żółtkowski, „Jak powstawały i jak upadały zakłady przemysłowe w Polsce", Warszawa 2013).

Jakie to ma znaczenie dla polskiej wspólnoty życia i pracy? Ogromne, ponieważ zagraniczne firmy transferują zyski, dywidendy, na dodatek mają wpływy polityczne, także za pośrednictwem ambasadorów i banków. Legalny drenaż Polski z kapitału wynosi równowartość ok. 5% bajkowego PKB. Temu służą tolerowana optymalizacja podatkowa, gigantyczne uposażenia personelu gości, a także manipulacje cenami transferowymi.

Wielkie korporacje, zwłaszcza big techy, są wolne od konieczności dzielenia się zyskiem, mimo że korzystają z pracy w strefach specjalnych i że wcześniej stworzyliśmy dla nich, często kosztem miliardów złotych, odpowiednie warunki do inwestycji, w tym infrastrukturę. Obecnie np. w tej czy innej strefie ekonomicznej mogą przez lata odliczać od podatku dochodowego 40% wydatków inwestycyjnych. Na przykład Fiat, który do Włoch przeniósł produkcję Pandy, nie płacił w Polsce podatku dochodowego. Również polscy krezusi i ich biznesy emigrują do rajów podatkowych. Często nie wiadomo, gdzie znajduje się centrala, a gdzie rezydują właściciele (vide LPP).

Co najgorsze, w Polsce produkcję finalnych wyrobów zastąpił montaż podzespołów. Prof. Andrzej Karpiński szacuje, że dwie trzecie przyrostu produkcji osiągnięto przez zastąpienie własnej produkcji finalnej montowaniem i konfekcjonowaniem wyrobów gotowych, w tym usług przemysłowych. Dlatego 20. gospodarka świata tkwi w pułapce średnich, a właściwie niskich dochodów. Tylko londyńskie City ma z czego się cieszyć.

Czyli wciąż konkurujemy jak każde peryferie tanią pracą i ułatwionym transferem zysków. To nasza przewaga komparatywna. Prawie co trzeci pracownik jest zatrudniony na umowach terminowych, co jest najwyższym wskaźnikiem w całej Unii Europejskiej (tu najwyżej co dziesiąty).

Na dodatek system podatkowy w Polsce ma charakter regresywny. Lepiej zarabiający i bogatsi podatnicy płacą relatywnie niższe podatki. Dlatego prawie dwie trzecie wpływów do budżetu państwa pochodzi z podatków konsumpcyjnych, obciążających w większym stopniu klasy pracownicze, bo to one konsumują proporcjonalnie większą część dochodu.

Tylko nasz ukochany premier może prawić, że Polska „staje się perłą w koronie całej wspólnoty Zachodu. Naprawdę jesteśmy skazani na wielkość" (w komunikacie opublikowanym przez serwis PAP). Ale czy słudzy biznesu krajowego i zagranicznego są w stanie określić dziedziny przemysłu, które powinny pozostać w gestii państwa, aby zapewnić ich reindustrializację? A tę wymusza kryzys planetarny. Świat wkracza w erę wymuszonego dewzrostu wskutek zmian klimatu i wyczerpywania się minerałów oraz nośników energii.

Tymczasem wyczynowy kapitalizm cierpi na błąd założenia. Korporacje konkurują kosztami produkcji. Najłatwiej im obniżać koszty pracy. Kierując się tym kryterium, działają racjonalnie, powiększają bowiem zyski. Ale ta strategia biznesowa prowadzi do przenoszenia produkcji do krajów o tańszej sile roboczej. W skali makro powstaje efekt nieracjonalny, zabójczy dla wszystkich. Spada bowiem popyt globalny i kapitalizm pogrąża się w stagnacji. A nas zamyka w planetarnym obozie przetrwania.

Według prof. Andrzeja Karpińskiego w Polsce nadal ma miejsce „głęboki niedorozwój przemysłów wysokiej techniki".

Tadeusz Klementewicz jest politologiem, profesorem nauk społecznych, wykładowcą na Wydziale Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych Uniwersytetu Warszawskiego, specjalistą w zakresie teorii polityki i metodologii nauk społecznych



eprasa.pl 279906a1ed



Komu potrzebna jest ta budowa?

W jednym z najstarszych parków miejskich w Warszawie wycięto 74 drzewa i 10 grup krzewów. Wycinka związana jest z pracami przygotowawczymi przed odbudową Pałacu Saskiego i Pałacu Brühla oraz kamienic przy ul. Królewskiej.

W ciągu kilku dni z północno-zachodniego narożnika Ogrodu Saskiego usunięto ponad 70 drzew, głównie lipy i klony oraz brzozy i jabłonie. Działania te wzbudziły duże kontrowersje wśród mieszkańców i aktywistów, którzy nazwali je rzezią drzew. Prace zostały przeprowadzone na podstawie decyzji wojewody mazowieckiego.

Rzecznik spółki Pałac Saski Sławomir Kuliński podkreśla, że usunięte zostały tylko te drzewa, których nie udało się przesadzić, a plac musiał zostać oczyszczony. Badania archeologiczne mają się zacząć w marcu. Zostaną wtedy odkopane fundamenty zburzonego pałacu, pierwszy raz od czasu wojny.

Mieszkańcy i radni dzielnicy Śródmieście wielokrotnie wyrażali sprzeciw wobec tak daleko idącej ingerencji w drzewostan parku. Zarzuty



dotyczą głównie utraty dojrzałych drzew w centrum miasta, co negatywnie wpływa na mikroklimat i estetykę Ogrodu Saskiego.

Kontrowersyjny jest też sam budynek. Nie będzie to na pewno odbudowa Pałacu Saskiego, ale wybudowanie go od zera. Niemcy pod koniec wojny wysadzili tę budowlę w powietrze. Ocalał tylko Grób Nieznanego Żołnierza, który ma być schowany wśród nowych murów.

Wielu znanych architektów i mieszkańców Warszawy protestuje przeciwko tej decyzji i wydawaniu ponad 3 mld zł na tak wątpliwy cel. Tym bardziej że na pobliskiej Pradze w setkach budynków mieszkańcy ciągle mają toalety na dworze.

MG

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

eprasa.pl 279906a1ed

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Cała przyszłość w ręce rad

Przyszłość to nie tylko wielki temat, to nasze i kolejnych pokoleń życie. Przesunięcie zainteresowania w stronę przyszłości w kraju, w którym polityczne wybory i debaty oraz inżynieria społeczna są od dekad zdominowane przez trumny, historie wojen, przegranych powstań i daremnych trudów, należałoby generalnie oceniać pozytywnie. Sęk w tym, że użycie tego pojęcia przez konkretne gremium czy graczy nic jeszcze nie oznacza – albo wręcz przeciwnie, rzekome pochylenie się nad takim enigmatem pozwala ukryć, zakamuflować konkretną wizję i organizację owej przyszłości, która nadejdzie niechybnie i niezależnie. To punkt wyjścia do próby ustosunkowania się do inicjatywy rządu czy też premiera Tuska dotyczącej powołania Rady Przyszłości.

Czym ona będzie? „Ciałem doradczym Prezesa Rady Ministrów, przygotowującym rekomendacje działań i rozwiązań wspierających dalszy rozwój Polski. Jednym z jej zadań będzie identyfikacja nowych silników wzrostu, opartych na innowacjach, kapitale ludzkim i własności intelektualnej. Skoncentruje się na skracaniu drogi od badań do produktu oraz na komercjalizacji i skalowaniu technologii w Polsce". Premier zachwalał ideę i kształt rady oraz osoby (arbitralnie) powołane w jej skład: „To ludzie bardzo zajęci, którzy nie narzekają na brak sukcesów w nauce, w biznesie, w kreowaniu zupełnie nowej rzeczywistości. To są ludzie, którzy zdobywali też dla Polski kosmos, którzy potrafią produkować najbardziej cenione w tej chwili satelity".

Wydawałoby się, że powstanie takiego gremium poprzedzać winna jakaś forma diagnozy stanu zastanego, potem dopiero można budować scenariusze zmian czy „rozwoju". Niestety, już na tym poziomie dostajemy nawet nie namiastkę realnej opowieści o punkcie wyjścia, gdy czytamy: „Żyjemy w jednym z najlepszych miejsc na Ziemi i to przede wszystkim dzięki aktywności, kreatywności, pracowitości ludzi. Ale wiadomo, że szczęście jest potrzebne, jeśli chce się osiągać sukcesy, i szczęście sprzyja lepszym". Do tego dorzuca kilka słów Andrzej Domański, minister finansów postawiony na czele rady: „Polska jest dziś 20. gospodarką świata – to wielki sukces, ale nie dany raz na zawsze. Dlatego musimy budować nowe przewagi i wygrywać w globalnym wyścigu".

Skład rady sprawia wrażenie dość jednorodnej grupy (nie licząc tradycyjnie skromnej reprezentacji kobiet) o spójnej technokratyczno-biznesowej proweniencji, z lekką domieszką współgrających z ideą ludzi nauki. Słowami kluczami, które odgrywają istotne role w oznaczaniu celów i oczekiwań, są pojęcia mające dzisiaj posmak dawnych rojeń i przestarzałych wzorców, takie jak wzrost oraz koncept, że „tym, co pozwoli uczynić nasz kraj niekwestionowanym liderem nie tylko w regionie, ale i w Europie pod względem gospodarczym – są umysły, zwłaszcza młodych Polek i młodych Polaków". Celem rady „jest stworzenie warunków, w których wszystkie Polki i wszyscy Polacy – posiadający ambicje i potencjał, często jeszcze nie w pełni odkryty – będą mogli realizować swoje aspiracje i marzenia tutaj, w Polsce".

Nie można wykluczyć, że w sugestiach i propozycjach rady w kwestii rozwoju pewnego modelu kapitalizmu cyfrowego XXI w. pojawią się ciekawe czy przemyślane sugestie. Ale fundamentalną słabością tej propozycji jest jej niemal karykaturalna fragmentaryczność. A państwo, kraj jest czymś o wiele bardziej skomplikowanym niż rozkręcenie jakiejś gałęzi biznesu. To wstrząsające, jak wiele problemów nowoczesnego państwa zostało pominiętych, podobnie zostały potraktowane wielkie grupy społeczne i ich „dobrostan". Nie zagłębiając się w szczegółowe „niedobory" (personalne i problemowe), nie sposób nie zauważyć, że wizja rady jest skrajnie technokratycznym, fragmentarycznym projektem, w którym jest miejsce dla przedstawicieli banków czy prywatnych firm zbrojeniowych, a znika całkowicie społeczeństwo jako takie. Jeśli idzie o problemy, to nawet trudno skomentować brak jakiegokolwiek odniesienia się do kwestii zmian klimatycznych i ich konsekwencji, i dla globu, i dla Polski. W gremium nie ma śladu ukierunkowania się na nauki społeczne, środowisko naturalne, kryzys wodny, model edukacji powszechnej, systemowy kształt opieki zdrowotnej i społecznej. Nie ma refleksji na temat mieszkalnictwa – są za to rojenia o eksploracji kosmosu, gdzie buszują już amerykańskie prywatne korporacje.

Cała wizja zainteresowań rady jawi się jak mokre sny młodego Elona Muska. Służy ona zbudowaniu instrumentów i mechanizmów bardzo wąsko czy niekompetentnie pomyślanego skoku cywilizacyjnego. Tradycyjnie w radzie znalazło się miejsce dla przedstawiciela prywatnego biznesu zbrojeniowego, ale już problem zapaści choćby psychiatrii dziecięcej – jest niewidoczny.

Z punktu widzenia mieszkańca naszego kraju nie sposób znaleźć nawet śladu wizji państwa, która realnie odpowiada na problemy większości czy niedomagania systemowe. Na jakich wartościach ma być oparta ta Polska Przyszłości? Na baśniowym przekonaniu, że „i szczęście sprzyja lepszym"? Wróży to bardzo źle temu instytucjonalnemu pomysłowi. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 279906a1ed

SREBRO I HEJT

Pierwszy tydzień zimowych zmagań olimpijskich

Wojciech Kuczok

Za sprawą jednego wieczoru na tzw. skoczni normalnej w Predazzo działacze Polskiego Związku Narciarskiego i Komitetu Olimpijskiego odetchnęli z ulgą. Już jest lepiej, niż było w Pekinie, gdzie honor naszych sportów zimowych obronił Dawid Kubacki, stając na najniższym podium zawodów na tzw. skoczni normalnej. To nazwa całkowicie bałamutna, bo chodzi o skocznię nietypową. Puchar świata rozgrywa się niemal wyłącznie na obiektach dużych i mamucich, obiekty o punkcie konstrukcyjnym ulokowanym poniżej 100. metra w dzisiejszych skokach służą głównie treningom.

Ta dyscyplina ma i tak rosnące problemy z oglądalnością, ludzie nie chcą już oglądać narciarzy skaczących, wolą patrzeć na latających, dlatego inwestuje się raczej w obiekty jak największe, z myślą o przekroczeniu mitycznej granicy 300 m. Na razie najdłuższy skok w historii oddał Ryōyū Kobayashi na specjalnie w tym celu przygotowanym obiekcie na Islandii, ale to odbyło się w ramach ekstremalnego projektu Red Bulla – Japończyk wylądował na 291. metrze.

Zawody na skoczni normalnej są mało widowiskowe, bo różnice między odległościami bywają nikłe, zawodnicy najwięcej zyskują lub tracą nie tylko na przelicznikach wiatru, ale i notach za styl, które od lat są przyznawane całkowicie subiektywnie, arbitralnie i nierzadko od czapy. Sędzia swojemu rodakowi przyzna osiemnastkę za lądowanie bez telemarka, za to rywalowi za podobny występek przyzna „upadkową" piętnastkę i nikt mu nic nie zrobi, noty skrajne i tak się kasuje.

Skocznia K98, na której Kacper Tomasiak wywalczył olimpijskie srebro, premiuje zawodników z potężnym i precyzyjnym wybiciem, to taki narciarski skok wzwyż, bo zeskok jest za krótki, żeby móc w locie korygować sylwetkę, łapać wiatr i nadrabiać odległością. Medal to nie był przypadek, bo Tomasiak już jest skoczkiem światowej czołówki, a pod względem siły wybicia to ścisły top. Gdyby konkursy pucharu świata rozgrywano na skoczniach normalnych, pewnie mielibyśmy Polaka w walce o Kryształową Kulę, choć jedyny w tym sezonie konkurs na takim obiekcie w Falun Bielszczanin zakończył poza dziesiątką (ale to był początek sezonu, Tomasiak dopiero nieśmiało się rozkręcał w swoich pierwszych seniorskich startach zimowych).

Skocznia K98, na której Kacper Tomasiak wywalczył olimpijskie srebro, premiuje zawodników z potężnym i precyzyjnym wybiciem.

Najważniejsze jednak, że nasz młokos zachował zimną krew, bo w tych zawodach błędy przy lądowaniu zadecydowały o klęsce faworytów – Polak skakał daleko i pewnie, spokojem w powietrzu przypominał Kamila Stocha w najlepszych latach. To nasz najmłodszy medalista w historii; Wojciech Fortuna, który na poduszce powietrznej doleciał po złoto w Sapporo, w chwili życiowego triumfu był o kilka miesięcy starszy. Nadzieje na to, że kariera Tomasiaka potoczy się szczęśliwiej niż Fortuny, nie są płonne – to ułożony, sumiennie trenujący chłopak, świetnie radzący sobie z presją, regularnie punktujący w zawodach pucharowych.

Na podium w Predazzo zrobiło się swojsko, bo aż dwójka medalistów mówi po polsku. Brąz bowiem udało się wyskakać nadzwyczaj sympatycznemu dryblasowi ze Szwajcarii, Gregorowi Deschwandenowi, którego partnerka jest naszą rodaczką. To piękne zwieńczenie kariery 35-latka, który zawsze był pierwszorzędnym skoczkiem drugorzędnym, zaledwie kilkukrotnie stawał na pucharowym podium, ale zimą nigdy żadnych zawodów nie wygrał.

Paradoksalnie Tomasiak jako lider naszych skoczków reprezentuje kadrę B, formalnie zatem jego trenerem jest Wojciech Topór, a Maciej Maciusiak odpowiada za kadrę A, do której Tomasiak dołączył latem. Każdy z naszych trzech olimpijskich skoczków ma innego trenera – Stoch indywidualnie szkoli się z Michalem Doležalem, właściwie tylko Paweł Wąsek jest „człowiekiem Maciusiaka".

Po sukcesie młodego Bielszczanina rozpętało się tradycyjne polskie piekiełko – zamiast radości z medalu w sieci zaczęło się hejtowanie trenera, który jakoby „podpinał" się pod medal, do którego się nie przyczynił. Już dzień później cała siła agresji internetowej skupiła się na Bogu ducha winnej Zakopiance Poli Bełtowskiej, która nawet nie tyle zawaliła skok w turnieju mikstów, ile skoczyła na miarę swoich niewielkich możliwości. Polskie skoki kobiece się nie liczą, mamy tylko Annę Twardosz, która dopiero w tym sezonie zaczęła regularnie punktować, ale tylko raz udało się jej załapać do pierwszej dziesiątki, dlatego jej 10. miejsce w zawodach na normalnej skoczni olimpijskiej w Predazzo jest gigantycznym i niespodziewanym sukcesem.

eprasa.pl 279906a1ed



Kacper Tomasiak ze srebrnym medalem zdobytym na skoczni normalnej w Predazzo, 10 lutego 2026 r.

Polscy hejterzy to armia zakompleksionych buców, w których nieustannie buzują pokłady autoagresji, przeto czym prędzej muszą zostać przeniesione na kozła ofiarnego. Polski hejter na co dzień nienawidzi siebie i sobą gardzi, za to bije żonę i dzieciaki, a jak jest bucem samotnym, zachlewa się na śmierć, bo tylko na takie samobójstwo go stać. Internet jest zatem doskonałym narzędziem do tego, by wylać swój jad na zewnątrz. Nastoletnia dziewczyna okazała się łatwiejszą ofiarą od Maciusiaka, więc internetowi znawcy ładowali w nią ile wlezie, aż się oficjele związkowi musieli wykazać aktem solidarności z naszą skoczkinią.

Piszę te słowa przed weekendowymi zawodami na skoczni dużej, w seriach treningowych obudził się niespodziewanie nasz stary mistrz Kamil Stoch, a młody wicemistrz ostrożnie się ze skocznią zapoznawał, ale dodatkowy medal dla polskich skoczków byłby olbrzymią sensacją.

W piątkowy poranek wciąż mieliśmy tylko jeden krążek, najbliżej sukcesu był Damian Żurek w biegu łyżwiarskim na kilometr, do podium zabrakło mu 0,07 sekundy, ale Polak będzie jeszcze miał szanse w swoim ulubionym sprincie.

Bardzo mnie wzruszyły polskie saneczkarki, bo ich szóste miejsce na „starych, skrzypiących" płozach to jak złoty medal – Polki jadą bezbłędnie, a i tak kończą wolniej od rywalek, bo startują na sprzęcie sprzed dekady. Saneczkarze w Polsce nie mają gdzie trenować, bo nie mamy lodowych torów – mistrzostwa Polski muszą być rozgrywane za granicą. W takich warunkach wywalczyć punktowane miejsce na igrzyskach to wyczyn ekstremalny.

Polskie skoki kobiece się nie liczą, mamy tylko Annę Twardosz.

Niezapomniane chwile olimpijskie pierwszego tygodnia zmagań w Cortinie i Mediolanie nie zawsze były tak magicznie piękne jak pantomima slalomistek odtwarzających rękami ruchy na zapamiętanej trasie – przy 100 km/godz. nie ma już czasu na kombinowanie. Na szczęście do zawrotnej prędkości nie zdążyła się rozpędzić Lindsey Vonn, bo upadła już w 13. sekundzie zjazdu (startowała z numerem 13 – i jak tu nie być przesądnym?). Przeznaczenia, a raczej medycyny, nie dało się oszukać, legenda narciarstwa alpejskiego startująca ze świeżo zerwanym więzadłem krzyżowym nie wytrzymała przeciążenia i przewróciła się dość wcześnie, jeszcze przed wjazdem w wąską skalną gardziel, przez którą wiodła trasa zjazdu. Skończyło się fatalnie, ale nie tragicznie – skomplikowane złamanie, trzy operacje w ciągu tygodnia i koniec długiej kariery. Wszyscy teraz dyskutują, czy nie można tego było przewidzieć i ze względów bezpieczeństwa nie dopuścić Amerykanki do startu.

Przez pół wieku nie dopuszczano natomiast salta na lodowisku, teoretycznie z troski o zdrowie zawodników, którzy w ten sposób łatwo mogą sobie złamać kark, formalnie jednak z tej przyczyny, że lądowanie na obie nogi jest uważane w łyżwiarstwie figurowym za błąd techniczny. No i pojawił się geniusz Ilia Malinin, facet, któremu mało było tych wszystkich poczwórnych toe-loopów, axli i lutzów – nauczył się salta w tył z lądowaniem na jednej nodze!

Amerykanin jest zresztą największą gwiazdą tych igrzysk, obok Jutty Leerdam, zwyciężczyni fantastycznych zawodów panczenistek na dystansie kilometra. Holenderka w drodze po zwycięstwo musiała pobić rekord olimpijski ustanowiony kilka minut wcześniej przez koleżankę z reprezentacji, ale też zmierzyć się z presją i hejtem sprowokowanym dezynwolturą, z jaką podeszła do ceremonii otwarcia. Jako partnerka celebryty milionera, boksera sowizdrzała Jake'a Paula (niedawno dał się niemiłosiernie obić Anthony'emu Joshui za jedyne… 50 mln dolców), mogła sobie pozwolić na przylot do Mediolanu prywatnym odrzutowcem, w dodatku nie pokazała się z drużyną na stadionie podczas inauguracji igrzysk. Kontrowersje zostały jednak poza lodem, bo to wciąż najszybsza łyżwiarka na świecie, łza szczęścia, która wraz z rozmazanym makijażem spłynęła jej po policzku, to jeden z ikonicznych obrazów tych igrzysk. ■

FOT. OLIMPIK/ACTION PLUS/SHUTTERSTOCK/EAST NEWS

eprasa.pl 279906a1ed

Mordercy w sutannach

KSIĘŻA W SZEREGACH USTASZY

Artur Nowak,
Arkadiusz Stempin

Dla wielu historyków postawa papieża w sprawie ustaszy podlega swoiście jednoznacznej ocenie: „Pius XII wiedział o zbrodniach ustaszy, ale nie chciał potępiać katolickiego sojusznika w walce z komunizmem i prawosławiem". „Milczenie papieża wobec Jasenovaca nie może być usprawiedliwione dyplomacją – to był moralny upadek".

Ustasze mieli w swoich szeregach wielu księży. Zwłaszcza franciszkanów i jezuitów. Jednym z nich był Dionizije Juričev, franciszkanin i działacz ruchu ustaszy podczas II wojny światowej. W Sienie we Włoszech w czasie studiów poznał Ante Pavelicia, lidera ustaszy, z którym nawiązał bliską współpracę. Po powrocie do Zagrzebia został jego osobistym kapelanem. W 1941 r. objął kierownictwo Wydziału Religijnego Dyrekcji ds. Odnowy Państwowej w Niepodległym Państwie Chorwackim. Juričev twierdził m.in., że w Chorwacji mogą żyć tylko Chorwaci, a dla tych, którzy nie chcą się nawrócić, nie ma miejsca. Uważał, że zabijanie nawet dzieci nie jest grzechem, jeśli stanowią przeszkodę dla ustaszy.

Z kolei Ivo Guberina był chorwackim duchownym katolickim, zaangażowanym w działalność ruchu ustaszy podczas II wojny światowej. Był szefem ruchu Katolików Chorwackich. Pełnił funkcję osobistego ochroniarza Ante Pavelicia.

Kościoły i cerkwie były miejscem okrutnych kaźni. Jednym z przykładów brutalnej rozprawy z Serbami są wydarzenia w miejscowości Glina. Dwukrotnie dokonano tu masakry. 11 maja 1941 r. ustasze zgromadzili mężczyzn powyżej 16. roku życia w cerkwi prawosławnej, gdzie miał się dokonać obrzęd konwersji na katolicyzm. Kiedy jednak zamknięto drzwi, ustasze przystąpili do zabijania zgromadzonych przy użyciu noży i pałek. Szacuje się, że zginęło od 260 do 417 osób. Jedynym ocalałym był Ljuban Jednak. Zdołał uciec z masowego grobu, do którego wrzucono ciała ofiar.

Kolejna zagłada miała miejsce między 30 lipca a 4 sierpnia 1941 r. Tym razem, jak podają niektóre źródła, mogło zginąć nawet 2 tys. osób.

W 1969 r. na miejscu zniszczonej cerkwi wzniesiono pomnik oraz utworzono muzeum upamiętniające ofiary tych wydarzeń. Jednak Chorwaci w latach 90. XX w. pomnik usunęli.

„Bóg, który kieruje losami narodów i kontroluje serca królów, dał nam Ante Pavelicia i skłonił przywódcę przyjaznego i sprzymierzonego ludu, Adolfa Hitlera, do użycia swoich zwycięskich wojsk do rozpędzenia naszych ciemiężycieli. (…) Chwała niech będzie Bogu, nasza wdzięczność dla Adolfa Hitlera i lojalność wobec naszego Poglavnika, Ante Pavelicia", pisał w tamtych dniach kard. Alojzije Stepinac w swoim pamiętniku.

Świadectwo Ljubana Jednaka, jedynego ocalałego z masakry dokonanej przez ustaszy w Glinie w 1941 r., stało się kluczowym dowodem w powojennych procesach przeciwko zbrodniarzom wojennym. Ljuban wspomina atmosferę strachu, kiedy 26 lipca 1941 r. do wsi Selište wtargnęli uzbrojeni ustasze. Pojmali go kolejnego dnia. Został internowany wraz z innymi mężczyznami. Ograbiono go, tak jak innych, z wszelkich cennych przedmiotów. Ljuban wspomina, że napastnicy kłócili się o łupy. Chodziło o 3 tys. dinarów znalezionych przy jednym z Serbów. O te pieniądze ustasze pobili się między sobą.

Głodnych i spragnionych mężczyzn stłoczonych w wagonach kolejowych 29 lipca 1941 r. dowieziono do stacji w Glinie. „Poprowadzono nas czwórkami pod naszą cerkiew prawosławną pw. Narodzenia Przenajświętszej Bogurodzicy w Glinie", wspomina ocalały.

Przed nocą do cerkwi weszli inni ustasze i ogłosili: „Ko ima novaca, neka dade, kupiće mu se hrana" („Kto ma pieniądze, niech odda – kupimy za to jedzenie"). Mężczyźni zebrali i oddali ok. 6 tys. dinarów. Ale jedzenia nikt nie przyniósł. Ustasze wrócili z bronią. Zdemolowali wnętrze cerkwi. Kolbami karabinów tłukli ołtarze, niszczyli świeczniki i obrazy.

Kościoły i cerkwie były miejscem okrutnych kaźni, w tym brutalnej rozprawy z Serbami w miejscowości Glina w 1941 r.

„Wpadli w istny szał – zaczęli deptać po nas, bić na oślep kolbami i lufami broni, kopać ciężkimi butami gdzie popadło". Inni oprawcy podążali za nimi i miażdżyli kolbami głowy tych, których już zakłuto – „i tako redom…" („i tak po kolei…").

„Jak dziś widzę tych ludzi klęczących i zaklinających ustaszy, by ich oszczędzili. Ale jeden głęboki cios nożem w szyję i szybki obrót w lewo… i koniec. Ofiara próbowała się jeszcze podnieść, ale uderzenie kolbą w głowę dopełniało dzieła. Niektórzy się szarpali, podnosili ręce, by się bronić; inni czekali na cios jak owce. Jednemu cios nożem, zamiast w szyję, poszedł w twarz; drugiemu w rękę; ktoś zerwał się do biegu, ale ustasz dopadł go przy ścianie".

eprasa.pl 279906a1ed



Ustaszowskie czystki etniczne były próbą stworzenia rdzennie katolickiej Chorwacji. 12 czerwca 1944 r.

„Pryskały strzępy mózgu, krew chlustająca po kamiennej posadzce płynęła szerokim strumieniem ku drzwiom".

„Wcisnąłem się za ołtarz i czekałem, aż ustasze skończą swoją robotę", wspominał Ljuban. W końcu w cerkwi zapanowała cisza. Ciała pomordowanych leżały porozrzucane po całej podłodze. Jeszcze tylko tu i ówdzie którejś ofierze drgnęła noga lub ręka; gdzieś było słychać słaby jęk. Ustasze odpoczywali, wycierając krew z noży i kolb karabinów. Kilku wyszło na zewnątrz przed cerkiew. Ocalały rzucił się między pokłute ciała, w kałużę jeszcze ciepłej krwi . Wspomina: „Jeden z koljačy [rzeźników] chodził z nożem i dźgał po kolei ciała. Zbliżał się do mnie – wbił nóż w trupa tuż obok, po czym klęknął na moich plecach i wbił ostrze w ciało następnego. Mnie jakimś cudem pominął".

„Cisnęli mnie na ciężarówkę, która była już prawie pełna ciał. Leżałem na plecach. Ustasze dalej ładowali swoje ofiary. Była już późna noc. Czyhałem na okazję, by się wyczołgać i uciec, lecz żadna się nie trafiała. I wtedy, gdy tak leżałem twarzą do nieba, spotkała mnie rzecz jeszcze straszniejsza: położono na mnie zwłoki innego człowieka, a jego poderżnięte gardło przykryło mi usta".

„Złapali mnie za ręce i nogi, rozhuśtali parę razy i cisnęli w dół. Spadłem na coś miękkiego – na ciała pomordowanych. Poprzeciągali mnie jeszcze trochę po wnętrzu dołu i ułożyli w wyznaczonym miejscu. Miałem szczęście: znalazłem się znowu na wierzchu stosu ciał".

John Cornwell w głośnej książce „Papież Hitlera. Tajemnicza historia Piusa XII" pisał o zbrodniach ustaszy: „Tak przedstawiało się tło kampanii terroru i eksterminacji, rozpętanej w latach 1941-1945 w Chorwacji przez ustaszy przeciwko 2 mln prawosławnych Serbów oraz mniejszościom żydowskim, cygańskim i komunistom. Ustaszowskie »czystki etniczne« (ten szkaradny termin spopularyzowano później) były próbą stworzenia poprzez przymusową zmianę wiary, deportacje i ludobójstwo »rdzennie« katolickiej Chorwacji. Morderstwa i tortury były tak potworne, że przerażały nawet zaprawione w wojennych okropnościach oddziały Wehrmachtu. Nawet w porównaniu z obecnymi rzeziami w Jugosławii zbrodnie Pavelicia na prawosławnych Serbach pozostają jedną z najbardziej odrażających masakr w historii".

Dane dotyczące ofiar reżimu są wstrząsające. Szacuje się, że eksterminacja serbskiej ludności pochłonęła między 200 a 350 tys. Serbów. Szacuje się też, że reżim wymordował 30 tys. Żydów i tyle samo Romów. Tylko w obozie koncentracyjnym w Jasenovacu zamordowano między 80 a 100 tys. osób. Emblematyczna dla najgorszych emocji towarzyszących ustaszom jest postać Miroslava Filipovicia.

Miroslav Filipović-Majstorović urodził się 5 czerwca 1915 r. w miejscowości Jajce (obecnie Bośnia i Hercegowina), która wówczas należała do Królestwa Serbów, Chorwatów i Słoweńców. Od wczesnych lat edukował go Kościół. W Sarajewie i Livnie zdobył wykształcenie teologiczne. W chwili gdy Hitler zaatakował Polskę w 1939 r., został wyświęcony na księdza. Jego droga kapłańska wydawała się dość zwyczajna. Posługiwał w parafiach w Bośni i Hercegowinie. Swoją diabelską naturę objawił po dojściu do władzy ustaszy w 1941 r.

Jego udział w „nocy św. Bartłomieja w Banja Luce" to prawdziwy horror. Chodzi o masakrę dokonaną 7 lutego 1942 r. przez ustaszy na Serbach mieszkających w wioskach w okolicach Banja Luki (Drakulić, Šargovac i Motike).

Ustasze otoczyli wsie nad ranem, zabijając ok. 2,3 tys. Serbów, w tym kobiety, dzieci i starców, przy użyciu toporów, pałek i innych narzędzi. W jednej ze stodół spalono żywcem ok. 70 osób, w tym dzieci. Masakrę przeprowadzono bez użycia broni palnej, aby nie zaalarmować mieszkańców okolicznych wsi.

Filipović dowodził oddziałem ustaszy. Podczas masakry w Banja Luce, ubrany w habit franciszkański, dawał przykład żołnierzom, zabijając pierwsze ofiary. Osobiście zabił 57 osób siekierą – jak opisywali świadkowie, „był cały pokryty krwią, po czym podał siekierę innemu żołnierzowi". Ten franciszkanin usprawiedliwiał zabijanie dzieci, twierdząc, że „lepiej je zabić teraz, niż pozwolić im wyrosnąć na przestępców".

Morderstwo na cywilach zaplanowano podczas spotkania ustaszy w klasztorze Petrićevac na początku lutego 1942 r. Uczestniczyli w nim

eprasa.pl 279906a1ed

Filipović, Viktor Gutić (dowódca ustaszy w Banja Luce) i kilku innych prominentnych działaczy.

Masakrę przeżyło zaledwie kilku Serbów. Według ich świadectw ksiądz kazał przyprowadzać do siebie małe serbskie dzieci, aby mógł je zabić tradycyjną bronią ustaszy: nożem i strzelbą. Z ojcem Zvonimirem Brekalo mordowali je, podcinając im gardła. W Šargovacu w szkole zamordowano pięćdziesięcioro dwoje dzieci. Przeżyły dwie nauczycielki: Dobrila Martinović, która później przeszła załamanie nerwowe, oraz Mara Šunjić.

Ta ostatnia wspomina, że kiedy Filipović przybył do szkoły, nie przeczuwała nic złego. Przecież to mnich, który mieszkał w pobliskim klasztorze Prebićevac. Znała go, zachowywał się przyjaźnie. Dzieci patrzyły z zaciekawieniem na zakonnika, który wraz z kilkoma mężczyznami wszedł do klasy. Do czasu, aż Filipović zadźgał nożem Vasiliję Glamočanin na oczach innych uczniów. To był pokaz, co mają zrobić ustasze z dziećmi. Powiedział, że weźmie ten grzech na siebie.

Postać tego duchownego jest ściśle związana z miejscem kaźni Żydów, Romów i Serbów. To miejsce to Jasenovac. Był trzecim co do wielkości obozem koncentracyjnym w Europie podczas II wojny światowej (po Auschwitz i Treblince). Przez wiele lat jego historia była słabo znana w krajach zachodnich z powodu blokady informacyjnej i politycznych manipulacji.



Kard. Alojzije Stepinac (z prawej) i katoliccy księża na pogrzebie szefa chorwackiego parlamentu Marka Došena. Wrzesień 1944 r.

Filipović dowodził oddziałem ustaszy. Ubrany w habit franciszkański, dawał przykład żołnierzom, zabijając pierwsze ofiary.

Obóz Jasenovac został założony w 1941 r. przez reżim ustaszy. W skład kompleksu wchodziło kilka podobozów i miejsc zagłady: Jasenovac I – administracja i nadzór, Jasenovac II – miejsce pracy przymusowej, Jasenovac III – obóz egzekucyjny, Jasenovac IV – miejsce tortur, Stara Gradiska – obóz dla kobiet i dzieci.

Filipović został mianowany komendantem Obozu nr III w Jasenovacu pod koniec 1942 r. Jako dowódca administracji zawiadywał obozem na co dzień. Określał, jak mają wyglądać egzekucje i represje. Na zmianę nosił habit zakonny i mundur ustaszy. Nie tylko wydawał rozkazy egzekucji, ale osobiście uczestniczył w zabijaniu więźniów. Mordował na wiele sposobów: strzelał do swoich ofiar z bliskiej odległości, zabijał więźniów przy użyciu maczugi lub noża.

W dokumencie o zbrodniach popełnionych z Jasenovacu, opublikowanym w Zagrzebiu w 1946 r., zeznania świadków oraz raporty dotyczące zbrodni wojennych popełnionych w Jasenovacu ukazały rolę, jaką „nasz bohater" odegrał w tych zbrodniach. Oto niektóre z nich: „Wielokrotnie widziałem, jak Majstorović (Filipović) podczas tzw. publicznych występów osobiście strzelał do więźniów. Trzymał krótką gumową rurkę nad ranami swoich ofiar, mówiąc: »Chcę się upić komunistyczną (lub żydowską) krwią«".

„Widziałem, jak Filipowić i Stojčić zabawiali się, każąc Cyganowi zabić drugiego Cygana młotem, potem trzeci Cygan musiał zabić pierwszego, a na końcu Filipović zabijał ostatniego".

Organizował „zawody" w mordowaniu więźniów. Podczas tzw. nocy noży ustasze rywalizowali, kto zabije więcej ludzi. Najlepsi mordowali ponad tysiąc bezbronnych więźniów. Filipović potrafił zamordować stu więźniów, podcinając im gardła. Ale to nie wszystko. Są relacje, które mówią o tym, że strzelał do dzieci dla zabawy, zabijając je dla rozrywki. Wrzucał do masowych grobów zmasakrowanych, ale jeszcze żywych więźniów albo zmuszał ich do zabijania swoich bliskich, zanim sam ich zamordował.

Świadkowie zeznawali, że zabijał ludzi z uśmiechem i „sprawiało mu to przyjemność". W trakcie „nocy noży", o której mowa, strażnicy używali „srbosjeka". Jest to nóż, który stał się symbolem ludobójstwa dokonanego przez ustaszy w Niepodległym Państwie Chorwackim w czasie II wojny światowej. Połączony był z rękawicą, którą zakładało się na dłoń. Samo

FOT. REUTERS/FORUM, DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 279906a1ed

ostrze przypominające narzędzie rzeźnicze, wygięte w półksiężyc, pozwalało na szybkie i pewne podcinanie gardła ofiarom. Po masakrze ten gorliwy kapłan odprawił w obozie „mszę dziękczynną", wychwalając „oczyszczenie ziemi chorwackiej".

Według żydowskiej więźniarki Ety Najfeld Filipović był „ucieleśnieniem zła". Pewnego razu zgromadził w piwnicy serbskie kobiety i dzieci, po czym kazał otworzyć śluzę i pomieszczenie zalała woda z rzeki Sawy, topiąc wszystkich uwięzionych. Egon Berger, jeden z nielicznych ocalałych z Jasenovaca, w swoich pamiętnikach zawierających relację z 44 miesięcy pobytu w Jasenovacu opisał przedstawioną już wyżej scenę, kiedy Filipović, wystrojony w elegancki cywilny strój, z twarzą pokrytą pudrem i szminką, podszedł do grupy więzionych matek z dziećmi. Uśmiechając się, oznajmił, że ich dzieci zostaną ochrzczone, po czym wziął jedno z niemowląt na ręce – dziecko instynktownie dotknęło umalowanej twarzy oprawcy. Matki zorientowały się w zamiarach kata i błagały, by darował dzieciom życie, oferując siebie w zamian. Wówczas dwóch ustaszy odebrało troje małych dzieci matkom: „Dwoje dzieci postawili na ziemi, a trzecie zostało rzucone w górę jak piłka", pisze Berger. Filipović stał z bagnetem w ręku – pierwsze trzy razy chybił, ale za czwartym razem, śmiejąc się i żartując, nadział spadające dziecko na ostrze. Po zamordowaniu trojga dzieci oprawcy w obozie… wymienili się pieniędzmi, gdyż założyli się wcześniej, kto pierwszy trafi bagnetem w spadające dziecko .

W 1946 r. Filipovicia skazano na karę śmierci przez powieszenie, wyrok wykonano 29 czerwca. Zawisł ubrany w franciszkański habit z krzyżem, choć oficjalnie nie należał już do stanu duchownego. Na początku 1942 r. przełożeni zakonni franciszkanów, którzy dowiedzieli się o zbrodniach popełnianych przez niektórych duchownych, wydalili największych okrutników, w tym Filipovicia, z zakonu. W kwietniu 1942 r. specjalny wysłannik papieski w Zagrzebiu ojciec Giuseppe Marcone nakazał zawiesić go w funkcjach kapłańskich. Z zakonu usunięto go 22 października 1942 r.

Ale w tej rzezi brały udział również kobiety. Tym razem chodzi o rzeź niewiniątek.

Do czego zdolne są kobiety? Do miłości, opieki, czułości. Do troski o życie. Ale też – do ciszy, która zabija. Do modlitwy nad trupem, którego wcześniej się nie nakarmiło. Do rytuału, który miał zbawić, a stawał się pieczęcią śmierci.

Jastrebarsko, lato 1942 r. – mała miejscowość w Chorwacji, która w księdze zbrodni ustaszy pozostaje ledwie przypisem. Ale dla tysięcy serbskich dzieci była końcem świata. Dzieci przywieziono tutaj pociągami – z Baniji, Kordunu, Slavonii. Przeżyły pacyfikacje, łapanki, pożary wsi. Trafiły do dawnego majątku szlacheckiego zamienionego w dziecięcy obóz koncentracyjny. Nie było tu drutu kolczastego pod prądem. Nie było esesmanów. Były tylko głodne dzieci, cuchnące sienniki i zakonnice w białych welonach, które przyszły, by – jak mówiły – „nieść miłosierdzie".

Siostry miłosierdzia. Kobiety, które znała cała Chorwacja. Zakładały szkoły, sierocińce, szpitale. A w Jastrebarsku zapisywały zgony. Dbały o porządek w umieraniu. Zamiast opatrunku – modlitwa. Zamiast wody – znak krzyża. Zamiast chleba – chrzest.

„To była ich misja", pisał Viktor Novak, autor „Magnum crimen", który pierwszy zebrał świadectwa o obozach dzieci. Nie opisał sióstr jako sadystek. Przedstawił je tak, jak je widziano: łagodne, posłuszne, posłane przez Kościół. Ich rolą nie była pomoc – ich zadaniem było „duchowe ocalenie dusz prawosławnych dzieci", zanim umrą z głodu i choroby. Tak uczyła je formacja, tak głosiła kazalnica, tak akceptował Kaptol, czyli hierarchia kościelna w Zagrzebiu. A nad wszystkim czuwał milczący kard. Alojzije Stepinac.

Siostry nie zabijały. Ale i nie ratowały. Odmawiały picia dzieciom z gorączką. Nie reagowały na wrzody, świerzb, krztusiec. Biły – dla karności. I chrzciły – dla zbawienia. Dzieci umierały po kilkanaścioro dziennie. W rejestrach zapisywano tylko numer, płeć i datę śmierci. Żadnych nazwisk. Żadnych wspomnień. Tylko jeden sakrament na koniec: „W imię Ojca i Syna…".

Niektóre z ocalałych dzieci zeznawały po wojnie: „Siostra dała mi kromkę chleba, ale dopiero jak się zgodziłem na chrzest". Inne mówiły: „Nie wiem, jak się nazywałem, tylko że drżałem z zimna i że siostra zrobiła znak krzyża, zanim zasnąłem".

Nie było tu komór gazowych. Był chłód, smród, głód i zapomnienie. Nie było karabinów. Były modlitewniki i biała pościel, w którą owijano martwe dzieci. Grzebano je we wspólnych dołach, bez imion, bez trumien. Uratowane? Nie. Ochrzczone? Tak. Bo dla Kościoła, który w czasach ustaszy pobłogosławił krwawą „kroatyzację", nie liczyło się ciało. Liczyła się dusza – przemieniona w katolicką. Choćby na minutę przed śmiercią.

Zakonnice po wojnie wróciły do klasztorów. Dalej uczyły religii. Nikt nie zapytał ich o dzieci z Jastrebarska. Nikt nie zapytał, dlaczego ich modlitwa była głośniejsza niż głód. Dlaczego ręka, która chrzciła, nie podała chleba.

Można zbawić duszę, zabijając ciało – pisał Viktor Novak. Można, jeśli wierzy się w instytucję, która bardziej kocha dogmat niż dziecko. Jastrebarsko było jednym z wielu takich miejsc w ustaszowskiej Chorwacji. Obóz bez karabinów. Śmierć bez wyroku. Zbawienie – bez życia. To także była wojna. Tyle że w habicie.

Po masakrze gorliwy kapłan odprawił w obozie „mszę dziękczynną", wychwalając „oczyszczenie ziemi chorwackiej".



Fragmenty książki Artura Nowaka i Arkadiusza Stempina *Imperium grzechu. Kronika zbrodni Kościoła*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2025

eprasa.pl 279906a1ed



Kolejny powrót Stacha z Warty

Muzeum w Gdyni przypomniało Stanisława Szukalskiego, który mówił, że nie jest artystą Byle Jakim Takim

Wystawa prac Stanisława Szukalskiego i Szczepu Rogate Serce w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie. Artysta na tle głowicy Pomnika Baczności dla Katowic, 1 września 1936 r.

Leszek Konarski

„Ja, Polak, nie katolik i nie komunista, co ja będę robił w Polsce?", pisał Stanisław Szukalski, ps. Stach z Warty, jeden z najwybitniejszych i zarazem najbardziej niezrozumiałych i zapomnianych polskich rzeźbiarzy, którego nie da się przypisać do żadnego kierunku w sztuce. Szukalski zmarł 19 maja 1987 r. w Kalifornii. Od przyjazdu w 1940 r. do Stanów Zjednoczonych prawie 30 razy zmieniał adresy, poszukując w okolicach Los Angeles najtańszych mieszkań. Często z powodu podwyżki czynszu o 50 dol. musiał prosić sąsiadów o pomoc w przeprowadzce, bo wynajęcie firmy transportowej przekraczało jego możliwości. Nie miał warunków do rzeźbienia, pieniędzy na gips i narzędzia rzeźbiarskie, nie mówiąc o robieniu odlewów w brązie. Od 1960 r. żył z niewielkiego zasiłku dla biednych, przyznanego mu przez miejscowe władze. Ale nie narzekał i mówił, że do głodowania jest przyzwyczajony, bo gdy w 1914 r. jego ojciec Dyonizy został śmiertelnie potrącony przez samochód w Chicago, policja kilkakrotnie znajdywała go na ulicy omdlałego z głodu.



„Autoportret", 1925 r.

Stach z Warty przewidywał, że umrze sam ze sobą, zapomniany przez Stany Zjednoczone i Polskę, bo taką cenę płacą artyści samorodni, niepodlegli, odważni, nieulegający modnym kierunkom, niebojący się płacić wielkiej ceny za mówienie co myślą, niezdolni do cierpienia w cichości. Nikt nie lubi ludzi genialnych, oni tylko mieszają innym w poglądach, tych utartych i dla nich wygodnych.

Dlaczego po wojnie Szukalski nie wrócił do kraju, choć cały czas żył historią Polski, słowiańskimi legendami i marzył o wielkości swojej ojczyzny?

Zachwyty w Ameryce

Dla Stanisława Szukalskiego, urodzonego 13 grudnia 1893 r. w Warcie koło Sieradza, największym autorytetem był jego ojciec Dyonizy, kowal, socjalista, heretyk i obieżyświat pracujący najpierw przez kilka lat w Brazylii, potem w Afryce Południowej walczący z Anglikami po stronie Burów. Od 1903 r. kowal w Chicago, dokąd ściągnął całą rodzinę. Stach podziwiał go za odwagę w czynach i słowach, uczciwość i prawdomówność. Będąc świadom artystycznych zdolności syna, Dyonizy zapisał go na sobotnie zajęcia w Art Institute of Chicago, gdzie 13-letni Stach zachwycił nauczycieli umiejętnościami. Cztery gazety napisały o jego talencie, a jedna dała tytuł: „Geniusz, syn polskiego kowala". Wtedy to ojciec wysłał 15-latka z 200 dol. w kieszeni na studia do krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Ale Stach nie dotrwał do dyplomu, zbuntował się przeciwko profesorom, którzy kazali mu rzeźbić z pozujących modeli, i po trzech latach wrócił do USA.

Po tragicznej śmierci ojca w 1914 r. Stach cierpiał biedę. Wszystko zmieniło się, gdy poznał pierwszą żonę, malarkę Helen Walker, która pomogła mu finansowo w rozwoju talentu rzeźbiarskiego.

eprasa.pl 279906a1ed



Otwarcie Muzeum Stanisława Szukalskiego w Gdyni, 21 września 2025 r.

W 1923 r. w Chicago ukazała się pierwsza monografia jego twórczości „The Work of Szukalski", potem kolejne albumy i wydawnictwa. Polski artysta stał się sławny w świecie, dostawał zamówienia na rzeźby, rysunki i portrety, był nagradzany na międzynarodowych wystawach. Amerykański „Vanity Fair" pisał, że Szukalski w rzeźbiarstwie jest tym, czym Dante i Edgar Allan Poe w literaturze. „The New York Tribune" donosił, że jest najniezwyklejszym geniuszem na miarę Rodina. Ben Hecht, amerykański pisarz, krytyk i scenarzysta żydowskiego pochodzenia, napisał w swojej książce, że Szukalski był największym geniuszem wszech czasów, jaki kiedykolwiek umierał z głodu w Ameryce, i porównywał go do Leonarda da Vinci. Nic nie sprzedawał, bo uważał swoje prace za własność narodu polskiego.

Zachwyty w Polsce

Stanisław Szukalski, dumny z faktu, że jest Polakiem, w 1923 r. wraz z żoną Helen i całym artystycznym dorobkiem przyjechał do Polski i kupił piękną willę w Kazimierzu Dolnym, na leśnej polanie na tzw. Albrechtówce. Udał się też do Juliana Fałata, wówczas dyrektora Departamentu Sztuki w tworzącym się Ministerstwie Kultury, z zamiarem przekazania wszystkich przywiezionych rzeźb w darze polskiemu państwu. Po kilku miesiącach otrzymał wiadomość, że ministerstwo nie może przyjąć kolekcji, bo nie jest wykonana w szlachetnych materiałach, brązie czy marmurze. Szukalski odpisał Fałatowi, że w takim razie musi powrócić do Stanów, wzbogacić się, odlać rzeźby w platynie i wtedy zastanowi się, komu je podarować.

Przywiezione do kraju gipsy w listopadzie i grudniu 1923 r. wzbudziły zachwyty publiczności na wystawie w warszawskiej Zachęcie. Krytycy sztuki nie podzielali jednak tego entuzjazmu, zarzucali artyście naśladowanie Rodina i zbytnie wpływy kultury azteckiej i meksykańskiej. Szukalski na pięć lat opuścił Polskę, podróżował po Europie, a najdłużej mieszkał pod Paryżem, gdzie w 1925 r. święcił sukcesy na Międzynarodowej Wystawie Nowoczesnej Sztuki Dekoracyjnej. Nagrodzono go tam za rzeźby w brązie i w kamieniu oraz za projekty architektoniczne. Te sukcesy prasa krajowa potraktowała bardzo chłodno.

W 1928 r. Szukalski przyjechał do kraju. 12 maja 1929 r. na wernisażu wystawy swoich prac w krakowskim Pałacu Sztuki zaatakował środowisko artystyczne, krakowską ASP nazwał wylęgarnią miernot i ostoją bezwartościowej sztuki francuskiej. Dlatego – twierdził – należało akademię zamknąć, budynek sprzedać, a profesorów rozpędzić na cztery wiatry. Krakowska publiczność, podobnie jak wcześniej warszawska, też była zachwycona rzeźbami, wystawę codziennie odwiedzało po kilka tysięcy osób. Z kwiatami przybyła też grupa studentów pierwszego roku krakowskiej ASP wraz z moim ojcem Marianem Konarskim. Studenci postanowili poprzeć postulaty Stacha z Warty, za co zostali karnie usunięci z uczelni. To oni staną się wkrótce

Stanisław Szukalski nic nie sprzedawał, bo uważał swoje prace za własność narodu polskiego.

eprasa.pl 279906a1ed

założycielami Szczepu Rogate Serce. Szukalski postanowił ich uchronić przed patentowanymi profesorami, w których już dawno wygasł ogień w sercach, a umysły zwapniały. On sam siebie zrobił artystą – był artystą samorodnym.

Wkrótce Szukalski opuścił Polskę, bo wolał kierować Szczepem Rogate Serce ze Stanów Zjednoczonych, gdzie odnosił sukcesy, o czym świadczyły chociażby wystawy w Chicago i Nowym Jorku. W 1936 r. zaprosił artystę do Polski wojewoda katowicki Michał Grażyński, zaoferował mu pracownię w Katowicach i zamówienia na pomniki, stając się jego mecenasem. Po raz trzeci Szukalski przywiózł do kraju całą twórczość, licząc, że już na zawsze zostanie w ojczyźnie.

Radość z kolejnego pobytu w Polsce nie trwała długo. W pierwszych dniach września 1939 r. hitlerowska bomba lotnicza spadła na nieczynną podwarszawską cegielnię, gdzie artysta rzeźbił wysoki na trzy piętra pomnik Bolesława Chrobrego dla Katowic.

Dzięki amerykańskiemu paszportowi udało mu się wraz z żoną wyjechać z Polski z dwiema tylko walizkami. Cała jego twórczość została przez hitlerowców zniszczona lub rozkradziona przez Polaków.

Na amerykańskiej pustyni

Choć po wojnie każdy polski artysta uważał Stany Zjednoczone za kraj zapewniający artystom prawdziwą wolność, swobodę tworzenia i wyrażania myśli, Szukalski ostrzegał kolegów w kraju, że wcale tak nie jest. Ameryka to wielka prowincja, z kulturą jest gorzej niż na Syberii. Lepiej jest już w Polsce. W Stanach nie ma żadnej wolności dla twórców. Aby dobrze żyć, należy myśleć i mówić to samo, co w telewizji, powtarzać jak papuga cudze poglądy, popierać tylko wybrane osoby. Zniszczą każdego, kto ma inne zdanie, myśli po swojemu, samorodnie, tak jak on. Ameryka nie posiada sztuki narodowej, twórczość traktuje się handlowo, trzeba ją zmierzyć, przeliczyć na dolary. Każdy musi mieć coś do sprzedania. W Stanach,



„Portret ojca Dyonizego", 1914 r.



„Mikołaj Kopernik", 1913 r.

podobnie jak w Polsce, tępi się ludzi wybitnych, utalentowanych, a nagradza miernoty, bo bohomazy przynoszą duże zyski.

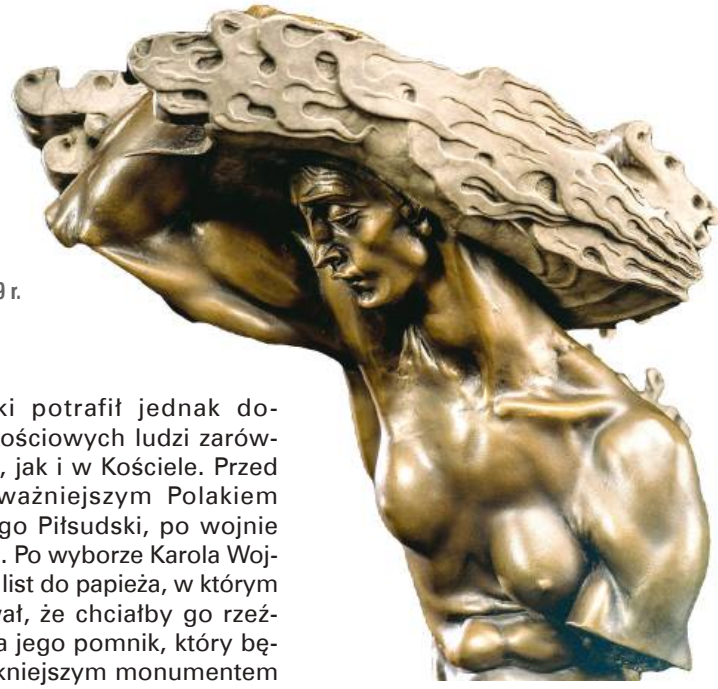
W listach do mojego ojca, pełniącego funkcję szczepowego Rogatego Serca, Szukalski opisał kilka wizyt w amerykańskich galeriach, w których chciał urządzić wystawy. Po zobaczeniu zdjęć jego rzeźb, właściciele obrzucali go wzgardliwym spojrzeniem i patrząc jak na wariata, mówili zawsze to samo: „Przecież nikt tego nie kupi". Jego twórczość odbierali jako coś dziwnego, niepojętego, niemożliwego do wycenienia i sprzedania. Czuł, że mieszka na kulturalnej pustyni, choć miał dwa kroki do Hollywoodu.

Dlaczego nie wrócił?

Po wojnie Szukalski żył wiadomościami z Polski. Niemal co miesiąc mój ojciec pisał do niego długie listy z informacjami, co się dzieje w kraju. Szukalski odpisywał, że choć jest zaślepiony naszością, jego powrót do Polski nie jest możliwy, bo władze postanowiły go unieważnić jako poganina, antysemitę, narodowca i faszystę. Został skazany na przemilczenie nie ze względu na twórczość, lecz za przedwojenne wypowiedzi, w których, jak mówił, wyciągał drani i nazywał ich po imieniu, tępił łajdaków, głupców, pętaków i idiotów. Czy wielbienie słowiańskiej mitologii to nacjonalizm? Czy mówienie, że większość przedwojennych krytyków sztuki gloryfikujących tylko modernistów to Żydzi, jest antysemityzmem? Pochodził z narodu, który przyzwyczaił się do życia w zakłamaniu i obojętności wobec popełnianych niegodziwości i dlatego musiał bić po twarzy nasze społeczeństwo za brak zdolności do samokrytyki, za prowincjonalizm i zacofanie, za nieszczęścia narodowe, za które najczęściej winni są sami Polacy.

Nie chciał wrócić do kraju, bo nie zauważył żadnej różnicy między galeriami w Stanach i w Polsce. Wszędzie ta sama marna sztuka. Artyści myślą tylko, jak być bardziej oryginalnymi, a krytycy sztuki tu i tam to takie same łotry i szubrawcy. Lansowana przez nich sztuka nie zasługuje na załatanie dziury w dachu. Nie wiedział też, co mógłby robić w kraju, w którym rządzą komuniści i religianci. Partia z Kościołem, jedni z drugimi podzielili społeczeństwo. Tym samym naród został ubezwładniony, stał się martwą kukłą, która nigdy nie piśnie i nie zajęczy na swoją niewolę i trwałą beznadziejność. Nie ma więc miejsca dla takiego człowieka jak on, który nie jest komunistą ani katolikiem.

eprasa.pl 279906a1ed



„Atlantea", 1919 r.

Szukalski potrafił jednak dostrzec wartościowych ludzi zarówno w PZPR, jak i w Kościele. Przed wojną najważniejszym Polakiem był dla niego Piłsudski, po wojnie Jan Paweł II. Po wyborze Karola Wojtyły napisał list do papieża, w którym zadeklarował, że chciałby go rzeźbić, wykona jego pomnik, który będzie najpiękniejszym monumentem naszej epoki. Podpisał się: „Stach z Warty Szukalski, rzeźbiarz, heretyk, patriota". Mimo kolejnych listów papież nie odpowiedział.

Spośród działaczy PZPR Szukalski doceniał tylko Edwarda Gierka, nie za działalność partyjną, lecz jako człowieka. Uważał go za osobę bardzo prawą, która pragnie zrobić coś pożytecznego w Polsce. Chciał go nawet rzeźbić, ale do tego nie doszło.

Stach z Warty bał się, że gdyby powrócił do kraju, to jego usta zostaną zakneblowane przez komunistów i religiantów, nie będzie mógł mówić swobodnie o wadach Polaków, a przecież wskazywanie ułomności społeczeństwa to obowiązek każdego artysty. Chciałby powiedzieć, że Polacy stali się martwym społeczeństwem, wykształconymi tchórzami, patentowanymi osłami, ludźmi wiecznie milczącymi. Do tego są zawistni, zazdrośni, nie dają nikomu słów pocieszenia, podzięki, przyznania racji, pochwały. Nie są zdolni nawet do sztucznego grymasu naśladującego uśmiech normalnego człowieka. Do tego potrafią zabić w innym człowieku każdą iskierkę twórczego ognia.

Tuż przed śmiercią Szukalski napisał do mojego ojca: „Ciężko mi borykać się bez własnego narodu, bez marzeń. Przez tyle ciężkich lat miałem nadzieję, że może kiedyś Polacy będą mnie chcieli. Ale już tego nie chcę. Więcej oni stracili i stracą niżeli ja bez nich. Już nie żyję, zostałem uśmiercony milczeniem".

Dlatego nie wyraził zgody na pochówek ani w Stanach, ani w Polsce. Poprosił o rozrzucenie prochów w pobliżu tajemniczych kamiennych posągów na ukochanej przez niego Wyspie Wielkanocnej, 3,5 tys. km od wybrzeży Chile, bo tam wrogowie go nie dosięgną. Opiekun Szukalskiego w ostatnich latach Glenn Bray, wraz z żoną Leną i czworgiem przyjaciół, spełnili prośbę artysty, zachowując część prochów na wypadek, gdyby kiedyś ojczyzna, do której tak tęsknił, chciała go przyjąć.

Krzysztof Ziemann przez trzy lata jeździł po Polsce i świecie, szukając pamiątek i dzieł artysty.

Muzeum w Gdyni

Choć do ludzi odpowiedzialnych za kulturę w Polsce nadal nie dociera, że mieliśmy wspaniałego rzeźbiarza, genialnego samouka, patrzącego Polakom prosto w oczy, pokazującego wady naszego społeczeństwa, 21 września 2025 r. przy ulicy Orłowskiej 53 w Gdyni zostało otwarte poświęcone mu muzeum. Wielki pawilon, dwa poziomy, wydawnictwo, kawiarnia. A wszystko dzięki gdyńskiemu biznesmenowi i kolekcjonerowi sztuki Krzysztofowi Ziemannowi, który zachwycił się twórczością Stacha z Warty. Ziemann przez trzy lata jeździł po Polsce i świecie, szukając pamiątek i dzieł polskiego artysty, wielokrotnie był w tej sprawie w Kalifornii. Doświadczeni muzealnicy powiedzieli, że trzeba być szaleńcem, takim samym jak Szukalski, aby w trzy lata stworzyć podobne muzeum. Instytucjom państwowym przygotowanie takiej placówki zajęłoby dziesięć lat.

Choć Szukalski nie miał żadnych związków z Gdynią, dla Krzysztofa Ziemanna jest to miasto symboliczne, bo tu trzy razy artysta przypływał z Ameryki. Do mojego ojca Szukalski pisał: „Trzy razy przeprowadzałem się przez ocean. Tak bardzo mnie do kraju ciągnęło, cały czas byłem przekonany, że zamieszkam w Polsce".

Pierwsza stała wystawa nowego muzeum ma tytuł „Samorodny / The Selfborn" i prezentuje niemal 60 rzeźb Szukalskiego, medale i monety jego projektu, archiwalne zdjęcia i listy, unikatowe publikacje, wyjątkową kolekcję narzędzi rzeźbiarskich, którymi się posługiwał, ponad 300 obrazów będących nie tylko pracami Szukalskiego, ale i członków Szczepu Rogate Serce.

Wielki polski artysta wyprzedzający swój czas, skazany na niebyt za swoje wypowiedzi, odrzucony przez własny naród, wizjoner, ekscentryczny geniusz, znowu zacumował przy gdyńskim nadbrzeżu. Czy zostanie już na zawsze?

Leszek Konarski

Więcej na temat Stanisława Szukalskiego można przeczytać w publikowanych na naszych łamach tekstach „Szukalski – koniec nieważności" (nr 12/2019) i „Powrót Stacha z Warty" (nr 44/2020), dostępnych w archiwum „Przeglądu": tygodnikprzeglad.pl/archiwum.

FOT. LESZEK KONARSKI (3), NAC, MATERIAŁY PRASOWE (2)

eprasa.pl 279906a1ed

KRAB I DIAPAZON EMOCJI

To był syndrom Janka Nowickiego. Jak miał kobietę, musiał lecieć po następną. Albo po coś innego. Kierowała nim żądza zdobywania

Aleksandra Szarłat

1980 r. jest dla Jana niezwykle pracowity. Czeka go wiele artystycznych spotkań. Gra u Márty Mészáros w „Sukcesji" obok Isabelle Huppert i Lili Monori; w filmie „W biały dzień" Edwarda Żebrowskiego wciela się w postać adwokata; występuje w odcinku serialu „Z biegiem lat, z biegiem dni" Andrzeja Wajdy i Edwarda Kłosińskiego; występuje w epizodzie w enerdowskim serialu o II wojnie światowej „Archiv des Todes"; a także w pierwszoplanowej roli w filmie „Krab i Joanna" w reżyserii Zbigniewa Kuźmińskiego, opowiadającym o trudach życia rybaków dalekomorskich. Partnerką Nowickiego jest tam śliczna 24-letnia Liliana Głąbczyńska-Komorowska. Zaledwie dwa lata wcześniej ukończyła z wyróżnieniem PWST w Warszawie i szybko została dostrzeżona na aktorskim rynku. Dostała angaż do prestiżowego Teatru Dramatycznego w Warszawie, zagrała w kilku filmach. Najważniejsza okazała się rola Abigail w spektaklu Teatru TV „Czarownice z Salem" w reżyserii Hübnera – jej kreację uznano za najlepszy debiut aktorski roku.

To zaraz po tym spektaklu Liliana dostała telefon z produkcji „Kraba…". Zamarła z wrażenia, kiedy usłyszała, że ma grać partnerkę Nowickiego. On jako okrętowy inżynier wypływa w daleki rejs i tęskni za swoją dziewczyną, która cierpliwie czeka na niego na lądzie. Wspólnych scen mają niewiele, ale Liliana i tak czuje, że spoczywa na niej duża odpowiedzialność.

Nowicki urzekł ją od pierwszej chwili. Wpatrywała się w niego jak w obraz, speszona, onieśmielona.

– Bo on miał w sobie tyle czaru, że kompletnie mnie zauroczył. Był czarodziejem – wspomina aktorka po latach. – Czułam się przy nim, jakbym nie wiedziała nic. Był przecież nie tylko gwiazdą, lecz i profesorem w szkole teatralnej, dziekanem.



Jan Nowicki i Liliana Głąbczyńska-Komorowska w filmie „Krab i Joanna" w reżyserii Zbigniewa Kuźmińskiego (1980).

FOT. IN PLUS/EAST NEWS

eprasa.pl 279906a1ed

A ja, cóż, początkująca aktorka... Ujął mnie swoją otwartością. W przeciwieństwie do innych wielkich aktorów nie stwarzał barier oficjalności, ale zniżał się do poziomu drugiej osoby.

Od razu między nimi zaiskrzyło. Liliana jest świadoma swoich atutów – kobiecość i zmysłowość to wielki magnes. Mężczyźni wręcz się do niej kleją.

– Ale Janek był mężczyzną szczególnym – podkreśla. – Wyglądał jak młody bóg. Przechodziły mnie ciarki, jak na niego patrzyłam. Wiek nie miał znaczenia, był mężczyzną w kwiecie wieku, który miał świat u swoich stóp. Pięknym, charyzmatycznym, do szpiku kości pociągającym gościem, który jak coś chciał, to miał. Natychmiast. I nie można się było z tego wywinąć, bo on cię brał w swoje szpony.

Przed zdjęciami mają w Warszawie próbę czytaną. Reżyser chce, żeby się poznali. Liliana dotąd raz tylko miała okazję oglądać Nowickiego na scenie. W 1977 czy 1978 r. Maciej Karpiński zabrał ją na przedstawienie „Nastasji Filipownej", a ona patrzyła jak oczarowana, gdyż obaj z Radziwiłowiczem dokonywali cudów. Przeżyła szok, ponieważ takiego teatru w Polsce jeszcze nie było. Na widowni panowała tak głęboka cisza, że można było usłyszeć przelatującą muchę. Widzowie byli skupieni na tym, co się dzieje na scenie, czuli się, jakby oglądali jakieś misterium. Gra Janka wprawiła ją w zachwyt.

– Jak spotkałam tego pomnikowego Rogożyna i uświadomiłam sobie, że on jest ze mną, aż się szczypałam, żeby sprawdzić, czy to prawda, czy może mi się tylko śni. Myślałam w uniesieniu: „Boże, jestem z najlepszym aktorem, który pracował z Wajdą, Skolimowskim, Hasem...". Byłam tak podniecona, że mógł ze mną zrobić, co chciał. Jak plastelina, którą lepił. A on pokazywał swoje najlepsze cechy charakteru: jaki to jest kochany, jaki miły, jak kocha prostych ludzi... Opowiadał o kobiecie, sportsmence, z którą ma dziecko, i o Márcie Mészáros, z którą mają otwarty związek i oboje świetnie się w tym odnajdują. Że ona jest wyjątkowa, a on na jej plan filmowy może wejść prosto z pociągu, ponieważ w ogóle nie musi się uczyć tekstu. Márta daje mu jedynie wskazówki dotyczące emocji, a on może mówić po polsku. I od razu jest stawiany na piedestale, a Márta patrzy na niego z uwielbieniem, bo jest w nim totalnie zakochana. No, żyć, nie umierać.

Potem Nowicki zabiera Lilianę do Krakowa. „Pokażę ci mój świat", zapowiada. Bardzo jest go ciekawa.

Zapamiętała to spotkanie jako intensywne, gorące, rozgrzane. Pamięta jego oczy, wyraziste spojrzenie i to, że ją przedstawił Piotrowi Skrzyneckiemu w Piwnicy pod Baranami. Otaczało ich tam mnóstwo ludzi, których nie znała, więc czuła się trochę jak na karuzeli, tyle że ona siedziała, a wokół niej wirował świat. A krakusy gościnni, od razu stolik dla nich stawiają, od razu winko leją. W tym zaczarowanym świecie wszyscy Janka kochają, poklepują, cieszą się, bawią. On radosny, w pomysłach i grach słownych prześciga samego siebie.

Miał w sobie tyle czaru, że kompletnie mnie zauroczył – wspomina aktorka Liliana Głąbczyńska-Komorowska.

– Janek ogromnie lubił imponować kobietom, które chciał zdobyć. Bo to były elementy gry w zdobywanie. Jak jesteś zdobywcą, tak właśnie grasz. Więc on grał i patrzył, czy ja jestem jeszcze jego, czy już nie [śmiech]. Jest druga, trzecia nad ranem i nagle znajdujemy się w pokoju i nagle jesteśmy razem i nagle nikogo obok nas nie ma i nagle jestem ja z nim...

Ale rozczarowałam się. Totalnie. Dlatego, że on myślał tylko o sobie. I nagle balon pękł... [śmiech]. A mógłby to inaczej rozegrać, mógł być lepszym aktorem. Ale nie. Coś się skończyło. Dlaczego? Otworzyłam przed nim wszystkie drzwi, ponieważ byłam nim absolutnie zachwycona. Zachwycona jego aurą, talentem, jego wielkością, poczuciem humoru, męskością, jego sposobem bycia z kobietą. Tymczasem w momencie, kiedy trzeba było zagrać najlepiej, wyszedł kompletny fałsz. Cóż... Albo nie miałam szczęścia, albo to nie był jego najlepszy dzień... A potem było wielkie chrapanie [śmiech]. Ideał spospoliciał. W ciągu jednego dnia byłam na wyżynach i na łeb, na szyję z nich zleciałam.

Na początku w uniesieniu, oszalała z miłości, myślała: „Och, ten Kraków! Tak być w tym świecie...". A potem: „Jak ja z nim wytrzymam w łóżku, kiedy będą nas filmować... Będę musiała udawać".

– Okazało się, że on mi fizycznie nie odpowiada. Może nie wiedział, jak podejść do tak sensualnej kobiety. A mogliśmy otworzyć następny rozdział sztuki kochania, a nie pięć minut i koniec. Uwertura, ars amandi, kobieta tego oczekuje. Są chwile, kiedy czujesz, że życie nabiera pędu i stoisz przed niezwykłą szansą, którą trzeba wykorzystać. Myślałam, że z Jankiem mogę zdobyć szczyty, zrobić z nim niezwykłe rzeczy. Tak się nie stało, gdyż chęć działania musi wyjść z obu stron. A w tym przypadku było to jednostronne.

Zrozumiała, że on prowadził jedynie grę w zdobywcę. Zdobył i poszedł spać, bo grał tylko na siebie. Dzisiaj Liliana już rozpoznaje takich mężczyzn. Jeden z nich, gdy za długo przebywał z kobietą, dostawał wysypki i swędziało go całe ciało. Psychosomatyczna alergia na kobietę. A kiedy kobieta uciekała, on ją gonił. Przed chwilą ją rzucił, ale ona musiała być jego.

– To był syndrom Janka. On, jak miał kobietę, musiał lecieć po następną. Albo po coś innego. Kierowała nim diaboliczna żądza zdobywania. Każdego dnia musiało to być coś nowego. Raz to była rola, raz kobieta, a raz choćby sprzeczka, z której musiał wyjść zwycięsko, by pokazać, że to on jest górą, ma rację. Tak to czułam. Kochałam go, gdy mi pokazywał Kraków, swój świat, kim jest. Robił to genialnie, bo to była jego prawda. Ale to nie była nasza prawda, chociaż wchodziłam w ten

eprasa.pl 279906a1ed

przedstawiony świat, myśląc „Może jestem do niego włączona”. Okazało się, że nie!

Z perspektywy czasu Liliana docenia późniejszy stosunek Jana do niej – nie dezawuował tego, co między nimi zaszło; przeciwnie – szanował. Po zakończonych zdjęciach do „Kraba…”, a przed wyjazdem z ekipą filmowców do Afryki, wziął ją za rękę i zapowiedział: „Będę tam dla ciebie pisał dziennik”. Słowa dotrzymał. Po powrocie przyjechał do mieszkania jej rodziców i wręczył Lilianie wypełniony zapiskami zeszycik w kratkę.

– Jak tylko do nas wszedł, to rodzice: „Boże, Janku, kochany”, i on od razu był bardziej ich niż mój. Bo moi rodzice byli artystami – tancerzami i choreografami, a Nowicki kochał życie artystyczne. Poza tym bliżej mu było wiekiem do nich niż do mnie. I został przez nich od razu przyjęty do rodziny.

Dziennik Liliana ocenia jako piękny. Płakała, czytając go.

– To był kochany Janek, przepełniony poezją, na swój sposób romantyk. Pisał: „Budzę się rano, jest piękne słońce, wokół kwiaty...”. Opowiadał o ptakach. Przepięknie! I to wszystko dla mnie. Mówię: „Boże, no niesamowity jesteś…”, ale on już był gdzie indziej, już co innego robił. Ten dziennik jest kwintesencją naszej sytuacji. Niestety, zaginął przy przeprowadzce.

Potem widują się sporadycznie, np. na festiwalu w Międzyzdrojach: „O, Liliana, jak się masz?!”, wita ją z uroczym uśmiechem, na którego dnie czuje się niedomówienie: „Ej, Liliana, mamy coś ze sobą…”. A wokół zawsze kręcą się jakieś kobiety.

W przeciwieństwie do innych wielkich aktorów nie stwarzał barier oficjalności, ale zniżał się do poziomu drugiej osoby.

Komorowska, mimo młodego wieku i uczuciowego zaangażowania, poradziła sobie z sytuacją. Musiała zadbać o swoją karierę, a nie było wtedy w Polsce agentów, menedżerów, którzy mogliby jej pomoc. Już wiedziała, że Janek jest cudny, wspaniały, ale nastawiony wyłącznie na siebie. I w tym, co robi, jest uczciwy. Był kimś, kto stawia się do konkretnego zadania, wykonuje je i wychodzi. Zrozumiała, że złapała go na chwilę.

– Nie byłam z Krakowa, nie żyłam blisko niego. Bo przecież można się do kogoś przykleić. Wytłumaczyłam sobie, że to nie jest ten mężczyzna i to nie jest ten moment. Poza tym czułam, że między nami jest bardzo mało tego, z czego mogłabym coś utkać, przenieść na wspólne życie. To było jego życie, a ja się przez moment w nim pojawiłam.

Przez lata zapomniała o tym filmie. Nawet nie wie, czy „Krab i Joanna” miał premierę. Na ekrany wszedł w 1982 r., podczas stanu wojennego, kiedy ona już się przygotowywała do wyjazdu z kraju. Jeszcze zdążyła zagrać w przełomowym dla siebie filmie, który stworzył ją jako aktorkę – w „Austerii” w reżyserii Jerzego Kawalerowicza. A potem w Nowym Jorku poznała Mártę Mészáros i ma z nią długą, dobrą relację.

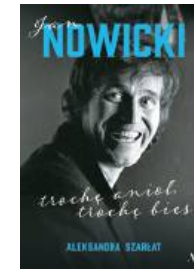
Spotkały się również w Budapeszcie, gdy Liliana grała w kanadyjskim thrillerze „Misja specjalna” (1997). Przy okazji widywała też Janka. Wciąż przyjaźni się z montażystką Márty, Aną Marią Santos, mieszkającą w Los Angeles.

Dzisiaj Liliana na swoją relację z Jankiem patrzy pod kątem własnego rozwoju artystycznego.

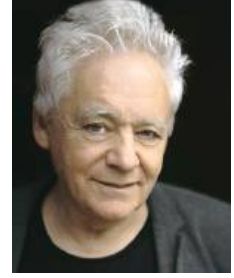
– To spotkanie odbieram jako ważne – ustawiło mnie w poznaniu siebie jako aktorki. Jeżeli masz wokół siebie mistrzów, próbujesz dorosnąć do ich poziomu. Tak było z Pieczką, Wilhelmim, tak było z Nowickim. Pracowałam z najlepszymi: Hübner, Zapasiewicz, Łapicki, Walczewski… Dążyłam do tego, by dorosnąć do ich poziomu, dlatego straszne to dla mnie, że w Ameryce, kierując się akcentem i moimi wysokimi kośćmi policzkowymi, włożono mnie do szuflady agentek wywiadu i buńczucznych kobiet. Ale się nie poddaję. Robię dużo ciekawych rzeczy, o których niebawem będzie głośno.



Fragmenty książki Aleksandry Szarłat *Jan Nowicki. Trochę Aniol, trochę bies*, Agora, Warszawa 2025



eprasa.pl 279906a1ed



Oko w oko Tomasz Jastrun

Ćwierkanie już było

Wykład dla licealistów w szkole LEW, bardzo dobrej, do której chodzi mój Franio. Biedak wpadł w panikę, że go skompromituję. Kombinował nawet, jak nie iść tego dnia na lekcje. Na szczęście okazało się, że spotkam się tylko z drugimi klasami, on chodzi do pierwszej.

Patrzę na tę młodzież – czują się bardzo swobodnie, mało dyscypliny, luz. Ten luz mi się nawet podoba. Uczą się bezstresowo. Tylko tu zawsze rodzi się pytanie, gdzie stawiać granice i jak je stawiać, a one muszą być. Sam nie wiem, na ile uważnie słuchają. Miałem wrażenie, że najpilniej słuchała mnie mała Filipinka i ciemnoskóra dziewczyna, podobno obie słabo rozumieją po polsku. A przecież od tego zależy, jak będę mówił, o wiele łatwiej mówić, gdy czuje się uwagę słuchaczy. Jeden z uczniów chciał filmować nasze spotkanie, ale połowa nie wyraża na to zgody, chronią swój wizerunek, druga połowa – bardzo chętnie. Szkolna psycholożka potem mi mówi: „Tak już z nimi jest, połowa czegoś nie chce, a połowa chce i dogadaj się z nimi".

Pytań do mnie uczniowie nie mają. Sam nie wiem, co myśleć o tym spotkaniu. Na szczęście uczeń, który zna syna, powiedział w metrze Franiowi: „Twój ojciec to git gościu". Franek odetchnął z ulgą, ja też. Rozmawiam potem z nauczycielką, uważa, że jest dramat w edukacji: ze względu na brak dobrych nauczycieli trwa selekcja negatywna. Mało kto studiuje teraz pedagogikę czy polonistykę. W tej szkole jest inaczej, bo prywatna i są dobre wynagrodzenia. Nauczycielka jest przekonana, że wszystkie kolejne rządy lekceważyły edukację. Swoje dodają rodzice, bardzo roszczeniowi.

•

Stany Zjednoczone obraziły się na Włodzimierza Czarzastego, bo nie chciał poprzeć wniosku o Pokojową Nagrodę Nobla dla Trumpa. Państwo Trumpa zrywa z marszałkiem stosunki dyplomatyczne. Zdumiewająca forma, w jakiej przekazał to ambasador USA, ale za Trumpa już nic nie dziwi. Kiedyś niepokoiła mnie biografia Czarzastego i chyba go nawet nie lubiłem. Teraz już dawno jest po amnestii. I zaczyna on mieć dorobek po stronie zdrowego rozsądku. Jest rzeczowy, twardy i ironiczny. Punkty dla lewicy, a to bardzo ważne dla koalicji, by lewica przekroczyła próg.

Irek Krzemiński, profesor socjologii bliski mi, a dawno niewidziany, zanotował: „W ogóle sam pomysł republikańskich trumpowców, aby rozesłać listy do parlamentów innych krajów z prośbą o poparcie kandydatury Trumpa do Nagrody Nobla – to zjawisko zgoła niezwykłe w historii demokratycznego Zachodu! No, ale Zachodu, jaki znamy, już nie ma, a na pewno jest zawieszony. Jak poprzeć Trumpa do pokojowej nagrody, gdy właśnie siłą porwał wenezuelskiego prezydenta, bez względu jak obrzydliwego typa, gdy armada wojenna zbliża się do Iranu, gdy negocjacje z Rosją idą beznadziejnie, a sympatia Trumpa jest po stronie Putina, a nie Zełenskiego... Reakcja ambasadora USA to coś dyplomatycznie skandalicznego! Ale też jest świadectwem stanu umysłu i serca ludzi prezydenta: oni są po prostu jego wyznawcami. Ratuj nas, Boże!!!". Tyle Irek.

A ja widzę, jak Nawrocki biega obok nóg Trumpa i merda ogonem, a Trump czasami łaskawie pogładzi go po łysawym łbie. Nawet duży ten pies. Z ambasadorem Thomasem Rose'em nasza skrajna prawica – czy jest inna? – ma zaś kłopot. Wielu jej wyznawców to antysemici, tymczasem Rose, wysłannik Trumpa, to ortodoksyjny żyd, czego nie ukrywa i często nosi na głowie kipę. I ten oto „żydek w mycce" ruga i poucza marszałka polskiego Sejmu i ostro gani rząd, jakbyśmy byli kolonią Stanów. Koniec świata! Jak sobie z tym poradzić? Nie ma z tym problemu Braun. Od kilku dni mam konto na platformie X, syn mnie na to namówił, tylko on mnie na razie obserwuje i rzecz jasna krytykuje, młodzi już nie uznają Facebooka, on dla starców. Wszedłem na konto Brauna. Jego groteskowy antysemityzm byłby śmieszny, gdyby nie to, że w swojej manii powiela paranoiczne myślenie Hitlera. I karmi piersią Walusia, mordercę. Tu już ze śmiechem nie ma żartów.

Każdy obłęd i każde kłamstwo są na równych prawach z rozsądkiem i prawdą. Groźne zjawisko.

Wracając do Twittera przemianowanego na X – wirówka słów i obrazów, bigos, groch z kapustą i rynsztok. Jak ktoś nie ma wiedzy, ogólnej orientacji i pionu moralnego, a to przypadek młodych, zabłądzi i utonie. To, że młodzi są teraz tak pogubieni w polityce i w sprawach społecznych, też jest winą internetu, są chorzy na nadmiar wycinkowych i chaotycznych informacji. Każda głupota, każdy obłęd i każde kłamstwo są na równych prawach z rozsądkiem i prawdą. Groźne zjawisko. Właściwie niemoralnie brać w tym udział. Ale to dla mnie mrowisko, a ja poluję na mrówki. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 279906a1ed

NA EKRANACH

Ostrożnie, pożądanie!

Ociekające erotyką, ostentacyjnie designerskie i pieczołowicie wystylizowane (m.in. na „Przeminęło z wiatrem" czy „Barbie") „Wichrowe Wzgórza" są ładne, seksowne i egzaltowane, tak że w pewnym momencie ma się ich dość. Imponuje odwaga reżyserki Emerald Fennell („Obiecująca. Młoda. Kobieta"), która z klasycznej powieści Emily Brontë wydobywa przede wszystkim dzikość, instynkty i pożądanie. Tak jakby ekranizowała nie jedną z najbardziej romantycznych powieści wszech czasów, tylko rzecz o obłędzie, do którego prowadzi opętanie drugim człowiekiem. Obsesja, którą mają na swoim punkcie Cathy (Margot Robbie) i Heathcliff (ucharakteryzowany na Cygana Jacob Elordi), prowadzi ich do łamania społecznych norm, bożych nakazów i własnych zasad, za co musi ich w końcu spotkać kara. Nacisk na pokazanie miłości jako choroby i skupienie na technikach manipulacji, której dopuszczają się bohaterowie, żeby na siebie wpłynąć, sprawiają, że ta wersja „Wichrowych Wzgórz" adresowana jest raczej do miłośników pop-psychologii. Dzieciakom lektury szkolnej nie zastąpi. *Artur Zaborski*



„Wichrowe Wzgórza" reż. Emerald Fennell, prod. USA, Wielka Brytania, już w kinach

KURTYNA W GÓRĘ



„Nowy wspaniały świat" według Aldousa Huxleya, reżyseria Anna Obszańska, Wrocławski Teatr Pantomimy im. Henryka Tomaszewskiego, premiera 26 września 2025

Fabryka ciał

Anna Obszańska wystawiła we Wrocławskim Teatrze Pantomimy „Nowy wspaniały świat" według powieści Aldousa Huxleya, wiernie podążając za najważniejszymi wątkami dzieła. Ponurą dystopię przełamała spora dawka czarnego humoru.

Z jednej strony, obietnica wiecznej młodości, postępująca robotyzacja i przełomy naukowe. Z drugiej, technologiczny terror, uniformizacja, a przed wszystkim obsesyjny kult młodości i nieustanna walka z niemożliwą do pokonania biologią. Oto główne motywy spektaklu, rozegrane w serii epizodów. Takich jak ten, w którym Anna Nabiałkowska próbuje „uszyć" sobie nową skórę. Siłą przedstawienia, prócz poczucia humoru (np. scena plemiennego buntu użytkowników siłowni przypominającej dantejską wizję piekła, a stanowiącej pierwszy etap obróbki umysłów i ciał) oraz wyrazistych kreacji aktorskich, jest warstwa wizualna. Mimo skromnej w gruncie rzeczy scenografii sugestywnie oddaje ona futurystyczną wizję. Duża w tym zasługa kostiumo-rekwizytów Mateusza Jagodzińskiego oraz reżyserii świateł, za którą odpowiada Jędrzej Jęcikowski. Nieco słabiej wypada dramaturgia. Chwilami spektakl traci tempo, pewne wątki (choćby subskrypcja ciał) powtarzają się, a całość wieńczą trzy finały. Ostatecznie jednak to całkiem zręczna teatralna satyra na technologiczny raj, mocno w duchu Huxleya. *Michał Centkowski*

Wykopaliska w parku Wiecha

Dobra wiadomość dla wielbicieli kabaretu Pożar w burdelu – jego twórcy, Michał Walczak i Max Łubieński, proponują udane wcielenie form wykorzystywanych wcześniej w swoich spektaklach, nadając im nowy impuls i lokalizację. Z wdziękiem i łatwością umiejscawiają wędrówkę po polskiej historii (bez ambicji edukacyjnych) w przylegającym do Teatru Rampa parku Wiecha, w którym domniemane wykopaliska ujawniają nieznaną podszewkę historii.

Ten żart sceniczny, prowadzący widza w świat ponętnych rusałek i dziwostworów, wikingów i tryskających swobodą obyczajową Słowian nadwiślańskich bawi celnymi aluzjami i brawurowym tempem. Ozdobą i rdzeniem spektaklu są lalki Konrada Czarkowskiego – przypominają niegdysiejszy Muppet Show, ale silnie umocowany w rodzimej historii. Autorzy poddają przy okazji badaniu rodzime traumy i upodobanie do cierpiętnictwa, odwieczne podziały i waśnie. Ogląda się to z rozbawieniem, ale i z co najmniej kroplą refleksji nad naszym nadwiślańskim losem, wciąż daremnym poszukiwaniem modelu życia, w którym ostre podziały społeczne i polityczne nie będą główną sprężyną historii. Aktorzy Rampy czują się świetnie w konwencji kabaretowej, znajdując łatwy kontakt z publicznością, zdumiewając umiejętnościami animatorów i wokalistów, a także zdolnością błyskawicznej metamorfozy. Niekoniecznie trzeba wierzyć, że Mieszko był wikingiem. Ale żart jest przedni. *Tomasz Miłkowski*



„Była sobie Polska", scenariusz Max Łubieński i Michał Walczak, reż. Michał Walczak, Teatr Rampa, premiera 10 stycznia 2026 r.

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. NATALIA KABANOW, MACIEJ LIPSKI, WARNER BROS

eprasa.pl 279906a1ed



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Ćwierćwiecze z okładem (z kapusty)

Mam dosyć komentowania kolejnych niepoczytalności zdurniałego starca, który włada imperium, dość wspomnieć pożywny wers Ewy Lipskiej, która już 15 lat temu wyrażała w wierszu pewność, że „Historia znowu kiedyś nie wyłączy żelazka".

Kiedy przyszłość rysuje się niewyraźna, a teraźniejszość przeraża, teoretycznie można znaleźć ukojenie w przeszłości, zwłaszcza tej prywatnej. Ale też trzeba się tego ukojenia naszukać. Mnie uporczywie śnią się moi zmarli, co mi w żadnym razie spokoju nie przynosi, raczej śródnocne przebudzenia z krzykiem, bo często śnią się wszyscy naraz i zawzięcie kłócą. A mam już wokół siebie więcej zmarłych niż żywych, to efekt tego, że byłem późnym dzieckiem, mojego peselu niestety także. Antoś będzie miał podobny problem, bośmy go powołali do życia po czterdziestce – zanim osiągnie wiek średni, będziemy już z jego mamą zalatywali chryzantemą.

Śnią mi się zmarli, choć we dnie o nich nie myślę; jakby się dopominali o pamięć, jakby mieli za złe, że im nie poświęcam uwagi, ale to może być po prostu echo życia, w którym wiecznie mieli komuś coś za złe, najczęściej mnie, dopóki byłem pod ręką. Kiedy chcę wspomnień realnych, bez fałszywej nostalgii, nie tych zatartych, zmitologizowanych, sięgam po swoje dzienniki i czytam w nich, jaką męką było życie moich rodziców, w jakim piekle rodzinnym się uchowałem. Wystarczy rzut oka na strony spisywane przeze mnie w latach młodzieńczych, kiedy jako student jeszcze gniazdowałem pod dachem rodzicielskim, abym się z tęsknoty za przeszłością wyleczył. Spisywanie raptularza ma sens po latach, kiedy można zaglądać do swoich notatników jak do albumu starych fotografii i dziwić się wszystkim łapanym podówczas, a dzisiaj już niepamiętanym chwilom lub szczegółom, które umknęły.

Mam też wspomnienia jasne, do nich sięgam chętniej: dokładnie ćwierć wieku temu po raz drugi zostałem ojcem, pierwszy raz asystowałem przy porodzie w dość dramatycznych okolicznościach. Cud narodzin i tych chwil okolicznych, późnociążowych i wczesnopołogowych, opisywany na bieżąco, dla siebie na stare lata (które wszak nadeszły), to jest skarb i początkom życia przyglądanie się baczne, choć jeszcze nieudaczne, niepewne, intuicyjne – wzruszam się tym.

Znajduję np. scenę szpitalną, gdy moja matka podczas odwiedzin wkłada pielęgniarce banknot do fartucha (ta, speszona, natychmiast go oddała). Lata spędzone w szpitalach nauczyły mamę, że łapówka zmniejsza poczucie bezradności. I przypomniałem sobie, jak w ostatnich tygodniach życia, już w Willi Seniora, nie do końca świadoma, że każdy miesiąc jej życia w prywatnym domu opieki jest suto opłacany, także domagała się banknotów, aby móc je rozdawać swoim opiekunkom.

Z pierwszych dni połogu mojej ówczesnej żony znajduję też jej mękę z nadmiarem pokarmu i przesiadywanie przy odciągarce elektrycznej, a z drugiej strony ulgę, jaką przynosiły jej okłady z kapusty zaproponowane przez moją mamę – tak to mądrość ludowa działała wespół z nowoczesną technologią. A potem następują kolejne miesiące cielęcych zachwytów nad rosnącym maleństwem, ale również rodzicielskich niepokojów i wysiłków życia na zmianę państwa młodych z dzieckiem studenckim na 5 m kw. pokoju w akademiku. Próbowałem wtedy utrzymywać rodzinę z pisania recenzji i opowiadań, więc szczegółowe opisy rodzajów płaczu dziecka (a Zosia bardzo późno nauczyła się czuwać bez płaczu, jakby ten świat wyjątkowo jej się nie podobał) przeplatają się z moimi zmaganiami literackimi. Wyczytuję np., że pierwszy tekst, jaki napisałem przy kołysce, był o „Egoistach" Mariusza Trelińskiego, filmie, który bardzo mi się nie podobał, za to nadzwyczaj spodobał mi się tytuł recenzji autorstwa Anity Piotrowskiej: „Zad architekta", ironicznie nawiązujący do znacznie bardziej udanego filmu Greenawaya.

Lada chwila będzie można się wybierać w krainę dziecięctwa wzorcowo odtworzoną przez sztuczną inteligencję.

Do dalszej przeszłości, tej, gdy jeszcze byłem niepiśmienny, sięgać mogę tylko poprzez zdjęcia, ale podczas niezliczonych przeprowadzek sporo ich poginęło. Z tym większą ciekawością przyglądam się netfliksowemu serialowi Macieja Pieprzycy „Ołowiane dzieci", bo to jakbym oglądał film o podwórkach swojego dzieciństwa i smrodosferze, w której dorastałem jako dziecię – co prawda trująca huta ołowiu była w Szopienicach, ale chorzowskie Azoty i dwie huty też sprawiały, żeśmy jako bajtle wdychali całą tablicę Mendelejewa. Widzę tu duże wsparcie AI i myślę sobie, że lada chwila będzie można się wybierać w krainę dziecięctwa wzorcowo odtworzoną przez sztuczną inteligencję – trzeba tylko będzie założyć gogle VR, rękawice sensoryczne i wybrać się w podróż w dowolną chwilę swojego przeszłego życia. ■

eprasa.pl 279906a1ed

MEDYCYNA KOSMICZNA

Kiedy Ziemia nie będzie już potrzebna

Emilio Cozzi

Wiele badań wychodzi z założenia stanowiącego istotę innowacji: znaleźć rozwiązania problemów, których celowo się szuka, by w przyszłości okazały się przydatne w rozwiązywaniu trudności występujących w bardziej sprzyjających warunkach lub w mniej wrogim środowisku. Brytyjczycy np. udoskonalili precyzję zegarów, ponieważ musieli mierzyć odległości pokonywane na pełnym morzu, gdzie jedynymi punktami odniesienia są Słońce i gwiazdy. Instrument ustawiony na czas Greenwich umożliwiłby porównanie wysokości Słońca i odpowiednie określenie długości geograficznej.

Jeśli ludzkie ciało to maszyna podatna na awarie, kosmos może nas nauczyć, jak budować jej części zamienne.

Wracając do naszego tematu – czy wyruszenie w kosmos nie jest jak żeglowanie po otwartym morzu? Gdy ląd jest daleko, trzeba rozwiązywać problemy, których nie uświadczy się w porcie.

Dotyczy to również, a może nawet w szczególności, innych ciał niebieskich. W sytuacji awaryjnej nie da się opuścić Księżyca czy Marsa i powrócić do domu po kilku godzinach lotu na ISS (Międzynarodowa Stacja Kosmiczna – przyp. red.). Podróż z Księżyca zajmuje kilka dni. Z Marsa – kilka miesięcy, a poza tym Ziemia musi być w korzystnej pozycji do powrotu, co występuje raz na 36 miesięcy. „Jeśli opuścisz Ziemię, nie będziesz mógł po prostu zawrócić: musisz pokonać całą drogę na Marsa i z powrotem, a to zajmuje co najmniej półtora roku. Pierwsze misje będą miały niewielką załogę, powiedzmy sześciu astronautów. W jej skład na pewno wejdzie lekarz, którego możemy nazwać MacGyverem chirurgii", pisze Tommaso Ghidini, szef wydziału inżynierii mechanicznej w ESA (Europejska Agencja Kosmiczna – przyp. red.).

Naprawianie ludzkiego ciała na orbicie

W lipcu 2019 r. na pokładzie wahadłowca towarowego firmy SpaceX przybyła na ISS drukarka 3D tkanek biologicznych BioFabrication Facility (BFF). Podobnie jak w przypadku organizacji białek, grawitacja wpływa również na reprodukcję komórek i wzrost tkanek, zwłaszcza jeśli chodzi o wytwarzanie narządów w laboratorium. Nieważkość staje się narzędziem do sztucznej replikacji warstw tkanek, np. z komórek macierzystych. BFF wykorzystuje białka pochodzące z dorosłych ludzkich tkanek i komórek (macierzystych lub pluripotencjalnych) jako biologiczny tusz do tworzenia żywych tkanek. We wczesnych próbach wytworzono już tkankę serca i elementy ludzkiej łąkotki. Inne drukarki 3D pracują nad produkcją sztucznych siatkówek, jak w projekcie LambdaVision, lub nad drukowaniem płatów skóry do zestawu ratunkowego w przypadku obrażeń, co opracowała DLR, Niemiecka Agencja Kosmiczna.

ESA od dawna bada, jak wdrożyć ten rodzaj medycyny. W 2019 r. agencja przewodząca konsorcjum utworzonemu przez OHB System AG, Blue Horizon i szpital Uniwersytetu Technicznego w Dreźnie zademonstrowała możliwość drukowania w 3D płatów skóry i fragmentu kości z komórek macierzystych do konkretnego zastosowania kosmicznego. Tommaso Ghidini tak pisze w „Homo cælestis":

„Komórki skóry zostały wyprodukowane przy użyciu fibroblastów i osocza, »składników«, które są łatwe do pozyskania u członków załogi. [...] Do produkcji kości użyto ludzkich komórek macierzystych, tej samej formuły opracowanej dla skóry, z dodatkiem, w tym przypadku, fosforanu wapnia jako materiału podporowego, który kość całkowicie wchłonie i odżywi się nim po wszczepieniu. [...] W ten sposób ludzka skóra i kości zostaną odtworzone bez konieczności pobierania ich z innych części ciała, tworząc niepotrzebne rany wtórne, trudne do wyleczenia w środowisku kosmicznym, a ponieważ pochodzą z komórek pacjenta, nie będzie ryzyka odrzucenia. [...] To pierwszy krok w naukowym przedsięwzięciu, którego ambitnym celem jest rozwijanie w przestrzeni kosmicznej i na innych planetach medycyny regeneracyjnej oraz drukowania ludzkich tkanek. Badania określają, jaki sprzęt będzie potrzebny na pokładzie, jak należy zorganizować sale operacyjne i sterylne środowiska, pomoc robotów i sztuczną inteligencję, ale także jakie będą kolejne ludzkie tkanki do odtworzenia, aż po stworzenie kompletnych narządów. Chcemy mieć na ISS taką drukarkę, aby tworzyć tkanki z komórek macierzystych naszych obecnych astronautów bezpośrednio w kosmosie, wystawić ich na znacznie dłuższe misje, obserwować skutki i opracowywać leki dostosowane do potrzeb danej osoby, która poleci na misję".

Z tej perspektywy, jeśli potraktujemy ludzkie ciało jako maszynę podatną na awarie lub uszkodzenia, przestrzeń kosmiczna może nas nauczyć, jak budować jej części zamienne, co

eprasa.pl 279906a1ed



Praca na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej.

będzie miało oczywisty wpływ na medycynę „naziemną". Ghidini argumentuje dalej:

„Mikroprocesory, kamery cyfrowe, materiały, struktury: aby to wszystko mogło działać w kosmosie, musi być wykonane z mniejszej liczby materiałów i w mniejszych rozmiarach, odporne na trudne warunki pozaziemskie i łatwe w transporcie, co wymaga optymalizacji i miniaturyzacji każdego elementu. Niezwykły krok naprzód w dziedzinie technologii, która, gdy zostanie on wykonany, stanie się dostępna dla całej ludzkości, zmniejszając koszty i zwiększając bezpieczeństwo coraz bardziej zaawansowanego oprzyrządowania. Również w tym przypadku spodziewamy się, że druk biologiczny i medycyna regeneracyjna, udoskonalone na potrzeby przebywania w przestrzeni kosmicznej, znajdą szerokie możliwości zastosowania na Ziemi. Stawka jest bardzo wysoka: możliwość przeszczepów bez konieczności szukania dawców, bez list oczekujących czy ryzyka odrzucenia, możliwość leczenia poważnych uszkodzeń bez tworzenia wtórnych ran oraz testowania nowych leków bezpośrednio na narządach, które mają zostać wyleczone, minimalizując testy na zwierzętach lub ludziach".

Na ISS znajduje się również drukarka do tworzyw sztucznych, prototyp, który ma mniej więcej tę samą funkcję: produkować części zamienne lub narzędzia, gdy są potrzebne, aby nie trzeba było ich wysyłać z Ziemi, czekając tygodniami lub miesiącami, lub specjalnie je sprowadzać, marnując miejsce i pieniądze.

Ziemski powrót

Osiągnięcia te są wynikiem badań, rezultatem wdrożenia nowych technologii i procedur obiecujących lepsze życie dla wszystkich, także na Ziemi, tym bardziej gdy weźmie się pod uwagę brak narządów do przeszczepu lub choroby, na które wciąż nie ma lekarstwa, takie jak zwyrodnienie barwnikowe siatkówki.

Biorąc pod uwagę konieczność transportu wszystkiego co niezbędne na inną planetę, rezultaty tych badań mogą być niezwykle interesujące i, jak się wydaje, możliwe do praktycznego wykorzystania przez medycynę kosmiczną. Jedną z jej perspektyw byłoby drukowanie np. płata skóry jako „plastra" na oparzenie lub uraz, gdy Ziemia jest odległa o miliony kilometrów. Medycyna kosmiczna znalazłaby też zastosowanie na Ziemi: zabiegi w krajach rozwijających się, w odizolowanych wioskach i szpitalach, w których brakuje odpowiednich urządzeń, materiałów i lekarzy, mogą wyglądać bardzo podobnie do zabiegów w środowisku pozaplanetarnym. Opracowanie i walidacja wiedzy, narzędzi i protokołów umożliwiających podróż na Marsa pomoże w rozwiązywaniu sytuacji kryzysowych na pustyni, w mieście dotkniętym ekstremalnym zjawiskiem pogodowym, katastrofą, pandemią (jak to pokazał w 2020 r. ICUTrain, projekt pociągu-szpitala wyposażonego w ambulatoria i oddziały intensywnej terapii, łączący technologię oraz umiejętności kosmiczne, kolejowe, protokoły cyberbezpieczeństwa i sztuczną inteligencję).

Nie tylko medycyna korzysta z badań prowadzonych na orbicie. Amerykański międzynarodowy gigant dóbr konsumpcyjnych Procter&Gamble przeprowadził na ISS eksperymenty polegające na monitorowaniu zachowania cząsteczek w niektórych produktach, co ma prowadzić do poprawienia ich jakości. P&G ma ponad 20% udziału w rynku, jego produkty – szampony, detergenty, pasty do zębów i pianki do golenia – znajdują się w domach niemal 5 mld ludzi.

Na liście eksperymentów publikowanej i stale aktualizowanej przez NASA widnieją firmy, start-upy, międzynarodowe korporacje i grupy farmaceutyczne, które finansują badania zmierzające do ulepszenia formuł, materiałów i wydajności. Od lat możliwość posiadania infrastruktury orbitalnej stworzonej i zbudowanej przez państwa wykorzystywana jest przez osoby prywatne do wprowadzania innowacji i ulepszania produktów oraz działalności, a nawet do wymyślania nowych rzeczy: przestrzeń kosmiczna jest multiplikatorem pomysłów i możliwości. To historia pełna rozdziałów już napisanych i gotowa do napisania nowych. Historia, która tak naprawdę dopiero się rozpoczęła.

Fragmenty książki Emilia Cozziego, *Władcy wszechświata. Wyścig o geopolityczny podbój kosmosu*, tłum. Tomasz Kwiecień, Szczeliny, Kraków 2025



FOT. NASA

eprasa.pl 279906a1ed



BESKID ŻYWIECKI oczami drapieżników

Wilcze rodziny są jak mafie – w grupie wszyscy się wspierają, ale między rodzinami toczy się walka na śmierć i życie

Rozmawia Tomasz Habdas

Spotkaliśmy się w Ciścu w Beskidzie Żywieckim. Nie będziemy jednak dyskutować o ludziach i turystach na szlaku, ale o mieszkańcach gór, których na co dzień trudno dostrzec. Mam na myśli dzikie i duże drapieżniki, szczególnie wilki, rysie oraz niedźwiedzie. Turyści obawiają się spotkań z tymi zwierzętami. Czy w Beskidzie Żywieckim można stanąć oko w oko z wilkiem.

– Oczywiście, że tak. Skoro dany osobnik występuje na omawianym obszarze, to taka możliwość istnieje. Są to jednak bardzo wyjątkowe spotkania. Moje tête-à-tête z wilkiem w ciągu roku mogę policzyć na palcach jednej ręki, chociaż poświęcam tym drapieżnikom czas każdego dnia. Dużo łatwiej zobaczyć ślady ich występowania na tym obszarze niż same zwierzęta.

To ile tych spotkań było w całej twojej wilczej karierze w samym Beskidzie Żywieckim?

– Przez 25 lat pracy poświęconej wilkom w Beskidzie Żywieckim tych spotkań mogło być ok. 10. Trzeba zaznaczyć, że badacz dużych drapieżników ma inną perspektywę niż reszta obserwatorów. Mnie nie zależy na podglądaniu i obserwowaniu zwierząt. Nie siedzę w kryjówce i nie czekam na spotkanie z wilkiem, choć to najprostsza metoda. Bardzo dużo się poruszam po wilczych szlakach, przez co wilk zazwyczaj wyczuwa mnie pierwszy i ucieka. Dlatego tych spotkań jest tak mało.

(...) Czy wiemy, ile mniej więcej żyje tu wilków?

– W Beskidzie Żywieckim dokładnie to policzyliśmy. Są tu trzy wilcze rodziny, ale przy założeniu, że nie wliczamy okolic Babiej Góry. Mówimy zatem o obszarze między Sołą, stanowiącą granicę z Beskidem Śląskim, a Pilskiem i jego najbliższym otoczeniem. Cały ten teren wraz z niewielkim fragmentem Beskidu po stronie słowackiej podzielony jest pomiędzy trzy wilcze rodziny.

Ile osobników liczy jedna rodzina?

– Szacuje się, ze w rodzinie jest średnio sześć wilków, niezależnie,



MICHAŁ FIGURA
– członek zarządu Stowarzyszenia dla Natury „Wilk", lider Wildlife Seminars, warsztatów poświęconych edukacji przyrodniczej. Zajmuje się monitoringiem wilków, rysi i niedźwiedzi. Autor artykułów naukowych i ekspertyz z zakresu teriologii i ornitologii.

FOT. SHUTTERSTOCK, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 279906a1ed

czy chodzi o Beskidy, czy o tereny nizinne. Ta liczba w ciągu roku się zmienia. Gdy młode dorastają, liczebność rodziny może być większa. Później część wilków opuszcza grupę lub z różnych powodów ginie. Śmiertelność młodych osobników tego gatunku jest bardzo duża. Szacuje się, że między listopadem a lutym liczebność wilczej rodziny może się zmniejszyć nawet o połowę.

Czyli możemy zakładać, że w zachodniej części Beskidu Żywieckiego żyje ok. 20 wilków podzielonych na trzy rodziny. Co dokładnie kryje się pod pojęciem „wilcza rodzina"?

– Bardzo często słyszymy o wilczych watahach. Dzięki kilkuletnim badaniom nad wilkami doszliśmy do wniosku, że sposób życia tych drapieżników w ogóle nie pasuje do definicji słowa „wataha". Wataha to zbiór niespokrewnionych ze sobą osobników. Tak żyją np. dziki, gdzie w jednej grupie może być wiele samic z młodymi. U wilków jest inaczej. One żyją bardzo podobnie do nas. Zakładają rodzinę i dlatego w wilczej grupie jedynymi niespokrewnionymi osobnikami są rodzice, czyli para rozmnażająca się. Pozostali członkowie to ich dzieci. W wilczej grupie jest tylko jedna rodząca samica, ponieważ w przeciwnym razie musiałoby dochodzić do chowu wsobnego, czyli kopulacji na linii ojciec-córka lub brat-siostra. Rozwój genetyki pozwolił nam na dokładne przebadanie tych relacji i zrozumienie zasad powstawania wilczej rodziny.

Ile średnio żyją dorosłe wilki?

– Wilki nie żyją długo, średnio sześć lat. Gdyby żyły w niewoli, jak psy, mogłyby dożyć kilkunastu lat. Miałyby wtedy opiekę weterynaryjną i stały dostęp do jedzenia, bez konieczności polowania. Najwięcej wilków ginie w okresie dyspersji, czyli odłączania się młodych osobników od stada. W miarę wędrówki poszukują partnera lub partnerki oraz terenu, gdzie będą mogły założyć własną rodzinę. Mają wtedy około dwóch lat, więc biorąc pod uwagę liczbę zgonów w tym okresie, średnia dla całej populacji wynosi około sześciu lat.

Jak często samica jest w stanie rodzić?

– Rozród następuje raz w roku. Ruja, czyli okres godowy, przypada na połowę lutego, natomiast szczenięta rodzą się na przełomie kwietnia i maja. Tu, w górach, zazwyczaj jest to pierwsza połowa maja.

Dopytuję o te liczby, ponieważ gdyby założyć, że co roku pojawia się czworo czy pięcioro nowych szczeniąt, które po dwóch latach ruszają dalej, by szukać swojej drugiej wilczej połówki i domu, to szybko zabrakłoby terenów, żeby je wszystkie pomieścić.

– Śmiertelność młodych wilków niweluje ten problem. Szacuje się, że ok. 70% wilków odłączających się od grupy ginie. Część z nich pada ofiarą innych wilków, gdy wkroczą na teren obcej rodziny. Znaczna część ginie w wypadkach drogowych oraz z rąk kłusowników. Są też różne choroby, które doprowadzają do ich śmierci. Czynników ryzyka jest bardzo dużo, więc okres dyspersji to jeden z trudniejszych momentów w życiu wilka.

Czy może się zdarzyć, że młody, dwuletni wilk nie opuści grupy i zostanie z rodzicami?

– Jest to możliwe. Najczęściej dochodzi do tego, gdy ginie jeden z rodziców. Wtedy jego potomek znajduje sobie partnera lub partnerkę i zostaje na terenie, na którym się urodził, wspólnie z pozostałym rodzicem. Innym ciekawym przykładem, który zaobserwowaliśmy tu w Beskidzie Żywieckim, był pewien wilk, który mając cztery lata, nadal mieszkał z rodziną. Wszystko przez wypadek, którego musiał doznać w młodszym wieku i w którym stracił połowę żuchwy. Nie był w stanie sam polować, więc nie mógł odłączyć się od grupy w okresie dyspersji i był zdany na swoją rodzinę. Pełnił w tej grupie funkcję opiekuna i gdy pojawiały się kolejne młode szczeniaki, to on się nimi zajmował i pomagał w ten sposób matce. Niestety, jakiś czas później wpadł pod samochód i zginął.

To zachowanie jest bardzo zbliżone do ludzkiego. I u nas zaobserwować można sytuacje, w których rodzice zajmują się dorosłymi dziećmi, gdy te są chore i nie mają możliwości samodzielnie funkcjonować.

– Jestem zawsze daleki od uczłowieczania zwierząt i staram się nigdy tego nie robić. Każdy kolejny rok badań nad wilkami pokazuje nam jednak, jak wiele wspólnego mają one z naszym gatunkiem.

Jak duży obszar może zajmować jedna wilcza rodzina?

– To są bardzo duże przestrzenie. W górach średnio 250 km kw. i na tym terenie żyje około sześciu wilków. Na nizinach jest to jeszcze większy obszar, aż 350 km kw. Znamy również rodziny, które dysponowały obszarem 600 km kw. Wymagania siedliskowe wśród wilków są zatem bardzo duże. Szczególnie gdy przyrównamy je do ludzkich. Warszawa wraz z obrzeżami zajmuje powierzchnię ok. 350 km kw. i żyją nas tam ponad 2 mln.

Jak bada się granice takiego obszaru?

– Najlepszym i najbardziej rzetelnym badaniem służącym do sprawdzania powierzchni jest telemetria, którą kojarzymy głównie z filmów przyrodniczych. Zakłada się wilkom specjalne obroże i śledzi ich wędrówki. Drugim sposobem są badania genetyczne. Pobieramy próbki z odchodów, moczu, sierści i na tej podstawie odtwarzamy obszar, po jakim poruszał się jeden wilczy osobnik, co pozwala oszacować granice jego terytorium.

W jaki sposób wilki zaznaczają swój teren? Jak dbają o to, żeby inne rodziny nie wkraczały na ich obszar?

– Wilki znakują obszar np. zapachem. Te znaki służą też ich rodzinom, tak aby wszyscy ich członkowie wiedzieli, jak daleko sięga dom. Oprócz granicy wilki znakują też ważniejsze punkty znajdujące się wewnątrz ich terenu: miejsce, gdzie rodzą się szczeniaki, gdzie leży ofiara, czyli jedzenie, lub gdzie się znajduje dostęp do wody. Obcy wilk od razu wyczuje, że znalazł się na terenie innej rodziny. Wilcze rodziny są trochę jak mafie. Wewnątrz grupy wszyscy się wspierają, pomagają sobie, dbają o siebie i rozpoznają się po zapachu. Między rodzinami natomiast toczy się walka na śmierć i życie. Jeżeli wilcza grupa napotka pojedynczego osobnika z obcej rodziny, zazwyczaj go zabija. Dlatego wilki respektują teren innej rodziny i niechętnie wkraczają na jej obszar. Teren znakują moczem,

eprasa.pl 279906a1ed

odchodami i drapaniem. Kto ma psa, wie, że czasami po oddaniu moczu lub wypróżnieniu się pies zaczyna drapać ziemię. On nie zakopuje swoich odchodów, tylko poprzez drapanie zostawia swój zapach na ziemi. Wszystkie wilki i psy mają między palcami gruczoły zapachowe, które zostawiają specyficzny zapach w terenie. Ludzie nie są w stanie go wyczuć, ponieważ nasz zmysł węchu w porównaniu z wilczym czy psim jest bardzo upośledzony. Możemy go jednak poczuć, wąchając łapy psa. Z wilkiem nie jest to już takie proste.

Wataha to zbiór niespokrewnionych osobników, tak żyją np. dziki. Wilki żyją podobnie do nas, zakładają rodzinę.

Słynny zapach popcornu. Tak samo pachną łapy wilka od spodu?

– Mają dokładnie ten sam zapach.

Kiedy mój pies był szczeniakiem, sikał jednym strumieniem na pierwszym lepszym trawniku zaraz po wyjściu z domu. Kiedy skończył siedem-osiem miesięcy, zmienił sposób oddawania moczu i teraz najpierw szuka odpowiedniego miejsca, obwąchuje je i sika w kilku punktach, znacząc swój teren.

– To nie są pierwsze lepsze miejsca, ale znalezione i wywęszone przez niego obszary, które chce oznaczyć. Zazwyczaj pokrywają się z tymi, które wcześniej zaznaczył inny pies. Psy, podobnie jak wilki, są terytorialne, jednak trochę inaczej podchodzą do tego tematu. Nas, ludzi, traktują jak swoją rodzinę, a z innym psami wchodzą w bardzo różne relacje. Czasami są agresywne, czasami przyjacielskie, a czasami zupełnie obojętne.

Wróćmy do naszej wilczej rodziny. Pojawiają się szczeniaki i co dalej?

– Wilki to ssaki, więc przez mniej więcej trzy tygodnie samica karmi młode mlekiem i jest przy nich cały czas. Przebywają wtedy w norze i jest to jedyny okres, kiedy przedstawiciele tego gatunku żyją pod powierzchnią ziemi. Nora służy im do rozrodu i jako schronienie w pierwszych kilku tygodniach życia młodych. W tym samym czasie ojciec poluje i przynosi jedzenie karmiącej matce. Gdy szczeniaki przestają pić mleko, musi zadbać o pokarm również dla nich. Zdarza się, że samica dołącza do polowań i pomaga samcowi. Szczeniaki mogą w tym czasie pozostać w norze same lub pod opieką starszej siostry z poprzedniego miotu. Wilki jedzą tylko mięso. W Polsce 90% wilczej diety stanowią dzikie zwierzęta kopytne: jelenie, sarny i dziki, czasami łoś, daniel, lub mniejsze ssaki, jak zając lub bóbr. Dla zabawy potrafią też polować na gryzonie. Wilki, podobnie jak psy, skubią czasami trawę, ale robią to tylko po to, aby oczyścić układ pokarmowy. Niestrawiona trawa w żołądku formuje niewielką kulkę, która przechodzi przez jelita i udrażnia układ pokarmowy.

W jaki sposób wilk transportuje jedzenie dla swojej rodziny? Upolowanej sarny czy jelenia nie zaciągnie przecież samodzielnie do nory.

– Przeniesienie samej tylko nogi jelenia przez kilka kilometrów w gęstym lesie byłoby za trudne. Wilki transportują więc pokarm w żołądku, mogą w nim zmieścić nawet 8 kg mięsa. Najadają się do pełności i wracają do nory. Szczeniaki liżą rodziców po pysku, co wywołuje odruch wymiotny. Dorosłe osobniki zwracają wstępnie przetworzony pokarm i karmią nim młode. Może się to nam wydawać dziwne, ale kiedy spojrzymy na ludzi, dostrzeżemy kilka podobieństw. My również karmimy niemowlęta różnego rodzaju papkami i rozdrobnionym jedzeniem. (…)

Co się dzieje, gdy ginie jeden z rodziców? Czy wilki mogą połączyć się w nowe pary?

– Tak, ale dopiero po śmierci partnera. Zdrowe, dorosłe osobniki, gdy już połączą się w parę, pozostają razem aż do śmierci. Jeżeli jeden z nich zginie wcześniej, to wręcz wskazane jest, aby szybko pojawił się obcy osobnik, który przejmie rolę zabitego wilka, zaadoptuje młode i w ten sposób zapobiegnie rozpadowi rodziny.

Jak w swojej pracy określacie wilcze rodziny? Nadajecie im przydomki? Numerujecie?

– Nazywamy rodziny, które dobrze znamy i które monitorujemy. Właśnie takie grupy wilków mamy tu w Beskidzie Żywieckim i obserwujemy je od lat 90. Najsłynniejsza wilcza rodzina w Beskidach, ale też chyba w całej Polsce, to grupa Halny, która żyje na obszarze od Prusowa przez Lipowską, Rysiankę i Romankę aż po Pilsko. To bardzo silna rodzina z dużym terytorium. Nazwa odnosi się zazwyczaj do danego terenu. Nie zmienia się, nawet jeśli dochodzi do wymiany pokoleniowej albo pojawia się nowa para. (…)

Zdradź nam, proszę, podstawowe zasady tropienia wilków. W jaki sposób obserwujesz ich działalność i jakie ich ślady można zaobserwować w Beskidzie Żywieckim?

– Najlepszym okresem do obserwacji jest śnieżna zima. Wystarczy wtedy odnaleźć trop na śniegu i podążać za nim. W pozostałym okresie możemy bazować na tropach odbitych w błocie, ale tu łatwiej o pomyłkę z tropami psa. (…)

Po czym jeszcze można rozpoznać, że na danym terenie przebywa wilk?

– Najlepszym śladem zostawianym nam przez wilki są odchody. To rewelacyjne źródło wielu ciekawych i ważnych informacji. Wielkością przypominają te pochodzące od psa, różnią się natomiast zawartością. Jest w nich zazwyczaj dużo kości i sierści zwierząt, które wilk zjadł. To najlepsza wskazówka, jak rozróżnić odchody wilka i psa. Psy żywione są karmą lub mięsem, więc w ich odchodach nie znajdziemy sierści. Odchody podobne do wilczych zostawia lis. Często żeruje na tym, co upolowały wilki, jego odchody są jednak znacznie mniejsze od wilczych. Bardzo często pomagam w identyfikacji odchodów i wręcz zachęcam do wysyłania do mnie zdjęć, jeżeli ktoś nie jest pewien tego, na co patrzy. (…)

Fragmenty książki Tomasza Habdasa *Górskie rozmowy. Ludzie, miejsca i historie z polskich gór*, Znak Koncept, Kraków 2026



eprasa.pl 279906a1ed

TEATR CAPITOL

NOWOŚĆ



autor Neil Simon

BOŻYSZCZE KOBIET

Reżyseria **Cezary Morawski** Przekład **Mira Michałowska**

Olga **Borys** Katarzyna **Maciąg** Michał **Milowicz**
Anna **Modrzejewska** Karolina **Piwosz** Karina **Rezner** Aneta **Zając**

GRAMY W CAŁEJ POLSCE • KUP BILET TEATR CAPITOL • **www.teatrcapitol.pl**

Patroni Medialni

Partnerzy Teatru

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 279906a1ed



BRAMA SYCYLII

Palermo dzień i noc pulsuje życiem i muzyką

Grzegorz Musiał

Dla większości podróżujących na południe Włoch wrotami do Sycylii stają się Messyna lub Katania. Dwa główne sycylijskie porty, którędy wiedzie o wiele krótsza i łatwiejsza droga na wyspę, szczególnie dla podróżujących samochodem. Ale dla mnie, niemającego żadnych terminów, nieśpieszącego się do żadnego hotelu, podróż na Sycylię wiedzie nie przez Messynę, ale drogą morską z Neapolu. (…)

Tą najpiękniejszą bramą do tajemniczej i nieziemsko pięknej wyspy, bramą uchylającą się leniwie, jak drzwi Sezamu przed Aladynem, by olśnić go kolejnymi odsłonami swego bogactwa, jest Palermo. Dawny fenicki port – po fenicku Panormos – dziś już prawie metropolia, bardzo przypominająca Neapol. Dzień i noc pulsuje życiem i muzyką, rozciągając się wzdłuż szafirowej zatoki Morza Tyrreńskiego, w zaklęśnięciu gór północnego wybrzeża zwanym Złotą Konchą (Conca d'Oro). Nad nią wybrzusza się podobny do Wezuwiusza ciemny garb skały Monte Pellegrino, pochylając się nad autostradą i białą nitką plaż, a wyżej, podobna jak w Neapolu, ukośnie opadająca ku morzu muszla miasta, z frontami gotyckich i barokowych kościołów, pałacami i muzeami kipiącymi od dzieł sztuki. Lecz jest tu coś, czego w Neapolu nie ma: to czerwone kopuły mauretańskich budowli i szare blanki zamków normańskich, ślady panowania Maurów i Normanów nad tą ziemią. To po nich Sycylijczycy odziedziczyli dumę, dzikość i urodę swej rasy.

Na tej cudownej ukwieconej wyspie, co krok rozgrywa się ponury dramat.

Górska rozpadlina dzieli stok miasta na pół, w jej dnie sączy się rzeczka podsychająca, jak zawsze na Sycylii. Ta nosi nazwę Oreto. Ale że w tym kraju nic nie jest jednoznaczne, w jej górnym biegu, na przekór suszy, rozkwitają wspaniałe sady cytrusowe: to jest miejsce narodzin słynnych mandarynek ciaculli.

Wczesnym wieczorem, gdy w Neapolu dzielnica portowa dopiero rozpala swe światła, budząc się do prawdziwego nocnego życia, nasz prom do Palermo, podobny do sennego białego węgorza, odbije wkrótce od nabrzeża, połknąwszy przedtem nieskończoną procesję rozturlanych walizek z ich właścicielami, dziećmi, samochodami. Dziś jest wigilia długiego weekendu majowego i na promie wszystkie kajuty zajęte. Ludzie rozkładają się na kanapach i na podłodze, w korytarzach i salonach. Przez całą noc pruć będziemy fale Morza Tyrreńskiego, morza pamięci, aż nad ranem, z morskiej fali, której kłębiąca się wzdłuż burty koronka pian przywodzi na myśl „Narodziny Wenus" Botticellego, wyłoni się Sycylia. Wpierw pojawi się szary

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 279906a1ed

kontur w oddali, nad którym krzyczą pierwsze mewy, który coraz bardziej jaśnieje i różowieje, w miarę jak poranek rozpala niebo, gasząc najpierw gwiazdy, a na końcu lampę latarni morskiej przy wejściu do zatoki.

Trudno nie myśleć, że te same fale, które tam w dole chełboczą przy burtach promu i osiadają chłodną bryzą na policzkach palących papierosy i zapatrzonych w dal podróżnych, tysiąc lat temu były prute ukośnymi dziobami szerokich i krępych handlowych statków Fenicjan oraz ich zwinnych i smukłych łodzi wojennych, niosących Europie pod szkarłatnymi żaglami jej przyszłość okrutną, do dziś skrupulatnie przeliczaną na węże cyfr w komputerach: cywilizację handlu i pieniądza. Lecz również podążały tędy statki greckich uchodźców, szukających nowej ojczyzny w kraju Eneasza i wiozących Rzymianom dar smaku i proporcji, architektury odpornej na trzęsienia ziemi i nieśmiertelny kanon piękna ludzkiego ciała. Rozpełzając się dalej, na północ, po Salerno, Rzym, niosą w następnych wiekach postęp szlachetnego rycerskiego stylu romańskiego i tego szalonego, tęskniącego za wysokościami Boga gotyku, rozkwitając w końcu przy ziemi kuszącymi, zatrutymi ogrodami renesansu…

Strzeżcie się Greków, kiedy przynoszą dary – ostrzegał Wergiliusz, lecz nie pamiętano jego słów, gdy greckie piękno rozlewało się stąd po kościołach i pałacach Włoch i wszędzie rozkwitała grecka nagość i greckie obyczaje. Kultura obsceniczna, a wręcz rozwiązła dla skromnych, uduchowionych uczniów Fra Angelico czy Giotta, do tego ten grecki orfizm, hermetyzm i pitagoreizm, rzucający wyzwanie Bogu… to skutki jeszcze donioślejsze niż nagość miała dla duchowości Europy.

Ale nie tylko Grecy… Tędy, szlakiem tych pian, nadciągały jeszcze inne flotylle przybyszów złaknionych bogactw Sycylii: Arabów w 831 r., Normanów w 1072 r., a za nimi Andegawenów, którzy twardą ręką przywrócili tej ziemi chrześcijaństwo. Ale nawet kultury łupieskie, niosące krew i pożogę, na tej słonecznej wyspie łagodniały, osiadały niby cenna patyna na złocie. Najeźdźcy oddawali wyspie swoją gwałtowność, żądzę krwi, a także urodę swoich ras. Do dziś geny cudzoziemców widoczne są w ciemnych mauretańskich twarzach Sycylijczyków, w ich kędzierzawych czuprynach, ale też w jaśniejszej karnacji i rudawych włosach zgrabnych i krzepkich potomków normańskiego rycerstwa.

W Palermo, małym Neapolu, którego Wezuwiuszem jest garbate Monte Pellegrino, spoglądające na Morze Tyrreńskie od tej strony, ciągną się wzdłuż zielonych wybrzeży „ogrody pełne zapachu cytryn i kwiatu pomarańczy", którym zachwycał się Jarosław Iwaszkiewicz. Tu piękno greckiej świątyni ściera się „z pięknem arabskiego sufitu i bizantyńskiej mozaiki". A zarazem, w leniwą urodę wyspy podobnej o poranku do budzącej się hurysy, wdziera się wraz z podmuchem pierwszego monsunu barbarzyński, gorący oddech Afryki. Z portu Trapani do Bizerty w Tunezji jest zaledwie 200 km.

Ale jeszcze wyraźniej tę bliskość niemogących się pożenić kultur czuje się wieczorem, na do niedawna najelegantszej promenadzie Palermo, via Roma. Tu, między oazami luksusu, wystawami Zary, Blahnika, wśród biżuterii Bulgariego i zgiętych w pół portierów w drzwiach hoteli, rzeczywiście przechadza się tu i ówdzie trochę „lepszego towarzystwa". Ale już zewsząd łyskają berberyjskie oczy nomadów – spod spiętrzonych nad czołem warkoczyków, włóczkowych czapek z pomponami na ten upał, znad kołnierzy wyświechtanych kurtek postawionych nie wiadomo po co na sztorc.

Uchodźcy, uchodźcy… Przybywają tu z najdalej na południe wysuniętej włoskiej wysepki Lampedusa, dokąd za niebotyczne łapówki zawożą ich łodzie obładowane kobietami, dziećmi i marnym dobytkiem uciekinierów z Afryki, najbogatszego kontynentu świata, którego bogactw od wieków nie mogą się nakraść światowe korporacje, wynajmując miejscowych biedaków do groszowych prac albo wypychając ich z torbami za granicę, by przejąć ich kraje. Do Palermo zazwyczaj dociera już tylko garstka, której udało się nie utonąć w morzu, nie umrzeć z pragnienia lub nie dać się złapać i odtransportować z powrotem przez włoską straż graniczną. Przez nich Palermo staje się przeludnioną metropolią, zatracając coraz głębiej swój wdzięk w topieli afrykańskiej nędzy, chorób, przestępczości.

Przez Rzym, Mediolan, Zurych większość z nich powędruje dalej, do Sztokholmu, Amsterdamu, Londynu. Cała Europa staje się dziś jednym wielkim samooskarżeniem tego, czym do niedawna chlubiło się to pokolenie: demokracji. Spod spranego mitu „sprawiedliwego zarządzania" ujawnia się teraz jej prawdziwa twarz chciwego bankstera i manipulatora w globalnej kontroli społeczeństw. Od czego są jednak różne zatroskane panie w komisjach europejskich, które wyleją na tę zbrodnię masowych przesiedleń i trującej iluzji lukier „opieki społecznej", bo one z tego żyją, więc tym pilniej tropić będą każdego klapsa wymierzonego przez rodzica dziecku i zarazem ględzić, z jaką „radością Europa wita swoich afrykańskich braci", nie widząc lub nie chcąc widzieć ich twarzy zawiedzionych, oszukanych, zdychających z nędzy i chorób po bramach europejskich miast. No właśnie, tu też… na tej cudownej ukwieconej wyspie, co krok rozgrywa się ponury dramat wyciągniętej z kłębka łachmanów ręki i oczu gorączkowo płonących w cieniu wychudłego oblicza.

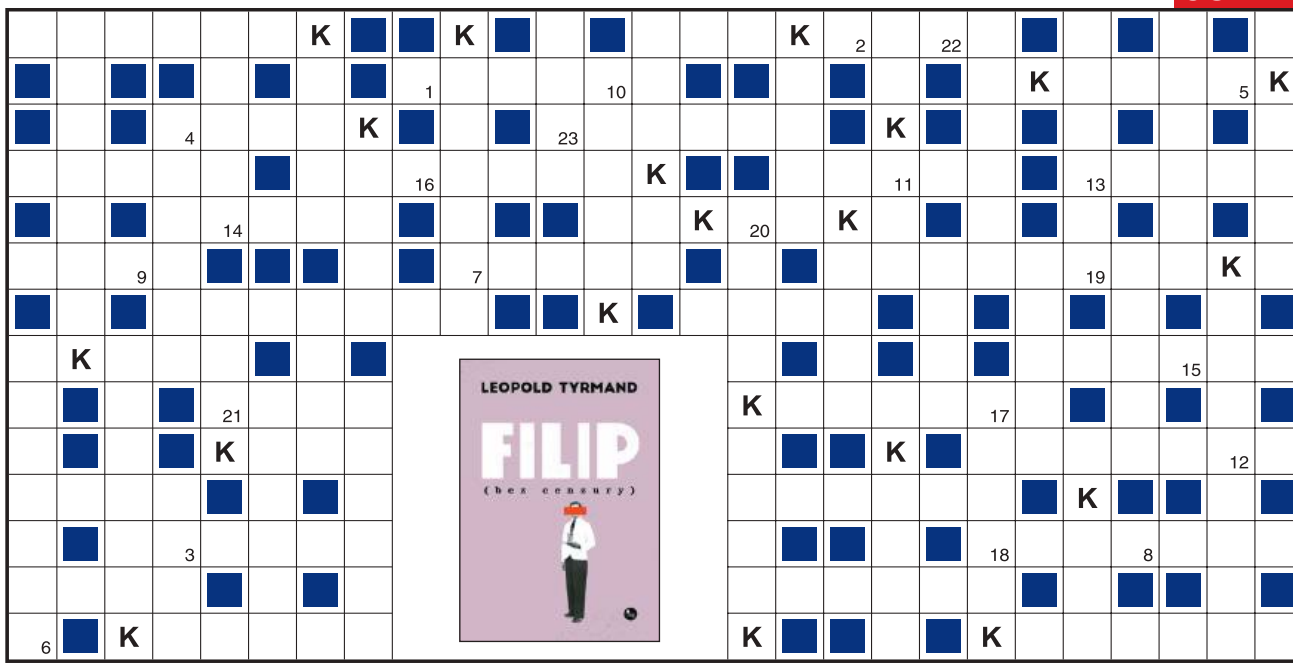
Uchodźcy, uchodźcy… Przybywają tu z najdalej na południe wysuniętej włoskiej wysepki Lampedusa.



Fragment książki Grzegorza Musiała *Dziewięć miast włoskich i inne opowieści*, Zysk i S-ka, Poznań 2025

eprasa.pl 279906a1ed

JOLKA



1	2	3	4	5	6

7	8	9	10	11	12	13

14	15	16	17	18	19	20	21	22	23

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery K ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 23 utworzą końcowe hasło.

- grono wzdychających do gwiazdora pań
- likier ze spirytusu, żółtek, cukru i wanilii
- alarm, stan gotowości do akcji
- dawniej brednie, androny
- film Jeuneta z Audrey Tautou
- po aplikacji, ale jeszcze nie sędzia
- tkanina, której szkoda, jak rzekł król Staś
- łyżwiarz figurowy Paulsen od bardzo trudnego skoku
- kto go rozbił, wygrał całą pulę
- odpoczynek w namiotach podczas wycieczki
- stolica stanu Massachusetts
- wisior przy kluczach
- jego też szkoda, rzekł król Staś
- tajne zgłoszenie do władz
- towarzyszy panu młodemu
- „Sen o Victorii" przebojem tego zespołu
- podłużne ciastko z kremem
- imię Malinowskiego, inżyniera kolejowego
- Zeus ją uprowadził jako byk
- i rozmiar papieru, i stopień wybitności
- sroka w niego się gapi w powiedzeniu
- może mieć srebrną koszulkę
- litera, co rozdział otwiera
- o Amerykaninie
- lwa, hazardu lub rozpusty
- wróżba z kart albo opały
- kamień ozdobny nazywany krwawnikiem
- …sienny – choroba alergiczna
- uderzenie za karę
- drewniana budka z towarem
- między gardłem a tchawicą
- skutek podłości
- zajęcie Wokulskiego
- kierownik działu finansowego uczelni
- internistka, alergolożka lub okulistka
- Duchamp albo Pagnol
- biały – tańczony nad ranem
- ostre, ślepe, do pióra lub do syfonu
- pracy, sił albo książki
- w niej szukaj lisa lub borsuka
- prawnik oskarżonego
- razi po wybuchu pocisku
- Warta jej największym dopływem
- ciężarek na wadze szalkowej
- duży rozmiar, wielka ilość
- siedziba bogów greckich
- przełożony benedyktynów w Tyńcu
- uroczyste, długie przemówienie
- niemowlę
- słowa pochwały, uwielbienia
- Jackson, malarz, przedstawiciel ekspresjonizmu abstrakcyjnego
- pod, nad, po lub do
- z tamtejszego lotniska bliżej do Afryki
- balowa, kinowa albo konferencyjna
- …i zażalenia
- Kamil Stoch lub Kacper Tomasiak
- rzeźbiarz grecki, rywal Praksytelesa
- recital jego występem
- pociągnięcie go powoduje wystrzał
- do dekoracji można go zrobić z ziemniaka
- …lądowy – przeciwieństwo wilka morskiego
- praca przy krośnie

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie", opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1261". Do rozlosowania książki „Filip (bez cenzury)" ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 22 lutego 2026 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1258" z nr. 5: *Przy dwojgu i trzeci podje.*
Nagrody otrzymują: Maria Okoń z Kalisza, Wiesława Piątkowska z Warszawy, Krystyna Wiśniewska z Bełchatowa.

eprasa.pl 279906a1ed

Chwała zawodowcom!

Jeśli chodzi o MSZ, istnieje taki suchar, jeszcze z czasów PRL: „Co jest najważniejsze, żeby zrobić w MSZ karierę? Pochodzenie. Bo trzeba pochodzić”. Nie brakuje więc w ministerstwie tych, którzy pracują nad promowaniem swojej osoby. I jednocześnie nad osłabianiem kandydatur potencjalnych rywali. Do tego dołóżmy grupę dyplomatów uważających się za skrzywdzonych, czy to przez szefa na placówce, czy też w centrali… No i mamy targowisko. Nie jest łatwo w takiej kakofonii się przebić.

A jeśli chodzi o przebijanie się, to jakiś czas temu mogliśmy wysłuchać na ministerialnych korytarzach (słuchał, kto chciał i kto nie chciał) pewnych skarg dotyczących Katarzyny Skórzyńskiej, która kieruje naszą ambasadą w Belgii. Jako chargé d’affaires a.i. Były na tyle skuteczne, że w końcu wysłano z MSZ do Brukseli specjalną komisję mającą zbadać, czy informacje o mobbingu w ambasadzie były słuszne, czy nie. O! Komisja była w grudniu, dostała do pracy pokój, wołano kolejnych pracowników, pojedynczo, i rozmawiano z nimi. A potem przeprowadzono szkolenie antymobbingowe. No i teraz jest pytanie, co z tego wyjdzie.

O Katarzynie Skórzyńskiej pisaliśmy już parokrotnie. Ostatnio, wspominając, że należy do grona emerytów, których minister Sikorski wysłał, by kierowali ambasadami. Co tu się rozpisywać – w niektórych przypadkach, zwłaszcza jeśli chodzi o duże państwa, to była bardzo udana decyzja, bo placówkę przejmował zawodowiec z kilkudziesięcioletnim stażem, z wielką wiedzą i znajomościami. Ale też nie brakuje pomyłek. Panią Skórzyńską (rocznik 1959) zaliczamy do tej drugiej kategorii, zwłaszcza że wciąż nie wiadomo, jaki był sens wysłania jej do ambasady w Belgii. Co tam miała odbudowywać? Może więc chodziło raczej o prezent, miłą posadę na zakończenie kariery?

Katarzyna Skórzyńska od zawsze należała do warszawskiego establishmentu. W roku 1992, mając 33 lata, wysłana została jako ambasador do Brazylii. Wcześniej była doradcą w resorcie edukacji, specjalistką od szkół społecznych. Skąd taka kariera? Zapytany o to Władysław Bartoszewski odpowiadał, że zna Skórzyńską od małej dziewczynki i za nią gwarantuje. Wyszło średnio, raczej był to sygnał, że w opinii polskiego MSZ Brazylia, państwo dwa razy większe od Unii Europejskiej, zajmuje miejsce daleko w szeregu i można do niej wysłać absolutnych amatorów. To przekonanie, że Brazylia jest mało ważna, odrodziło się w czasach Zbigniewa Raua, który wysłał do Brasílii urzędniczkę z kancelarii prezydenta Dudy, Bognę Janke. Tym razem wyszło śmiesznie. Pani Janke wcześniej z dyplomacją nie miała nic wspólnego, była germanistką z wykształcenia i portugalskiego nie znała.

Nic więc dziwnego, że znalazła się w grupie ambasadorów, których minister Sikorski cofnął do kraju. I wtedy zaczęły się kłopoty – Władysław Teofil Bartoszewski skarżył się, że pani Janke zabarykadowała się w ambasadzie i nie chce do kraju wrócić. Wróciła jednak. Na jej miejsce minister Sikorski wysłał zawodowego dyplomatę. I tak trzymajmy.

Attaché



Po zaledwie 10 miesiącach wspólnej pracy reprezentujący Francję Laurence Fournier Beaudry i Guillaume Cizeron zdobyli złoty medal olimpijski w tańcu dowolnym. 11 lutego 2026 r.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 279906a1ed







MARIUSZ KOWALCZYK,
KORESPONDENT Z PARYŻA

W 2024 r. francuskie Ministerstwo Kultury przeznaczyło łącznie 175,2 mln euro na pomoc bezpośrednią, w tym 23,4 mln euro na sześć rodzajów pomocy dla mediów. 130,1 mln euro na pomoc w transporcie i dystrybucji oraz 21,7 mln euro na cyfrową modernizację. Programem wspierania pluralizmu Ministerstwo Kultury objęło 375 mediów. Rok temu fundusz pluralistyczny wsparł kwotą ponad 10 mln euro cztery dzienniki o niskich dochodach reklamowych. Pozostałe środki (4 mln euro) trafiły do 49 tytułów. Z subsydiów dla regionalnych, departamentalnych i lokalnych gazet politycznych o niskich dochodach z ogłoszeń skorzystało 14 beneficjentów, a łączna kwota wyniosła 1,58 mln euro. Pomoc finansowa udzielana przez państwo dotyczy każdego roku ponad 500 tytułów, a jej nominalna wartość wzrasta: w 2025 r. o prawie 20 mln euro w stosunku do poprzedniego.

WOJCIECH MALAJKAT,
DYREKTOR TEATRU WSPÓŁCZESNEGO W WARSZAWIE

Uczę się cały czas, tak samo jak moje studentki i studenci, że widownia nie może nam dyktować warunków. My jesteśmy od tego. Czyli, jeśli się nie podoba, to nie możemy tego zmieniać, żeby się podobało. A jeśli się podoba, to nie możemy robić wszystkiego, żeby podobało się jeszcze bardziej. My mamy panować nad tym, co się dzieje na widowni. Widzowie nie przychodzą do teatru po to, żeby nas reżyserować. Mamy frekwencję na poziomie 90%, co jest naprawdę imponujące.

JAN KRZEPTOWSKI-SABAŁA,
PRZEWODNIK TATRZAŃSKI, LEŚNIK

Reprezentuję dość nieliczną frakcję przewodników-przyrodników. Trafiają więc do mnie osoby, które jarają się kwiatkami, skałami, chcą sfotografować świstaka czy niedźwiedzia (gwarancji jednak nie daję). Takie wycieczki sprawiają mi dużą frajdę, bo zawsze lubiłem dzielić się swoją wiedzą z innymi i pomagać w poznawaniu przyrody. Najwięcej czasu jako przewodnik spędziłem w rejonie Doliny Kościeliskiej, która jest naprawdę wdzięczna pod kątem cudów natury i jest też bardzo blisko mojego miejsca zamieszkania. Byłem tam z tysiąc razy, ale wciąż mi się ona nie znudziła. (…) Dla mnie egzamin na kursie przewodnickim był najtrudniejszy w życiu, bo to była obrona honoru rodziny! Zdałem za pierwszym razem, więc dziadek Sabała w grobie nie musiał się przewracać, choć prawdę mówiąc od wodzenia turystów po Tatrach wolał on bieganie z flintą za kozami i niedźwiedziami. Blachę przewodnicką dostał raczej honorowo, bo był już wtedy w podeszłym wieku.

JAN KUROŃ,
KUCHARZ

Dobry pączek musi być przede wszystkim „niespalony". Zbyt ciemny kolor sugeruje, że tłuszcz był za gorący. Musi być też dobrze wyrośnięty – to świadczy o tym, że drożdże miały czas popracować. Ale prawdziwy test to tekstura. Struktura ciasta po ugryzieniu powinna być puszysta, a nie gumowata. Nadzienie? Musi być smaczne i, co kluczowe, musi być go wystarczająco dużo. Nie ma nic gorszego niż pączek wydmuszka, gdzie konfitura jest tylko symbolicznym kleksem na samym środku. Dobry, uczciwy pączek musi dziś kosztować co najmniej 5 zł. I nie jest to kwota wzięta z sufitu, ale wynik prostej kalkulacji kosztów produkcji. (…) W tradycyjnej recepturze nie ma miejsca na skróty. Tam musi być prawdziwe masło, a nie tani zamiennik tłuszczowy. Tam muszą być świeże jajka, a nie masa jajeczna z proszku.

FOT. AMEM, RACJONALNA POLSKA, SEKCJA GIMNASTYCZNA

eprasa.pl 279906a1ed

UWAGA, BYK!

Poprawa byków w tekstach krzyżówek to duże wyzwanie dla korektorów.
Oto objaśnienia przed korektą, z błędnym słowem. Popraw błąd, a następnie odgadnij hasło.



		R			

* mała… krótki bal

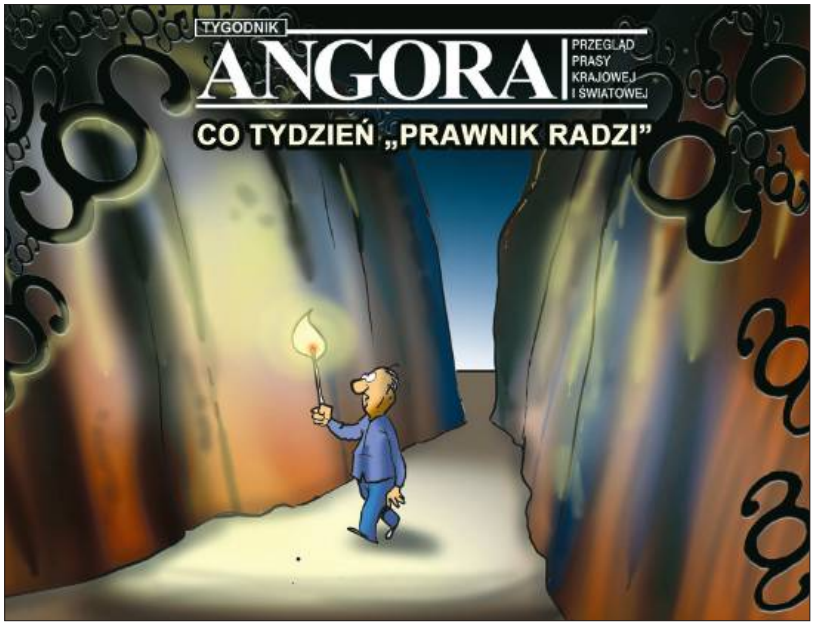
			D		

* śliwki w mieście

							N		

* z oczkiem na walcu

ROZWIĄZANIA: STRATA, KNEDLE, PIERŚCIONEK



Aby język giętki…

PROF. PRZEMYSŁAW SADURA
O WŁODZIMIERZU CZARZASTYM

Jeżeli jego wypowiedź o Trumpie była celowym manewrem, to świadczy o niesamowitej zręczności. Jeżeli nie – to o niebywałym szczęściu. Jedno i drugie pomaga w polityce.

JACEK NIZINKIEWICZ O KAROLU NAWROCKIM

Co może załatwić dla Trumpa? Nic.

ANDRZEJ SKWORZ
O ATAKACH NA ALPINISTKĘ DOROTĘ RASIŃSKĄ-SAMOĆKO

Ci, którzy rosną zbyt szybko i wspinają się zbyt wysoko, stają się solą w oku środowiska. Reakcja jest zawsze podobna: podważanie wiarygodności, publiczna chłosta, dyfamacja.

TOMASZ STAWISZYŃSKI O AFERZE EPSTEINA

Dalekosiężne efekty ujawnienia tej sprawy będą odpowiednikiem krajobrazu po eksplozji atomowej.

RAFAŁ KALUKIN
O KATARZYNIE PEŁCZYŃSKIEJ-NAŁĘCZ

Pchają ją ogromne ambicje, które jednak zdają się przesłaniać pole widzenia i nie pozwalają dostrzec ograniczeń.

SONIA BOHOSIEWICZ
O REAKCJI NA SMUTECZKI

Podświadomie włączam wtedy w głowie przycisk z napisem: „przestań, nie marudź” i wracam do pionu.

LESZEK LICHOTA O AKTORSTWIE

To balansowanie między dwoma światami. Mózg nie odróżnia emocji prawdziwych od granych.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański **j.domanski@tygodnikprzeglad.pl**
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz **a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl**
Marzena Michałek **m.michalek@tygodnikprzeglad.pl**
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł **i.morzol@tygodnikprzeglad.pl**
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Jerzy Bralczyk, Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek **a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl**
Koordynator do spraw promocji i reklamy:
Joanna Biegalska **j.biegalska@tygodnikprzeglad.pl**
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: P/mint Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl 279906a1ed

Sole



Hebe



ANNA MARIA RUSINEK

12 Bogiń – Rust & Gold

Cykl wielkoformatowych obrazów Anny Marii Rusinek to opowieść o sile, duchowości i złożoności kobiecej tożsamości. Rdza – materiał podlegający nieustannej przemianie – spotyka się tu ze złotem, symbolem boskości, światła i nieśmiertelności. Każda Bogini stanowi odrębny archetyp, osobną historię mocy, intuicji i wyobraźni, osadzoną między mitologią a współczesnym doświadczeniem kobiety. Narracja wystawy prowadzi widza ku tryptykowi „Ostatnia Wieczerza", który domyka symboliczny wymiar projektu.

Galeria Szyb Wilson
Katowice, ul. Oswobodzenia 1
do 30 kwietnia

Febe



Hera



Dike



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 279906a1ed







rampa
TEATR
NA
TARGÓWKU



WITKACJA

WODEWIL NA KRAWĘDZI



SCENARIUSZ, TEKSTY PIOSENEK
Karolina Felberg-Pawłowska
Roman Pawłowski-Felberg

REŻYSERIA
Cezi Studniak



MUZYKA
Grzegorz Rdzak





Teatr Rampa na Targówku, ul. Kołowa 20, Warszawa, teatr-rampa.pl
Dział Sprzedaży i Obsługi Widzów / Kasa biletowa, tel.: (22) 679 89 76, +48 573 801 004
Sprzedaż biletów online: bilety.teatr-rampa.pl, ebilet.pl, kicket.com

Partnerem wydarzenia jest Samorząd Województwa Mazowieckiego
Mazowsze. serce Polski

eprasa.pl 279906a1ed

TEATR CAPITOL

Scenariusz na motywach powieści Juliusza Verne'a oraz teksty piosenek - Robert Górski

W 80 DNI DOOKOŁA ŚWIATA

TAM I Z POWROTEM

PREMIERA
luty 2026

Reżyseria:
Robert Talarczyk
Mateusz Znaniecki

KUP BILET
www.teatrcapitol.pl

Monika Bubniak Jakub Cendrowski Joanna Chułek Kuba Dmochowski
Piotr Duda Darek Dyla Jędrzej Czerwonogrodzki Michał Lupa Maciej Kozakoszczak
Piotr Janusz Weronika Roman Daniel Roman Filip Urbanke Emilia Walus

eprasa.pl 279906a1ed